

JULJA DICKSTEIN-WIELEŻYŃSKA

# KONOPNICKA

DZIEJE NATCHNIEŃ I MYŚLI.

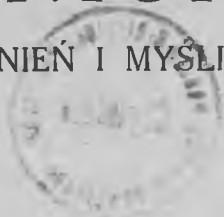
40

WARSZAWA  
NAKŁADEM KSIĘGARNI K. WOJNARA i S-ki  
1927.

JULJA DICKSTEIN-WIELEŻYŃSKA

# KONOPNICKA

DZIEJE NATCHNIEŃ I MYŚLI.



to

WARSZAWA  
NAKŁADEM KSIĘGARNI K. WOJNARA i S-ki  
1927.

*Julja Dickstein-Wieleżyńska*



Górz Regimin

821.462.1 (094) : 929 (432) ] 48/18 Konopnicka

## Przedmowa.

---

Książka o Konopnickiej była już gotowa do literackiego życia na jesieni r. 1918. I szczęśliwie bardzo byłoby dla niej, gdyby wtedy żyć zaczęła. Niestety, nie zgodził się na to los. Warunki wydawnicze, okropne i coraz się pogarszające, skazały ją na tragiczne ośmioletnie zgórą bytowanie w mroku szuflad jako rękopis, z pewnemi chwilami nadziei, które zawsze kończyły się zawodem, a co wszystko na nieurodzonej odbiło się kilkakrotnie i fatalnie. Tak np. wśród różnych perypetyj zawieruszyło się gdzieś jej zakończenie, wypadło dorabiać po czasie nowe na podstawie dobrze już też przez czas wyszczerbionego bruljonu — co oby jak najmniej widoczne było dla myśli czytelnika.

Kiedy się wreszcie po latach sześciu bez mała drukować zaczęła, spiętrzyły się nowe przeciwności, a te znaczą się wyraźnie na jej zewnętrznym kształcie, niejednorodnościach w pisowni, papierze, w zawstydzająco długiej kolumnie pomyłek korektowych, i tylu innych

usterkach, które oszczędzone są w szczęśliwszych warunkach wychodzącym na świat książkom.

Jednak te uchybienia, które nazwałabym materiałnemi, nie są niczem w porównaniu z duchowym tragizmem, z jakim monografia moja dobija się wreszcie istnienia. Osiem lat i to właśnie tych osiem lat! A właściwie więcej jeszcze. Złożyły się na treść wykłady, jakie miałam na Wyższych Kursach Pedagogicznych dla Kobiet Jana Miłkowskiego, a następnie w t.zw. cyklu na Wolnej Wszechnicy, jeszcze za czasów okupacji niemieckiej. Zebrane szybko w tom, zostały one wykończone równo z pierwszymi dniami niepodległości. Jakże inaczej oczy nasze wtedy widziały świat i Polskę, aniżeli widzą dzisiaj, jak przede wszystkim inaczej widziały okres niewolny i jego twórczość, od których wówczas zaledwie zaczynała nas oddzielać cienka ścianka historyczna! Jeszcze wtedy dla literatury i jej krytyki było w Polsce niemal, że to samo powietrze, co za Konopnickiej; dziś jesteśmy duchowo dalej od dni, w których pisałam, niż owe dni były od dni samej poetki. Stało się więc, że książka moja rodzi się niejako odrazu stara i musi przed tymi, którzy za chwilę karty jej otworzą, przede wszystkim z tej swojej starości się wytłomaczyć.

Prawie wszystkie sprawy, które ze świata poetki poszły pod pióro jej krytyczki, najzupełniej odmieńczyły oblicze. Zacznijmy od centralnej, od sprawy ludowej. W r. 1917-ym czy 1918-ym można było jeszcze myśleć i pisać o ludzie polskim tonem i myślami Konopnickiej; jakie to dziś jednak obce i staroświecko sentymentalne po ośmiu latach sejmowej i poza-sej-

mowej roli ludu polskiego w życiu Rzeczypospolitej! I kwestja kobieca, u Konopnickiej postawiona na małym, bardzo małym kwadraciku życia, nawet w krytyce, jaką dałam w r. 18 ym już dzisiaj wygląda nader przestarzale. Straciła poprostu treść. I tak moglibyśmy przejść rozmaite zagadnienia pokolei. W paru napomknieniach z dziedziny filozofji, jakie poczyniłam i w znakach zapytania wobec nieznanego mi wówczas, rozumie się, potoczenia się myśli powojennej, wyraźnie już dziś mówi przeszłość. W urywku o Indjach cytuję źródła stare, od tego czasu tyle się nasunęło materiału, wtedy niedostępnego mi, a który niejednokrotnie wzmógłby siłę argumentu.

Jednak nie chcę, aby przedmowa moja była tylko skargą. Owszem mam dla niej i pewien ton jaśniejszy. Zapewne i on wypływa z ogólnego zjawiska, podlegającego krytyce, niemniej dla autorki, w nieszczęśliwych warunkach wydającej książkę, ma wszelkie strony dodatnie. Upłynęło lat osiem, a o Konopnickiej nie napisał nikt, upłynęło lat osiem, a o wydobyciu jej trumny z opuszczenia lwowskiego społeczeństwo polskie nie pomyślało jeszcze. Fakty to przykre bardzo i zawstydzające. Ale właśnie na ich smutnem tle pokazuje się, że książka moja jest i będzie potrzebna, że ma do odegrania ważną rolę, że przychodzi jako późny, ale jeszcze nie spóźniony głos sprawiedliwości, wdzięczności i hołdu, okoliczność zaś, że jest pod kilkoma względami stara, powinna tembardziej stać się ostrogą dla innych, aby pamięć i dzieło poetki z najświeższych perspektyw podjęli na nowo, aby dopełnili, zbliżyli do dnia swojego, aby nie żałowali

światła, którego ja przed ośmiu laty dać jej nie byłam w stanie.

Z tem uczuciem, z tą nadzieją i tą prośbą do nowych historyków literatury wypuszczam dzisiaj książkę w świat. Jak kończyłam tom niemal przed dziesięcioleciem, tak kończę obecnie słowo wstępne: Konopnicka nie jest przeżyta, Konopnicka nie zamknęła się z tamtym okresem historii i ducha, w Konopnickiej jest jeszcze moc rzeczy do odkrycia i do pokochania, i wierzę, że właśnie teraz, kiedy odpadło od nas to, co myślowo, czy nawet pożytkowo (tak się przecie działo dawniej z poezją polską) było związane z kolejami zeszłego stulecia, ostał się tembardziej cały ogrom natchnień dotąd krzywdzonych, bo nie przeżywanych bezinteresownie i czysto artystycznie. One to—takie jest moje głębokie przekonanie—dojrzały do poetyckiego zaowocowania w Polsce.

*J. D. W.*

Warszawa, 8 grudnia 1926 r.

## SPIS ROZDZIAŁÓW.

	str.
Przedmowa . . . . .	1
Wstęp . . . . .	1
Przez szczyty i doliny. . . . .	4
Chram piękna i piastowa chata . . . . .	66
1) W chramie piękna . . . . .	85
2) W piastowej chacie . . . . .	122
Pod kopułą ciszy . . . . .	155
Śród duchów twórczych . . . . .	218
Zakończenie . . . . .	252

---

---



## W S T Ę P.

„Jako, wielcy bogowie! — czyż znowu poeta?“

Był dzień w historii ducha polskiego — tak brzmiałby prozaiczny komentarz do słów poetki — kiedy podobny wykrzyk niechętnego zdziwienia witał u nas pieśniarzy. Był to właśnie dzień narodzin twórczych Konopnickiej. Smutny, chłodny i głuchy.

Ale nawet wychylając się poza ów dzień, możemy w pewnym znaczeniu uznać Konopnicką za samotnicę. Zjawiła się, gdy już dogasł romantyzm, przeszła przez nieme dziesięciolecia pozytywizmu, potem przez wznoszący się rozgwar młodej twórczości, lecz bez wyciągnięcia do niej dłoni i bez połączenia się głosem z nowym dniem. Nie starajmy się zmieścić jej w jakimś szeregu czy kole. Byłaby może najmłodszą poetką romantyzmu, lecz zapóźno przyszła, umarły nie zawołał już na nią imieniem. Myśl jej parokrotnie zawtórowała pracom pozytywistycznym, ale głos miał rozszum epoki minionej. Więc i nie tu jej miejsce. Później, gdy dyktando organiczników przycichło, Konopnicka, o wielkim już żaglu płynąca, miała gotowy świat twórczy i odeszła na własne swoje dale.

Jeżeli są w niej nawarstwienia, idą z wewnętrznej logiki. Postawiona u trzydroża, mogła być tra-

giczna, oszczędzono jej tego. Anioł, który ją opętał, był litościwym aniołem, jak najniesłuszniej mówi o Asnyku, ale co jak najśluszniej powiedzieć się da o niej.

Prawda, że jak Orzeszkowa, życiem świadomem i samodzielnem przed powstaniem nie żyła. Orzeszkową, jako człowieka pracy, talentu i myśli, stworzy dopiero rok 63, a dusza jej wyjdzie zeń drogą spólną wtedy dla całej Polski. Konopnicka jeszcze mniej — ona powstania na razie, ani myślą ani życiem nie przeszła. Wyjechała zagranicę. Chwile walki i żałoby spędziła bezpiecznie w Niemczech. Z czasem dopiero nadleci do niej wicher powstaniowy. Na razie wyszła z życia rodzinnego i, w przeciwieństwie do Orzeszkowej, do niezmienionego wróciła. Przeto może zatarła się dla niej rubież epok, której nie mogli do końca pominąć pamięcią ci, którzy znak graniczny przypieczętowali krwią.

Ale jest i inny dowód litościwości jej anioła. W gąszczu zagadnień życiowych istniał dla niej początkowo jeden tylko punkt, ten właśnie, który, jedyne, spólny był programowo romantykowi i pozytywistom — demokratyzm. Czy stając się jego poetycką rzeczniczką, wyciskała swój znak na narodzie, czy była, przeciwnie, posłuszna jego myślowym wodzom? Zestawiany z nią często Asnyk wyszedł z chwili, ale zsynetyzował ją w sobie, kiedy społeczeństwo dopiero ją jak dziecko przeżywało. Asnyk przeto wyprzedził swój dzień, a tem samem wymaga perspektywy i do-  
tąd czeka.

Konopnicka wsiąkła szybciej i szerzej. Zdanie ze studjum o Beniowskim pogodą tonu sprawia wra-

żenie, że stoi w obwodzie jej własnego losu: „Poeta podobno wtedy dopiero jest szczęśliwy, gdy ludzie utwory jego ducha kochają. W miłości dzieła jest miłość i dla poety, dla jego uczuć, myśli, dążeń, ona jest zadatkami jego potęgi i wpływu, ona jest podstawą z granitu pod obelisk przyszłej jego chwały“.

Musiała się czuć kochana, przez to zapewne, że nie wyprzedzała epoki, rozumie się w jej najwyższych objawach, ale właśnie dawała jej wyraz. Początkowo była wprost uszlachetnioną mową codzienną swego czasu, najwyższą falą prądu, to też jest porozumienie między nią a prądem. Bieżący dzień narodu pisze się na jej kartach.

Ale tak zostać nie miało. Powoli akcent decydujący uderza o rzeczy, o których w Polsce mówiono mało lub wcale, i tu społeczeństwo, wdzięczne jej za dotychczasowy akompanjament, traci ją z oczu. Dlatego Konopnicka, ta powszechnie zżyta z nami, jest ułamkowa.

Zdobyliśmy już szkicowy pogląd na nią. Szczęśliwe przeprawy przez granice kierunków filozoficznych wykazały odrazu, że nie myśl była jej sterem.

Motor jej natury to uczucie i ono daje skrzydła poetyckie. Kultura myślowa, acz duża i z latami szybko w szerz (nie w głąb) narastająca, ma u niej dopiero pozycję wtórną. Wykształcenie otrzymała typowo „kobiece“, i to przed laty siedemdziesięciu, znaczy płytkie, wąskie, nijakie. Musiała rzucić się sama, bez kierunku, na morze wiedzy i płynęła na razie, gdzie łódź przypadkuniosła. Zapewne, wyszła z wycięsko i trzeba ją za to cenić należycie, szkoda

niemniej, że przy wrodzonej szerokości objęcia nie widać samowiednego budowania światopoglądu. Jej przekonania społeczne idą z łez serca, które nie spoczęło na żadnym skonsolidowanym podmurowaniu teoretycznym, prócz pędu wolnościowego. Pęd jest wogóle nieomylnym i stałym znamieniem jej ducha, głównie mierzy w dobro, piękno nie jest dla niej punktem orjentacyjnym, nietylko w stosunku do całej powierzchni życia, ale nawet w swojej wyłącznej prowincji, gdzie berło dzierżą pierwiastki innego rodzaju. W artystycznych jej odczuciach — bo nie przekonaniach — żaden promień nie załamuje się przodowniczo. Po rozstaniu się z chatą chłopą polskiego poezja jej wije sobie chwilowe gniazda bez wyraźnej różnicy stref i epok ziemi.

Dopiero pod koniec składniki duszy zbiegają się w jeden, względnie wyraźny obraz świata, przekraczający znacznie kształt społeczny, który długie lata wypełniał jej niemal bez reszty ramy życia. Zobaczymy wtedy Konopnicką na tle sfer, z owianą niecodziennym i nieziemskim światłem głową. Tak w zarysie wygląda droga, w którą ruszamy jej śladem.

## R o z d z i a ł I.

### PRZEZ SZCZYTY I DOLINY.

#### I.

Zgłosiła się do misji twórczej w Pieninach i tylko z pełności serca. Debiut był śmiały i świetny. Od pierwszej próbnej gamy uderza szybkość i zwinność słowa, które bez zawahań i pauz, równe jak sznur

perełek, powietrzniane bardziej niż materjalne, śpiewane niż rzeźbione, wdzięczy się w słońcu górskim, rzuca na pierś strumienia, dumne, że nie da mu się ubiedzić w pędzie i świadome, że ma w sobie świeżość powietrza wyżni.

Niemniej szkoda trochę, że płynność, która tak łatwo niesie uczucia i myśli, ani na chwilę nie ugnie się pod ich wagą, nie zatrzyma w jakimś zdrzeniu głosu. Jest to już zadatek przyszłej „gładkości“ Konopnickiej, idealnego toczenia się słowa, które nigdy, spięte z najtragiczniejszą treścią, nie zmyli tonacji, nie szczęknie buntem ani grozą. Jedyńm akompanjamentem będą mu westchnienia. A może właśnie tak gładko utoczyły je łzy? nie krew, nie gniew, tylko łzy?

Wszystkie te cechy, jak zaznaczyłam, nie mogą ujść świadkom powitalnego, górskiego urywka, choć charakterem swoim stoi on poniekąd na uboczu. Późniejszy bieg miał wykazać, że za cały wykładnik świata starczy jej jeden objaw: człowiek, widziany od strony losów swoich, — dola ludzka. Przyroda sama w sobie, bez jedyne go klucza, który jej otwiera przestrzenie i czasy, bez choćby analogji z tym jedynie zrozumiałym dla niej elementem, jest beztreściowa. To też w Tatrach i Pieninach, mimo fakt niezbity, że piękno krajobrazu ten później tak wybitnie społeczny instrument stroiło pod pierwszy dźwięk, mimo niezaprzeczone wycucie żywiołów, natura już odrazu wchodzi w pewien związek z przeznaczeniem człowieczem, poddaje się przyszłej swojej roli: służenia za wyraz uczuciom i prawdom ludzkim. Są jakieś ko-

munikacje, oku niewidne, ale dla duszy oczywiste, od zjawisk do ludzi; w Italji będzie to więź radosna i świetlista, w Polsce, czas pewien przynajmniej, cię i chłód. Na razie, w Tatrach, stanowisko nie jest jeszcze myślowo ani artystycznie gotowe, ale jakie to już nieomylnie charakterystyczne odczucie:

Wierchy! wy wierchy zamrożone  
Na djamentową gór koronę,  
Posępne siostry czarnej chmury,  
Wy nie jesteście sercem góry!

\* \* \* \* \*

Lodowisk waszych płachtę białą  
Ponad góralską widzę chatą,  
I drzę i pytam przerażony:  
Ach, na co górom te korony?

(Na szczytach)

To celowość, a teraz analogja:

Najskrytsze szczeliny  
Rozdniały od strzał srebrnych, które puścił  
[z sykiem  
Dunajec przez granitów zwałonych odłamy,  
I wszystkie przemówiły dziwacznym językiem  
Jakiejś pełnej burz, wstrząśnień przeddziejo-  
[wej dramy,  
I zaczęły się skarżyć cicho, jako starce,  
Którym czci nie wyrządza wnucze pokolenie  
I o których niewdzięczne zapomniały syny...

Dlatego do przyrody przykładu poetka ocenę moralną niemal. Ilustracją niech będzie wiersz „Skroś

nocy“, też ze wczesnej fazy. W formie pytania — bo Konopnicka młoda bezustannie pyta — mamy szereg podejść do pierwiastków przyrody od pierwiastków ducha, skutych w analogiczne pary i tworzących w ten sposób dwuszeregowy, lecz jednolity wszechświat. Wystawiony na jednej kolumnie, byłby dla niej ciemny, przez parzystość nabiera znaczenia:

„Czy (*ty przyrodo*) z myśli mędrców budujesz  
[gór szczyty?

Czy z serc niezłomnych wykuwasz granity?

Czy z smutków czarnych dzikie wznosisz

[puszcze?

Czy uściśnienia przeobrażasz w bluszcze?

Czy z pocałunku stwarzasz różę białą?

Czy z cichych dumań zmierzchom dajesz ciało?

Czy głuche gniewy zaklinasz w wulkany?

Wzruszenia tłumów w grzmot niepowstrzy-

[many?

Nie jest to naiwność, ani rzuty wyobraźni, z prawieka rodzicielki porównań; to wyłączność serca, zatrącająca niekiedy aż o monotonię i przykładająca miary ludzkiej doli tam nawet, gdzie w polu widzenia człowiek już nie stoi.

Wracając do epizodu górskiego, zaznaczamy sporą jak na Konopnicką ilość barw, szczegół o tyle wyjątkowy, że ona później nie kolorami zaciągnie świat, ale blaskiem i ciemnością, która zawali logicznie olbrzymią połączyć bytu, wziętą pod krzywdę i zło. Może jej jeszcze tu, w Pieninach, barw świata nie

mroczą łzy. Są już miejsca silne, świadczące o twórczyni wielkiej rasy:

Na tym kawałku ziemi Bóg położył dłonie  
I odjął — i stanęła tu piękność w odsłonie  
Dziwnego majestatu.

Szeroka uwertura do poematu nocy. — A jaki już huk i hardość w „Dunajcu“:

Lecimy!... on mię w swoje pochwycił ramiona  
I runęliśmy w przepaść z skalistego proga...  
A fala, żarem piersi mojej przenikniona,  
Modrym słupem bryznęła, aż w niebo, do Boga,  
Skrytego za sklepieniem swoim tajemniczem...

Obok bijącego pulsu ziemi i duszy jest i uśmiech sielankowy, rzecz jasna u Konopnickiej, — ale trochę tu jeszcze odmienny, bo bez swoistej fujarkowej nuty, raczej lekko muśnięty podaniowością.

Pierwsze jej dni twórcze stoją wyraźnie pod chorągwią Słowackiego. Szczególniej po zejściu z gór. Zaklął ją na długo tęczującym słowem, ku któremu jej słowo lekkie i polotne biegło jak ku słońcu. I Asnyk zaczął u stóp Słowackiego, ale biegunowo różnie. Zagarnął w siebie burzowość i dumną samotność, a nawet nieraz jad i wżgardę, kiedy „nie wolnicę cudzą“ jeszcze dotkliwiej nazwał Messaliną. Konopnicka, przeciwnie, wzięła zwiewność uczuć i kształtów świata, motyle skrzydełka Erosa, muzykę półszeptów i grające promienie, aby wpleść w nie wońsiane uczucie, skopiwane wśród mazowieckich łąk



i gajów z wielkich wzorów szwajcarskich („Romans wiosenny“, „W zielone“).

II.

Po powrocie z gór możemy rozróżnić w rozkwitłej niemal w jedną noc twórczości dwa punkty przyciągania. Oba zresztą łączą się linią prostą.

Wtedy dośpiewasz tej pieśni słowo  
Wielkie, ostatnie:  
„Prawda i wiedza jest nam królową,  
My — duchy bratnie...“  
Tymczasem niechaj poranne dźwięki  
Głos twój odbija,  
Łąkowych dzwonek, ptasząt piosenki:  
— Ave Maria! —  
(Echa majowe, IV).

Mamy je tu oba. Pierwszym będzie wieś i jej poezja, którą początkowo, „płynącą morzem traw i zbóż, w majowych runiach wiosny, w śniadej kurzawie wykłoszonych pól, w barwistej siedmiokrasie łągów, w mocnych woniach sianokosów“, niemal rozsądzi wewnętrzny dramat: bezgłosa tragedia chłopska. Drugi stworzy Warszawa, skłoniona podówczas przed ołtarzem prawdy naukowej i postępu społecznego.

Do haseł, do których społeczeństwo po szczeblach myśli przedzierali się w trudzie, ona dorwała się marnowaniem. Zagadnienia naczelne są materją jej zadumy,

ich próg w niewiadome progiem jej tęsknoty, a że ani myśl, ani nawet wyobraźnia nie dotrzymują biegu tęsknocie, więc u mety każdego podlecenia wzwyż wyrasta jej pytanie. Pęk strzelistych w różnych kierunkach promieni, z których każdy kończy się znakiem zapytania, a wszystkie składają się na pewien daleko od środka odsadzony krąg, — to mniej więcej obraz jej życia duchowego w tym okresie. Myśli ma wysokie, nawet bardzo, nie jest jednak myślicielką samodzielną, choćby przez to, że jej pozycji brak i to właśnie pod rządami pozytywizmu. I choć parokroć opieśniła jego prawdy, widać skądinąd, jak on jej duchowo (nieświadomie) nie wystarcza, skoro się stale poza pole doświadczenia wyrывa tęsknotą. Jej pytania conocne, rzucane gwiazdom, idą już w komory bytu, na których drzwiach pozytywizm wypisał swoje nieugięte „agnosko“. Nawet Asnyk, zabłąkaniac w pozytywizmie, wyczuł, co w nim jest mocą, i tu się oparł, znalazłszy lek przeciw doktrynie w samym sercu doktryny, U Konopnickiej niema nic oprócz interogowania, żadnego trwałego gruntu.

Może na swe siły zaczęła za wysoko, stąd różnica między możliwością a wynikiem i pustka między linią celu a linią dolotu, zalana przez okrzyki i żale.

Później, już mocarna, rozkaże sama sobie: „Pieśni twej gniazdo ptaszące zlepi pod niskiej strzechy belką“. Od rzeczy małych a prostych zyska perspektywę ku największym: „A zaś ją wypuść w niebieski sklep, nieogarnioną, wielką“. Aby tam dojść, musiała wybić sobie drogę, a tej nie widzi na razie, gdy wciąż o nią pyta. Ciekawe, że pyta aż:

„gdzie jest mój dom?“ Tak więc właściwie jedyna poetka, która łatwo i milcząco na pozytywizm przystała, wzmocniła się dopiero, gdy od jego brzegów podniosła kotwicę.

Jedno od razu jest pewne: najwyższa godność a zarazem szczęście ducha ludzkiego, to wzlot między ostatnie zagadnienia, który ona szereguje w kategorię marzeń. I boleśnie uderza jej wrażliwe serce, że całe odłamy ludzkie nie mogą sobie pozwolić na zbytek marzenia:

Czy one marzą, te czoła schylone,  
Które dźwigają cierniową koronę  
Codziennej troski nad zbladłą w łzach twarzą....  
Czy one marzą?

Błodzi nędzarze przy cudzym warsztacie,  
Co zasypiają pod snów ciężkich strażą,  
I ci, co wloką dnie w zapadłej chacie,  
Czy oni marzą?

Niewinne pozornie, małoważne pytanie jakiejś jednej chwili, skierowane ku bocznemu skrzydłu życia. A jednak jest to już istotne zarysowanie się różnicy, pierwsze cięcie przez ludzkość: marzący, szczęśliwi, i ci, którym zbywa może czasu na marzenie, co znaczy, w osobistym warjancie Konopnickiej, podział na światło istnienia, na szerokie i liberalne myśli pozytywizmu, oraz — wbrew naszemu kwalifikowaniu marzenia — na mocniejsze, domowe stanięcie na ziemi.

Czy oni marzą?

Jeśli nie — szerzej rozniećmy ognisko,  
Niech spotężnieje i światło i ciepło;  
Uściskiem bratnim rozgrzejmy tu nisko  
Piers ludu skrzepłą!

I dlatego rozumiemy, co myśli poetka, wołając  
te naprawdę piękne, z kochania i rozumienia płynące  
słowa:

O gdybym mogła z łez własnych, z tęsknoty  
Utkać, jak tęczę, pas długi, pas złoty,  
Rzuciłabym go w gościniec daleki,  
By prędzej po nim szły wieki!

Niż łzy i tęsknoty nierównie lepiej wybrukowa-  
łyby ten gościniec męstwo i idea, ale my wiemy, że  
dla Konopnickiej, to właśnie one są. Uczucia silne  
przewodnych zórawi ludzkości wyglądają w jej poezji  
jak łzy i jęki.

Słowa wstawione w mglistą aureolę tęsknoty  
są pierwszym wezwaniem do czynu u wrót budzącej  
się dla jej duszy kwestji socjalnej. A przy czynie  
powinien stać akompanjament, dający osłode i moc:

Wy, co dźwigacie brzemień rozpaczy,  
Bracia biedacy,  
Pójdźcie, ja powiem, ta piosnka znaczy:  
Śpiewaj przy pracy!  
Śpiewaj i chwile umilaj znojne  
Ducha ochotą,  
A zejda z nieba myśli spokojne,  
Skróń ci oplotą.

I nie załamiesz rąk w zniechęceniu  
Nad gorzką dolą.  
Śpiewaj, bo piersi zgięte w milczeniu,  
Więdną — i bolą.  
Łza się uskrzydla i w niebo leci  
Z nutą piosenki.  
Aż biednej chaty cienie rozświeci  
Uśmiech jutrzeński.

Czyli że narzędziem siły i szczęścia jest poezja. Kto tak myśli, nie jest szeregowcem pozytywizmu. A jednak, kiedy przed trybunałem sumienia poetyckiego rozważa Konopnicka, jakim pieśniom czas-sędzia pieczęć zasługi położy, widzi, że wiele z nich „rozwiało zapach, lecz nie dało chleba”. Celem jest chleb dawać łaknącym, a łaknący, to ci, którzy nie marzą. Więc dwie tylko pieśni uzna czas: proste i sielskie, które nie śmiały lotu rozwinąć z nad zagonu, nucą własnej wiosce i żyją okruszynami czarnego chleba, i wielkie, które z tęsknoty (naturalnie!) uczyniły sobie złote struny. Pierwsze dostaną w nagrodę fujarkę wioskową, drugie usłyszą wyrok: „Błogosławiona pieśń, co zasiewa przyszłości nasiona; wy, co słuchacie jej, błogosławieni!” Jest więc już w intencjach twórczych i gniazdo usłane nisko i lot nieogarniony, wielki jak sklep niebieski. Dwie zasadnicze struny na cytrze poetki nawiązane. Nie woń rozwieją, ale chleb będą niosły. Nie kwiat wyrósł, ale kłos.

W dużo lat później Konopnicka, w blasku już postawiona, przeczyta książkę francuza o polskiej

poezji romantycznej. Znajdzie w niej zdanie, które dziwny spóldźwięk będzie miało ze zdaniem jej serca. „Ils sont tous bardes“ — ujął w krótki ogólnik poetów polskich Edward Schuré w liście do autora tego studjum, do Sarrazina. A Sarrazin objaśnia, co bard znaczy i jaka różnica jest między nim a poetą. Bard to jakby druid, kapłan starych celtów. Konopnicka radosnym okrzykiem podchwytuje ten sąd. „Bard rządzi berłem pieśni i sprawuje ofiarę ducha. Jest szafarzem potęgi natchnionego słowa i pełni misję w narodzie, inną niż artystyczną“. Ileż razy ona sama to mówiła! W książce o Mickiewiczu, bardzo pięknej i kilkakrotnie przerzniętej błyskawicami świetnych wniosków poetyckich, powiedziała: „W podniesieniu się nad własną naturę, w potrójnem zespoleniu się z żywotem narodu, jakim był, jakim jest i jakim będzie, staje się poeta jakoby naczyniem narodowego ducha, staje się narodowym wieszczem“.

Bard to wieszcz. A pisząca te, lub tym duchem tchące słowa, czuje, że sama idzie z tego właśnie rodu, druga bowiem, równoległa linja, to artyści, których pieśniom czas nie da zasługi, bo woń rozsiała, nie został z nich chleb. I jeżeli chwilami, mimo tej świadomości, we wczesnej poezji Konopnickiej jest trochę pusto (mówiliśmy już o tem), wino to nie jej ubóstwa, ale płaszcza formy, którego rozwiane poły bez potrzeby biją przez powietrze. Tak jest dla nas, od zewnątrz. Ona, od wewnątrz, czuje rozpierający pierś nakaz z góry i z zupełną pewnością mówi o nim już w Imaginie:

Ty sam wiesz, Boże, Ty, coś mi wymierzył  
Myśl na skowrończy lot po Twym błękanie,  
Ty, coś mnie tchem Swym tak w piersi uderzył,  
Że mam w nich odtąd śpiew i skrzydeł bicie,  
Ty wiesz, że duch mój w pióra swe się jeżył,  
Jak konający ptak, zanim go życie,  
Z puchów skubiące żywcem krwawą ręką,  
Z tą smutną, gorzką zjednało piosenką.

Pewność misji bije i z tej oktawy:

Słowo me słabe, a głos mój jest cichy,  
Ani mi dana jest czarodziejstw sztuka,  
Lecz jak sasanek, co swoje kielichy  
Skoś śniegów puszcza i pod wrzaskiem kruka,  
Tak jam wysłaniec pośledni i lichy  
Wiosny tej, która już w pierś ziemi puka;  
Mam za to, że mi choć grudeczkę marną  
Bóg rozgrzać zdarzy i zrobić mniej czarną.

W innych miejscach już się to poczucie nie mieści w skromnych formach sasankowych ani skowronkowych. Bóg wtedy chce w niej mieć „lutnię smętną, bitą wichrami i burz dał jej piętno“. Dużo później powtórzy: „Mniejsza, że nikt mię nie nazwie słowikiem, lecz ptakiem burzy i trwogi“. Granica między dwiema twórczościami przypomina jest przy każdej sposobności i linję jej stracić z oczu trudno. Raz tylko, we Włoszech, porwana zachwytem, wykrzyknie jakby w zapomnieniu: „O duszo moja, o piękna atomie!“ Kiedy indziej, — tu już świadomie — daje napozór daleką jej zwykłemu sposobowi myśle-

nia radę: „Rzucajmy piękna siew, niech wschodzą kwiaty“. Ale dlaczego?

Za kwiatem przyjdzie nam  
I owoc boży,  
I urok piękna sam  
Dobro wytworzy.

Nie miejmy złudzeń: kwiat jest tylko stopniem do owocu, piękno do dobra, nie stoi samo sobą. Dobro jest najwyższym łukiem ducha, punktem najgłębszego wpatrzenia się poety. „Daj nam dobro przez piękno“ brzmiała podobno stara modlitwa dorywczyków. Nasz wierszyk jest czynem, opartym o taką modlitwę. Na tem samym tle stoi jej manifest twórczy: „Co ja sieję?“ O kwiatach słowa już niema, poezja to nie ogród, ale pole orne, gdzie wiosną chodzą pracowite pługi, a latem kłosi się łan idej:

Ja ducha mego, ja krew moją sieję,  
Ja pieśnią wstrząsam tę ziemię zoraną,  
Jak grzmot wiosenny, — aż jutro z niej wstaną  
Ludzie, godniejsi piastować to miano.

Kto siał, czeka wzejścia ziarna, kto pragnie plonów, patrzy w przyszłość. Więc i Konopnicka, zwrócona ku dniom wzejścia posianej idei, dostrzeża, że wszystkie pytania, zawisłe na dzisiejszym horyzoncie, topią się w widzeniu jutrzejszego słońca. Przyszłość to tryumfalne rozwiązanie tragicznego węzła terażniejszości, prawa ojczyzna barda, który jest zesłany w dzisiejszość, jak Lohengrin w daleki kraj dla obrotu cnoty.



Bo moja dusza w swym locie i pędzie  
W przyszłość podana jest skrzydłami obu,  
I nie ku temu tchnie, co jest, lecz będzie.

Równoległy niemal bieg, tylko o kondygnację niżej i z kresem rzutu nie tak dalekim, odbywała Orzeszkowa, która nie miała kolibrowych skrzydeł, nie miała „pędu”, szła po poziomie, a z każdego punktu rozglądała się, przystając, aby poznać cień i światło na przedmiotach. Orzeszkowa zgruntowała szachownicę zagadnień dnia dzisiejszego i odrazu na niej postawiła czaty. Umiała zagłuszyć w sobie melodię marzycielstwa tak doskonale, z takim heroizmem woli, że gotowiśmy mniemać, iż nie brzmiała ona nigdy w jej wysokiem sercu. I gdzie poetka zawieszała „krzyk pytaniem nabrzmiały” — nad pustką, powieściopisarka wymierzała nowe pole pracy. To jest może zasadnicza różnica między dwiema największymi postaciami kobiecemi Polski.

Konopnicka, której serce stęsknione, albo krwią nabiegłe słyszymy w każdym niemal wyrazie, omija krajobraz dzisiejszości, a jej pragnienie jutra ma w sobie niemal coś religijnego. Widzieliśmy ją już z dłońmi modlitewnie podniesionemi do zórz, ofiarowując sny swoje na pas jasny pod wieki. Jak Westalki u ognia w świątyni, tak ona stanęłaby na straży światła słonecznego, aby zalało ziemię. Jak Eos biegłaby przed rydwanem swego boga, byle pochód jego wcześniej osiągnął stron zmroczonych. Głód światła czuje podwójnie: dla duchów, jak ona, których pęd uderza o próżnię, zjeżoną od zapytań, i dla istot, zawar-

tych dotąd w masę, które dopiero, gdy słońce padnie im na twarz, wyodrębnią się z kształtu czy bezkształtu ogólnego i wyciągną dłonie ku samotnikom myśli. Ślub szczytów i dna święcić się może tylko w złocie jutrzejszych promieni.

Więc zrywa się Konopnicka, zbiera ile zagarnąć może blasku i rzuca garściami w jednym i drugim kierunku. Pewnie jeszcze nikt w Polsce nie miał takiej niecierplivej potrzeby jasności dla ziemi, nikt tylu skier jej nie wyrwał strunom, a tak namiętnie, często krwawiąc palce, nikt nie miał tak wytężonej źrenicy na każdy pyłek słoneczny, który, wędrując światami, uderzył o spleśniały mur polskiego życia. Wcześniej stałe gotowy ten niezagasły po ostatnią godzinę heliotropizm Konopnickiej.

Zawsze leciałam do ciebie,  
O światło!  
Zawsze leciałam do ciebie,  
O światło wieczne na niebie,  
I byłam ci jak drobny ptak,  
Co w podsłoneczny płynie szlak,  
I byłam ci jak muszka licha,  
Co za płomieniem dech wydycha,  
O światło!

Czyliś zabłysło dla ziemi,  
O światło,  
Czyliś zabłysło dla ziemi  
Kwiatami mocy srebrnemi,  
Czyś na majestat weszło swój,

Zwycięski z cieniem zwiódłszy bój,  
Czyliś miesięczną swą poświęcą  
W brzoźce tej drżało przed mą chatą,  
O światło!

Zawsze tęsknemi ja loty,  
O światło!

Zawsze tęsknemi ja loty  
Wbijałam ducha w blask złoty!  
I w burzę nawet, kiedy grom  
Zatrząsł te węgły i ten dom,  
W błyskawicowych ogniach cała,  
Jeszcze przed tobą z pieśnią stała,  
O światło!

Miłość światła jest w sercu nienawiścią cienia. Dla myśli, takim znaczonej stygmatem, dzieje ducha plotą się z dwu nici, jasnej i ciemnej, a na pasmie co chwila staje węzeł — walka. Dlatego duchy kapłańskie światła są zawsze bojujące. Czy bojącą będzie i Konopnicka? Widok jej łez i marzeń już nam przygotował odpowiedź na pytanie. Orzeszkowa, która stwarza placówki pracy i stawia przy nich swoich bohaterów, przeważnie, i to po czasie już niedługim, widzi ich wygraną. Nie biegnie z jednym hasłem, jak głównią płonąca, ale zaświeca drobne lampki, które winny razem dać jasność ziemi. To też jest świadkiem i wodzem, nie jednego walnego zwycięstwa, ale kolejnego zdobywania szczytów pod obóz jutrzejszy. Konopnicka, która wchodzi w noc z wielką pochodnią idei, blasku ziszczonego dziś jeszcze zobaczyć nie jest w stanie, widzi raczej powolność



we wzbijaniu się słońca, a na przestrzeni po wschód  
szczegółowe porażki i bóle. Panoramą takich właś-  
nie, niby drobnych, lecz zawsze symptomatycznych  
przeigranych, są w poezji wszystkie jej Obrazki,  
a w prozie Nowele. Ona, która doczekać się nie  
może zorzy, płacze nad wszystkimi, co są jej opóźnienia  
ofiarami, niebaczną na powolne zbliżenia. Dla niej  
era szczęśliwości buchnie odrazu, jak słońce odrazu  
bucha nad Wenecją (Italja). Jej samej motoru brak,  
nie ma ani mrówczej zabiegliwości Orzeszkowej, ani  
buntu Kasprowicza, ani myślowej wytrwałości Asnyka.  
Dobitnym wyrazem tego stanowiska, czy rysu są  
wszystkie utwory z ludem, lub o ludzie mówiące, sam  
lud wogóle, taki, jaki z pod jej pióra wyjrzy. Ale  
niemniej znamienne pieczętują tę prawdę dramaty  
z najwyższych szczytów ludzkości, które w najlepszym  
razie mogą nosić nadpis: „contra spem spero”. To  
trzy fragmenty „Z przeszłości”. Podmuch twórczy  
przyszedł im od Drapera „Dziejów stosunku wiary do  
rozumu”, do których rzucają trzy ilustracje poetyckie.  
Kreśląc je, Konopnicka nie była z „bardów”, była to-  
warzyszczą obozową postępowców warszawskich. Dziw-  
ne, że dając rzecz z całej swojej twórczości najsilniej  
programową, pokazała nie tryumf myśli, ale jej zabi-  
cie. Zapewne i ten sposób przedstawienia może być  
bronią, wzięciem w glorię, przecie, mimo świadomo-  
ści, że dzieło bohaterskie stało się i stać będzie,  
widzimy jedynie, jak olbrzymi umieją za nie umierać,  
widzimy, że ciemność nietylko tryumfuje z równą siłą  
w trzech dalekich od siebie erach i ziemiach, ale że  
tej siły starczy jej jeszcze na bardzo długo.

W każdym razie utwór w literaturze polskiej był ewenementem. Zawsze to prometeizm, choć załamany w pryzmacie intelektualnego czysto wzruszenia. Heliotropizm jest i jego cechą rodową, i trzy okrzyki, przedśmiertny, przed torturą i przed wieczną żalobą duszy, wzbijają się właśnie w ów hymn nadziei przeciw nadziei. „O Helios!”, wołała padając Hypatja, jakby oddawała duszę żywiłowi, z którego szła, i który jest rodzicem wszystkiego, co szlachetne. „Zawczasie kona!”, syczy fanatyk aleksandryjski, żądny jak najdłuższej męki dla poganki. „Światła!.. ach, światła!.. światła!..” powiekowem echem głosu Hypatji powtarza Wesaliusz. Jak chmura o słońce uderza rozkaz inkwizytora: „Do ciemnicy!”. „E pur si muove!” — szept na przekór wymuszonej prawdzie bohaterską prawdę Galileusz i bunt jego zostaje jak podzwiek krzepiący Fragmentów nad trzema zdławionemi hymnami słonecznemi\*).

Trzeba było mieć odwagę cisnąć taką rękawicę społeczeństwu polskiemu, gdzie dziedziców owych trojga straconych mniej znacznie, niż pokolenia zwycięzców „z przeszłości“. Odbiła się też ta odwaga i na poetce-pionierce i na wydawczyni jej wileńskiej, Orzeszkowej. A jak trwoga przed wyrokiem wieków

---

\*) Mielibyśmy chęć, znając kult Konopnickiej dla „Ody“ Mickiewicza, której specjalne poświęciła studjum, nazywając ją pięknie „zakonem młodości“, dosłuchiwać się we Fragmentach jej pozycji młodzieńczej, odpowiadającej Odzie. Stałyby wtedy pod zdaniem: „I ten szczęśliwy, kto padł śród zawodu“. Jednak czytamy motto: „Ponad wiekami lecim i patrzym — i płaczem“.

może skrzywić wzrok nawet na artyzm, niech świadczy jedna z krytyk ówczesnych:

„Talent, pomimo artystycznej doskonałości jego form, nie pierwszorzędny, kierunek umysłu, pomimo jego szlachetnych porywów, niezdrowy i w owocach swej twórczości bardzo szkodliwy. Nie. Ziarno jej posiewu nie jest „zdrowe, płodne i czyste“ (tak mówiła ona sama o sobie w „Co ja sieję?“), a ciepło nie wygląda na łagodny blask miłości, ale raczej na pożarną łunę nienawiści“.

Niema potrzeby brać w obronę Konopnickiej, która w cytowanym wierszu wołała pełnią przekonującego głosu: „A ja wam mówię, mój kamień mogilny mieć będzie napis: braterstwo i zgoda!“ Ale jest tu zarzut, który staje w biegunowej sprzeczności ze wszystkim, co się ze stosunku poetki do kwestji społecznych bez załamania wysnuwa. Autor krytyki cieszy się, że pieśni jej nie dojdą do ludu, boby się chwycił noży!!!... Mój Boże! kto? lud Konopnickiej, zwłaszcza równoczesny urodzeniem „Fragmentom“, ten — nie cofam się przed wyrażeniem — mazgajowaty, do którego zbliżymy się za chwilę, jako do biernej masy, niezdolnej, już nietylko upomnieć się o swoje prawo, ale nawet inny dać wyraz krzywdzie własnej, aniżeli westchnienie!

Zaświadczy-że mi, nocko jasna,  
Gwiazdy swojemi, swojemi,  
Żem ja się nie skarżył w smutku  
Ludziom na ziemi!

Ni sąsiadom, ni wójtowi,  
Ni panu w dworze, oj w dworze,  
Jeno wiatrom, co kołyszają  
Wody w jeziorze!

Anim w dzień wyrzekał kiedy  
Przed chaty progiem, oj progiem,  
Jenom z tobą, nocko, płakał  
W cieniu przed Bogiem.

### III

Stanęliśmy, gdzie najwięcej łez poetki padło: u dróg ludu polskiego. Przesiąkła wsią jej myśl, pachniała łąką jej dusza, wspomnienia, cofające się w dzieciństwo, zahaczały o wiejskie gadki służby i piastunek, które, jak dla Żmichowskiej, stanowiły dla niej pierwszą radość poetycką, pierwszy materiał literacki, lubo w przeciwieństwie do Żmichowskiej, we własnym dziele niewyzyskany.

Nie zadźwiękła wyobraźnia, ale o ten najbliższy plan oparło się serce. Widziała nie kunsztowne mozaiki życia, ale jego szare przestrzenie, w najciekawsze kształty układały jej się nie brokaty, ale zwiotszałe płachty, światło załamywało najmocniej w przydrożnym żwirze. Posiadała jakiś specjalny mikroskop uczuciowy, przez który dopatrywała się pyłków i drgań, gdzie dla najszybszych oczu nic nie było do widzenia, z wyjątkiem może dla jednej Orzeszkowej, a dzisiaj dla Kasprowicza. Najbardziej niepozorne twory, upośledzone nietylko przez rodzeństwo ludzkie, ale nawet przez rękę przyrody, ukazywały jej w nie-

rozwitych, albo zaschłych duszyczkach głębokie perspektywy dla serca.

Tu może należy szukać przyczyny rzadkiego u twórców o jej locie porozumienia z dziećmi, jej daru, nietylko wzruszania niedolą dziecięcą, ale chodzenia wprost w gości do dusz maleńkich, aby w nich potem stale mieszkać — miłowaną.

Feldman, podkreślając w Żeromskim zdolność widzenia omijanych przez ogół cierpień, nazwał to odczuciem specjalnem dla drobnoustrojów. Dotrzymuje mu w tem godnie miary Konopnicka, różnica jest tylko w stosunku. Żeromski schodzi na sam<sup>o</sup> dno pozornego drobiazgu jako psycholog eksperymentator. Nieraz, prawda, sam płacze z płaczącym, ale nieraz zgrzytliwym świdrem wwierca się w żywą materję swego badania, tnie spokojnie nożem analizy, a bywa, że pasie się wywołanemi łzami i lubieżnie pławi we krwi zadanych ran. Tego nie zrobi Konopnicka nigdy. Dla niej zgóry powziętym celem znajomości z drobnostrojami jest poczucie krzywdy, zrzucenie odpowiedzialności z miejsc, gdzie świadomość drzemie. Tu nowa różnica z Żeromskim. On węzły życiowe przymierza do samego dna duchowej esencji, że w najciemniejszej głębi syczy cierpienie i zaczyna się dramat. Ważna autorowi jest wypowiedź tylko jednego, właśnie pod skalpel i na mękę wziętego drobnoustroju. U Konopnickiej tragedja nie wpada w takie głębie, przez to najczęściej, że cierpiący nie jest ofiarą świadomą. O dno oprzeć krzywdę może dopiero refleksja czytelnika. Konopnicka maluje tę warstwę duszy, która wystawiona jest na promienie



zewnątrzne, chodzi pasem między duszą a światem, i staje nie tam, gdzie fakt jest latarką, rzucającą światło w mrok duszy, ale, gdzie zderzenie dwu strun ma wymowę powtarzalności i mocne jest przez ogólność. Dla pewnych okolic życia Hanka Blacharzówna, Ksawery, Stacho Szafarczyk, panna Florentyna, Józiek z Młockarni są rozdziałami z księgi oskarżenia. W mnóstwie warjantów po Obrazkach i Nowelkach życie pisze na nich swoje litery, jak pisało zmarszczki na twarzy Banasiowej. Do odcyfrowania częstokroć mdłych hieroglifów może uzdolnić jedynie serce. Na świadectwo słowa samej poetki:

Nigdy ja na tej nie stanę wyżynie,  
Kędy przed wzrokiem, wpatrzonym w wszech-  
[światy,  
Ziemia z swą nędzą tak blednie i ginie,  
Jak tęcz mdlejących szkarłaty.

Nigdy nie spocznę w błękitnej tej ciszy,  
Gdzie dech, ukojon oddechem wieczności,  
Ledwo, że czuje i ledwo, że słyszy  
Namiętne skargi ludzkości.

Ja będę latać jako ptak zraniony,  
Nisko nad ziemią tą, co w bólach kona,  
Bym mogła objąć z miłością w ramiona  
Smutnych miliony!

Wiersz możemy postawić jako dewizę nad całym odłamem twórczości, gdzie poetka lata nisko, bo jej się wzbić nie pozwala serce.

Ludowość Konopnickiej jest tej samej daty, co jej poezja. Pierwszy wiersz z cyklu: W górach, „Przygrywka“, włożony jest w usta wiejskiej dziewczyny. W dalszych urywkach przewijają się górale, wprawdzie bez właściwej jeszcze mowy i ruchów—konwencjonalny sztafaż w dekoracji górskiej. Rodowodu pozytywistycznego jest naskroś programowa „Jaskółka“, której wypływ z myśli nie udał się tak szczęśliwie jak „Fragmentom dramatycznym“. Nie pomaga prześpiewna tonacja Lenartowiczowska, lekki rytm koło wań jaskółczych—wiersz jest sztywny i suchy. A jednak i tu musi mówić moment osobisty w poglądach dziedziczki, która chce założyć szkółkę wiejską.

Wartoby zestawić Konopnicką wśród stosunków wioskowych z Syrokomlą i Lenartowiczem. Jeżeli w pierwszych czasach, bywało, głos życia szczerzej dźwięknął u poprzedników, z biegiem twórczości pozostawi ona obu za sobą, tak na wsi specjalnie, jak na całym obszarze poezji. U niej sprawa chłopska jest już śrubą w ogólnej maszynie społecznej. Prawda, był i u Syrokomli kiedyś bolesny zgrzyt, dowodzący, że bez tej śruby maszyna jest wadliwa, wszelako rzecznictwem ideowym Syrokomla nie dostaje do wzrostu Konopnickiej. A Lenartowicz, spółzgodny z nią w lirycznym życiu wsi, wie, że demokratyzm znaczy przywiązanie do chłopca, ale jakby nie czuł, że demokratyzm, jeżeli nie sztandarem czerwonej walki, jest przynajmniej patrzeniem w oczy ogromom bólu.

Chłopa społecznym uczuciem objął Kasprowicz, zaczął nawet byt poetycki u jego boku, jak pracę

ideową u jego duszy. Jednak postawił się koło instrumentu twardego. Patrząc, sądziłobyśmy, że ton stamtąd wydostać trudno, nie jak u Konopnickiej, gdzie dusza ludowa, gałązka wierzby, czeka tylko, aż przyjdzie ktoś serdeczny, ulini fujarkę i ciepłe melodie dobędzie. Chłop Kasprowicza, w pierwszych wiejskich poematach, ulepiony z grubej gliny poetyckiej, na na ziemi stoi odrazu sobiepańskim ruchem, a miast piosenek skowronkowych ma w piersi kłęb sił wielkich, złych i dobrych, zwyczajnie człowieczych. I Reymonta chłop jest z ziemi i z mocy, a nad Kasprowiczowskiego wyższy wolnym od społecznej celowości artyzmem. Zestawiony, choćby z najmocniejszym chłopem Konopnickiej, z Balcerem, inny stanowi gatunek ludzki. Któryż z nich prawdziwszy w naszym kraju?

I tu i tu widoczny jest jeden profil, drugi się ćmi. Dopiero gdyby zestawić oba, mielibyśmy pełną miarę. Cięcia nie są symetryczne, większość składników leży po stronie Reymonta: to ogół sprężyn realnej egzystencji.

Ale wyższe momenty, zrosłe bądź co bądź w pewne życie duchowe, daje tylko Konopnicka. Jedyne lud, jaki ona zna, mógł być twórcą podań i pieśni, wiecznych jak naród, tylko do takiej braci rolnej mógł zakrzyknąć, i wśród takiej znaleźć w śmierć wiernych druhów Kościuszko, a po nim wszyscy, którzy się zbliżali z imieniem ojczyzny, z takich szli święci w męczeństwie patrjoci siermiężni z Pratulina, Drelowa, Włodawy, tylko tacy bielili się świtkami na drogach zesłania, u Grottgera po kuźniach kuli ko-

sy, a po lasach wiązali się ślubem krwi z miejską młodzieżą.

Jednakowoż, gdyby szukać metryki ludu u Konopnickiej, możeby się nie udało przemilczeć, że historycznie idzie trochę z literatury. To późny dziedziec Wiesława. Aż po Balcera—bo za morzem, chłop polski staje u niej po raz pierwszy na przejściu pieśni w rzeczywistość. O dotychczasowem niedojsściu do tej rzeczywistości decydowało zgłuszenie brutalniejszych wołań. Instynkt u Konopnickiej co najwyżej szepce, zaszyty mniej lub więcej w płatki sentymentalizmu. Nie znaczy to, aby twórczość jej—myślę w tej chwili o prozie—nie była w gatunku swoim literackim realistyczną. Owszem jest, nietylko w napomkniętem krzesaniu z szarzyzny, ale nawet w uobywaniu nowozaciężnych tematów. „Pamiętajmy, że w naszej pruderyjnej literaturze, w której brakowało odwagi Dostojewskiego, Tołstoja i Garszyna — tych, którzy stworzyli wielkie bólem postacie prostytutek, Soni, Katarzyny, Nataszy, — tak pisze Leo Belmont o Konopnickiej jako nowelistce — ona pierwsza, kobieta i natchniona poetka, nie zawahała się uchylić nisko nad tą kałużą, którą elegancja literacka omijała z milczącym oburzeniem i uronić w nią wielką łzę, drogocenniejszą od pereł. Oceńcie ten ruch ze strony kobiety, której duch krążył w najszczytniejszych krainach piękna i opiewał cuda sztuki i natury włoskiej. Wiedziała ona, że białe pióra nie zaszargają się, bo biło pod nimi wielkie serce“\*).

Wydawnictwo zbiorowe „Hołd Marji Konopnickiej“. Krytyka. Kraków 1902 r.

Więcej jeszcze: owo nachylenie się nad kałużami wyczuwane było jako obowiązek serca, które zmusza wprost oczy, aby nie mrużyły się przed przykrym widokiem. Odwiedziny Konopnickiej w więzieniach, po manowcach życia, są ciężką ofiarą artystki, która musi malować to, co pragnęłaby zaciemnić. Jest pewna nieśmiałość, duża kobieca delikatność, którą uwypuklamy z uznaniem, tembardziej, że idzie o te same okolice, które dzisiejszych twórców kuszą wprost artystyczną ponętą. Konopnicka szanuje nazbyt własne słowo, aby je przesycać zapachem błota, szpetocie moralnej tłumi kontur, tak że pełnia wstaje dopiero w naszej myśli, a że malowało serce, i w nas się piszą litery tragedji, ukrytej pod każdym upadkiem ludzkim i nie odraza gra, ale kielkuje siostrzane wzruszenie i dobroć.

O ile jednak lekkie kładzenie dłoni tematom drażliwym odbiera jaskrawość, zwykły plan życiowy pozbawia konsystencji. Wiotkie, bez bryły są chłopskie postacie Konopnickiej i jedna nam tylko ku nim droga—litość.

Lud to polny kwiat, cierpi deszcze, chłody, rosy, gnie się, lecz nie łamie. Dopiero gdy go burza zerwie od korzenia, zaczyna się dramat. Miasto jest jego zagładą („Pod prawem“, „Czy zginie?“, „Dwie wiosny“, i t. d.), obczyzna to jego kalwarja. Wzajemności ziemi wobec chłopca poetka nie jest pewna. Dziś dobra matka karmi go łzawym chlebem, sama niewolnica, jutro w chórze krzywd i ona stanie bez serca.

A czemuż wy, chłodne rosy,  
Padacie,  
Gdym ja nagi, gdym ja bosy,  
Głód w chacie?..  
Czy nie dosyć, że człek płacze  
Na ziemi?  
Co ta nocka sypie łzami  
Srebrnemi?

Albo tak:

A żebyś ty, jasne słońko  
Wiedziało,  
Co na ziemi jeszcze cieniów  
Zostało,  
Nie padałobyś tak rychło  
Za góry,  
Za tę lasy w płaszczu tkanym  
Z purpury.

„Świecą gwiazdy, świecą na wysokiem niebie,  
tylko nie myśl, chłopie, że to tak dla ciebie“. I pan  
ze dworu ma swoją i proboszcz i organista, „wszy-  
stkie przed oczyma palą się jak zorze, tylko twojej  
niema, chłopie ty, niebożę“.. Cyganka, wróżąc, praw-  
dy zataić nie potrafi:

Doli twojej niema w księdze,  
Ni na wodzie, ni na niebie,  
Jeno w czarnym twoim chlebie,  
Jeno w siwej twej siermiędze.

Ani z gwiazd złotego snopa,  
Ani z szumu u grobelki,  
Tylko z ręki żywicielki  
Wróżyć mogę dolę chłopa.

Podniosła tu poetka skargę przeciw ziemi w imię tego, który jej widać jeszcze nad nią droższy. Tylko skargę. W kleszcze tych samych dwu uczuć wzięty, uniósł się Ujejski aż do złorzeczenia: „Ty macocho gminu!“. Żale zresztą płyną z ust samego chłopa, którym, jak wiemy, obcy jest gniew w świecie naszej poetki.

Jeżeli przechodząc obok tych „ligawek“ i „słowicznych pieśni“, powiedzieć coś musimy bezwarunkowo, to nie, że zesłiliśmy się w nich z duszą chłopską, nie, że krzywda w tej właśnie formie najwięcej za serce chwyta, ale że czar jakiś w tych pieśniach jest, nieznaną dotąd tonacją polszczyzny, i że pod względem harmonji i muzyczności języka jest Konopnicka odkrywczą. Do dwu największych przykładów śpiewności polskiej, do Zaleskiego i Lenartowicza, przybywa śpiewność trzecia, śpiewność Konopnickiej, i ta, jako pewien stały rodzaj z nieomylną marką, pozostanie.

Trzy po ziemi idą ścieżki z chaty na dolę — niedolę. I dokąd-że chodzą po nich w siermięgach ludzie bladzi?

Ta jedna idzie przed się,  
Gdzie orzą pańskie pole,  
Ta druga idzie w lewo,

Gdzie biała karczma stoi,  
A trzecia na ten cmentarz,  
Gdzie leżą wszyscy swoi.

Najsmutniejsza z nich ta właśnie, która wiedzie „do onej zapadłej chaty ze dworu“. Cała w złem ziele stoi, bo brak na niej śladu stopy dobrego człowieka.

Ale teraz zmieni się coś chyba, bo nieuczęszczaną ścieżyną przyszła płomienna sercem kobieta i stanęła na progu chałupy, w zawstydzeniu nie wiedząc na razie, co powiedzieć tym od wieków bliskim i przez wieki nieznanym. Uczucie, które jej serce wypełnia, jest szmerem sumienia, choć dobrze win swoich nie jest świadoma.

Tak wygląda pierwsze spotkanie „na progu“, pierwsza inicjatywa. Uderza pewna naiwność w tym pięknym wierszu, która świadczy, że przewodnikiem był impuls, poprzedzający nawet jasny obrachunek ze sobą.

Jak braciom, co po długich niewidzenia latach  
Padli sobie w objęcia, od łez rwie się mowa,  
Tak nam, gdy stajem w waszych poddaszych  
[i chatach,  
Niełatwo przed wzruszeniem serca przyjść  
[do słowa.

Gdzie my od was odbiegli?... Gdzieście wy  
[zostali?..  
Czemu nie razem, w górę, poszła nasza droga?



Czemu my dzisiaj—wielcy?—a wy—czemu mali?  
Kto z nas za to odpowie przed sądem u Boga?

O bracia! jeśli sobie przebaczyć co mamy,  
Zróbmy to zaraz dzisiaj! Dość żalów, dość  
[kłótni!..

Otwórzcie nam ramiona: to my—was szukamy,  
Bośmy może winniejsi... ach! i bardziej smutni!

To samo uczucie, które ją pchnęło ku chacie,  
kiedyś ścisnie jej serce u łóżeczka dziecka nędzarzy  
miejskich, umierającego, bo go nigdy nie popieściło  
słońce: „O bracia, czy w nas wcale niema winy, że  
słonka Jaś nie doczekał?”.

Gdy pierwszy raz serce przebyło dalekość dwu  
światów, zaczęła się i myśl zapuszczać pytająco w głąb  
dzielącej przepaści. Jak ją zatrzeć? Z przechodniów,  
którzy mijali sierocego robotnika w sobotni wieczór  
przed szynkiem, niejeden zapewne kochał lud, myślał  
o jego oświacie... lecz gdzież są drogi, na którychby  
duchy dwu sfer odmiennych schodziły się społem?  
Może jest w tem jakaś przeszkoda poza człowiekiem?  
Może zaradzić nie jest w naszej mocy?. Konopnicka,  
która w swojej religji światła widziała panaceum,  
która zatem, idąc w przyszłość, nie zna w najdłuższych  
jej perspektywach trudności ani zawikłań, za sobą  
dostrzega tylko, że ścieżyna złem zielem porosła.  
Ale czemu? Iść wstecz ogniwami przyczyn i uderzyć  
o mocny punkt przyczepienia jest jej trudno na wszyst-  
kich terenach. Więc i w świecie społecznym gene-  
sis jest mętna. Jeśli dobra wola naprawić może, to

kto wie, czy nie zła wola tylko stworzyła? Może na początku nie było nierówności i poddaństwa?. O tem świadczy znany nam już wierszyk o gwiazdach, kiedy mówi:

Powiadają ludzie,  
Że z dawnej dawności  
Pan Bóg wszystkie gwiazdy  
Zapalił w równości...

Ni chłop a ni pana  
Nie było na niebie,  
Każdy człek swą własną  
Gwiazdę miał dla siebie.

Ale jak się zaczął  
Kurczyć lud ubogi,  
Poszły gwiazdy z nieba  
Na rozstajne drogi...

A te pańskie świecą  
Jako talar biały,  
A te chłopskie w rolę  
Jak łzy pospadały!

Tak rozumuje chłop. A ona?

Ona sama odpowiedzi nie ma, więc znowu pyta, ale przerażająco dzisiaj boleśnie: „Czemu ta przepaść, która braci dzieli na pokrzywdzonych i na krzywdzicieli, tak jest bezbrzeżna jako oceany, a taka straszna jak rozwarte rany?”.

W przepaść tę szermierz rzuca hasło boju,  
Cichy myśliciel—ustawę pokoju,  
Mędrzec —pęk światła słonecznego z nieba,  
Nędzarcz—pot krwawy i czarny kęs chleba,  
Bohater—sławę, genjusz—swoje trudy,  
Życie—swe prawa i swoje zjawiska,  
Duch—swą tęsknotę, dzieje—całe ludy.

A brzeg od brzegu zawsze tak daleki... A więc nie wola ludzka, a więc coś wyższego... „Bóg nawet wstaje i grom swój w nią ciska!“. Bóg nawet! I gdy w chwilę potem pyta: „Jest że kto, co zapładnia ziarna, które ta zgroza pochłonęła czarna?“ jesteśmy na drodze do jakichś bezdennych dramatów. Siła, przeciw której nawet grom Boga jest kruchy! Mrocząca głębia,—ale mgnienie tylko zwisamy nad nią. Nie umie Konopnicka—przynajmniej teraz jeszcze—patrzeć w oko piekielnego jeziora, źle się czuje, słabnie jej myśl na drogach przyczyn, wśród spojrzeń wstecz. Nagłym i mocnym ruchem głowy odwraca się przed siebie, w przyszłość, gdzie jej bezpiecznie, i znowu ręce składa błagalnie przed bóstwem swoim: „O spiesz się słońce! Niech nowy dzień wstanie!.. Wszak tylko światło zwycięża otchłanie“.

Krzykowi o zbawienie, który przed chwilą zadrał nad głębią bytu, towarzyszy, gdzieś nisko, ligawka pastusza: „Oj żebyś ty, jasne słońko, wiedziało...“

Atoli Konopnicka nie może zapomnieć dantejskiej przepaści, lada potrącenie rozjątrza myśl na nowo, wreszcie zmora zamieszkuje w niej na stałe. Kto wie, czy nie przyczyniły się w wigilijny wieczór smutne

oczy jednego z pacholąt, zaszłych przez dwór z trójkrólową gwiazdą. Noc wesela, gwiazdzista, święta noc... Czemu zadumane to drobne dzieciątko? Przecie rok cały ze drzeniem czekało na chwilę, może najpiękniejszą w życiu, kiedy pójdzie do oświetlonego i ciepłego dworu, aby powiedzieć jaśnie dziedzicom: „Chrystus się narodził”!

Nie przeczuwa, że jak fujarkowa skarga o słońku, które za prędko zapada, tak i myśl, kielkująca w główce zbiegła się z myślą pani ze dworu która dawno walczy z tym samym robakiem smutku. „Czemu to — snuł pierwszą nić rozumowań chłopczyzna — choć Chrystus przyszedł, tak jest źle na świecie? Widać dla chłopów nie przyszedł Bóg może?”.

Z dziecięcych oczu w lot pochwyliła myśl „pani”. Słusznie—przecie Chrystus zginął za pokrzywdzonych! Jeszcze jako małą dziewczynkę, powiada prof. Drogoszewski, uczył ojciec przyszłą poetkę „kochać Chrystusa, jako przyjaciela smutnych i uciśnionych”. I teraz Chrystus staje się świadkiem cierpień nędzarzy w każdym prawie jej Obrazku. On, utajony na krzyżu, który „najlichszej muszce naznacza ochronę i ptaki wraca na drzewa ojczyste”.

O, pochwalony, o, błogosławiony  
Bądź Ty mi, Chryste, co przebite ręce  
Rozciągasz ponad wieśniacze zagony  
Z przydrożnych krzyżów! Tyś jest Bóg nędzarzy!  
Ty liczysz kędyś w błękitnem swem niebie  
Wszystkie gryzące łyzy troski i bólu,

- Co złością bruzdy śród zwiędłych tych twarzy,  
O! pochwalony bądź, boleści Królul

I w zimnej sali sądowej, gdzie sądzą małego przestępcę, mniej pewnie winnego, niż ci, którym dana moc zaciężyć kruszącą dłonią na jego życiu, i tam „Chrystus biały, co stał w pobliżu, zdawał się cierpieć i drzeć na swym krzyżu“. Cierpieć i drzeć... Ale dlaczego nie przemówił? Nie mógł chyba... Wątpienie w tym kierunku pchnięte, ciągnie dalej swoją złą nić.

Ach! gdyby Chrystus tu przebywał z nami,  
Wiem, żeby chodził ciemnymi nocami  
I zbierał głodnych, zziębniętych nędzarzy  
I tulił u swych ołtarzy.

Gdyby przebywał.. A więc Go niema? A jesteśmy właśnie w brylantową noc zimową przed Jego świątynią, gdzie umiera piskłę ludzkie bez gniazda. Gdzie On jest? Konopnicka w tej chwili płacze tak z dna serca, że nawet o pytaniach swoich zapomniała. Błaga, woła. Jawi jej się straszliwe widzenie, lęk ją chwyta. Nawałnica dzika idzie, za dużo już krzywd i mąk, nie podźwignie ich ziemia, nie nakryje niebo, coś potwornego stać się musi. On jeden jeszcze, Chrystus, może zadeptać bałwany:

Zbudźcież wy Tego, co karmi łąkące,  
Spragnione poi,  
Niechaj zażegna te fale kipiące

Niech je ukoi.  
Zbudźcież wy Tego, co nagie okrywa  
Krajem Swej szaty,  
Bo już się burza rozbłyska i zrywa,  
By wicherzyć światy!

Napróżno, — napróżno. — —

Umarło maleństwo, jedno na schodach kościoła, drugie w suterenie, nie doczekawszy słońca, i matce chłopce serce pękło, choć wierzyła, że w niebie policzone są łzy nędzarzy, i ojciec wsiadł w rolę na wiosnę dwie główiny chłopiąt, które daremnie spoglądały oczyma, czy w komorze niema kęsa chleba, i chłop się utopił w strudze u młyna, a robotnik opuszczony poszedł do szynku... Niema, niema pomocy...

Jeżeli od tych drogich łez, sianych po szlakach parjasów, wzbijemy się na burzowe szczyty natchnienia, ujrzymy, że w tem samym zwątpieniu łamie się myśl Kasprowicza. I on traci z przed duszy Chrystusa, i jemu Chrystus wyznał, że bezmocen. Więc trzeba z samym Bogiem zacząć boje o ród stworzony. Święty, mocny, święty a nieśmiertelny... zaczyna łkać Kasprowicz, a głos jego, pęknięty od bólu, zgrzyta bluźnierstwem.

Spokojniej i bez nadludzkiej męki wzbija się wołanie Konopnickiej. Kiedyś sądziła, że Bóg grom ciska dla zasypania przepaści międzyludzkich. Już tego więcej nie powtórzy. Bo i gdzieżby był ów grom? Zresztą nie dojrzała, rzucona w natchnieniu kusicielska myśl o nad-boskiej potędze, która faktycznie musiałaby egzystować, jeżeli Bóg ciska bezskuteczne gromy. Nie-

zbita świadomość istnienia tej potęgi, dotykalna poprostu znajomość z nią, przyprawia o tytaniczny ból Kasprowicza. Konopnicka siły złej w swoim świecie nie zna, jej tragedia ogranicza się do obojętności potęgi, która winnaby być czującą. Raz jeden, już pod sam koniec twórczych lat, występuje szatan (Ach, ta prze cudna, cicha łąka...). Obrazek jest mistyczny, trochę w świetle Fra Angelica: szatan chodzi nocą po błoni i przypada gorącemi usty do kwiatów, które wyrosły w dzień u ścieżyny, kędy chadzają anioły. Jest to szatan skruszony we łzach, który maluczko, a sam się w nich wyanieli. O grzechu może mówi w nim jeszcze tylko śniade czoło, zresztą wszystko tchnie raczej rozpaczą. I będzie mu chyba wybaczone, jak wybaczone było Madejowi, z którego łez wykwitło rajske drzewo jabłoni.

Zaczyna się tedy dialog Konopnickiej z Bogiem zupełnie *piano*. Poetka nie oskarża, a co bardziej znaczące jak na nią, nawet się nie skarży, „że nędza jest, co tak często zbrodnię pod swój płaszcz garnie, że myśliciela droga po przepaściach niesie, że narody, bijąc o siebie jak morskich fal wody, prace stuleci druzgocą, że serce człowieka z marnych porywów wykute, nie z siły. Smutno jej tylko, „żeś Ty, wielki Boże, tej całej nędzy jest panem!“. I ojcem podobno, możemy dopełnić poetkę. Przecie chłopczyk, zmarły na mrozie przed kościołem, szeptał Mu bielejącemi już wargami: Ojczel.. Wyrzut, rzucony w stronę ludzi, owych życziwych zapewne przechodniów, z których niejeden kochał lud i myślał o jego oświacie, zabiega i do stóp Boga. Ojciec i bracia... oba imiona zarówno

są ironją. Jednak, z początku, atakująca powściąga jeszcze żal serca. Chciałaby jakiś sąd wysoki ustanowić na niebiosach:

O, dajcie usta wszystkim krzywdom ziemi  
I wszystkim nędzom i tęsknotom ducha,  
I niech się niebo drzwiami błękitnymi  
Otworzy i niech Bóg słucha!

Tak! Ty bądź sędzią, Boże, Ty, co wszystkie łzy masz policzone. „Co? policzone! Co? i nie otarte?”.

Rozmowa zaczyna być niebezpieczna. Refleksja, myśl teoretyczna może śmiało wirować wokół nadgwiezdneho tronu, nie podważy go. „Czyż prawda poznana większą jest prawdą? Czy gdyby przed progiem świątyni niebios nikt nie zgiał kolana, Bóg przestałby zwać się Bogiem?”. Ale te policzone a nie otarte łzy... To jest rzeka, która podmyje brzegi najświętszych praw i nakazów.

Czy Tobie, Boże, imię „grom i burza“,  
Że świat Twój w ogniach się nurza?...  
Czy Tobie imię „śmierć i potępienie“,  
Że się krwi leją strumienie?

Czemu, o Boże, prawdzie nie dasz krzyku,  
Głośnego w każdym języku?

Gdyby to nie był, jak zawsze, pytajnik, zdanie brzmiałoby już bardzo mocno. Ale Konopnicka nie rzuca pozytywnego pocisku, ona ma, mimo wszystko, tęsknotę Bóstwa, wyciąga ku Niemu ramiona, a w ludz-



kiem swoim rozumieniu świata i Stwórcę bierze po człowieczemu. I Jemu przypisuje, takie, jakie zna z własnego doświadczenia, bezsenne noce zadumy nad losami, kiedy „na gwiazdach oparty, swe piorunowe gubi kędyś moce i patrzy cichy na świat ten rozdarty, i patrzy na to wszystko—i jest smutny“. W takich chwilach można Mu po ludzku spólczyć jedynie. A jednak noc taka mija. Bóg do siły wraca, a zło na świecie trwa. .. Konopnicka gubi się. Skoro ona, śmiertelna, dla Nieobjętego miała litość za jedną—domyślną—chwilę smutku, czemu On nie ma litości dla ziemi za całą wieczność bólu?

Gdy tak szamoce się, niepewna czy nazywać Go Panem i Wielkim, który z błysków ma szatę, a z gromów koronę, czy za cień Go mieć, olbrzymią marę, która w takim razie rozwiać się przed nią powinna, nagle bije głos z góry, ale jakże niepodobny do upragnionego sądu nad smutnymi:

Kto tam w moje ciche noce  
Jak ptak w pętach się trzepoce,  
I skrzydłami mdłemi trąca  
O mojego sierp miesiąca?  
Kto źrenice pałające  
Wbija w globy moje drżące?  
Kto mi gwiazdy budzi moje,  
Gdy ja na nie dłoń położę?  
Kto uciszyć się nie może  
I zrywa się i znów pada  
Jak mdlejących wód kaskada?

Czyje to tam niepokoje  
Płoszą moich światów sny?

Tu przełamują się pytania Konopnickiej, bo przełamać się muszą. Dosięły szczytu: pyta sam Bóg. Człowiek po raz pierwszy — odpowiada. A ta jego krótka, mocna odpowiedź jest początkiem mającego odtąd rosnąć samopoczucia.

To my!\*)

My! Siła, której się nawet Największy trwoży. Bóstwo zazdrosne jest o władzę, o słońce, którego bieg, przez Nie ustanowiony, kto inny chce regulować i przyspieszać. Na ból ludzki jest głuche, bo Je niepokoi wielkość ducha człowieczego. Zatem Chrystus chciałby, ale nie może, Bóg może, ale nie chce. Konopnicka przejrzała — znowu jak Kasprowicz. U bosych stóp pątnicy, która do niebieskiego dworu, prosząca najpierw, a potem wijąca się z bólu, szła, zawiązuje teraz sandały pielgrzymie. Odejdzie z tego miejsca błagań, w drogę daleką i pustą, ale gdzie śmiało innych ku sobie przywoła. Będzie ich prowadziła. „Nie płaczcie smutni — zaczyna mówić po raz pierwszy, głosem, który jeszcze do wczoraj drżał od niepewności, a teraz staje się

---

\*) Nie porównywając wyżej, na której dramat się rozgrywa, zestawmy jako przeciwieństwa dialogi z Bogiem Konopnickiej i Mickiewicza. Konrad, orędownik narodu, żąda głosu z nieba — odpowiada mu milczenie. Konopnicka, stanowiąca sąd niebieski nad krzywdą milionów, chce posłuchu, otrzymuje niespodziewaną odpowiedź. Mickiewicz po rozprawie niebieskiej pokornieje i idzie między ciche sługi, Konopnicka, po usłyszeniu pytającego głosu z błękitu, rośnie w moc i staje się bojującą.

głosem przekonania—a czy wy myślicie, że tam wy soko, w tym cichym błękanie, jęk wasz, odbity od gwiazd złotych proga, zakłóci spokojność Boga?” O nie! Już dawno ludzkość zrozumiała, że milczenie bogów potęga.

Kto wie, czy biegnąc po strunach tej lutni,  
Której dźwięk każdy dostraja Duch duchów,  
Jęki boleści i zgrzyty łańcuchów  
Nie tworzą hymnu?

Być może i jej Bóg patrzy na świat jak na proste równanie rachunku... Od takiego stanowiska są dwie drogi: albo w rozpacz, albo w samodzielność. W tę drugą poszła Konopnicka, która odtąd jednego jęku nie uroni. Jest to najgłębsze a zarazem najwyższe spojrzenie, na jakie zdobyła się dotąd. Zapewne i teraz nie stanęła na wyżynie, skąd ziemia niknie dla oczu, w przeciwieństwie do Asnyka, który z gwiazd szukał wzrokiem globu, aby się do niego zniżyć; ale jej droga szła od stosunków ciasniejszych, i dlatego nowy punkt widzenia uderza nas jako szeroki i pierwszy raz obiektywny. Świat to harmonja piękna, twarda i zimna, pomimo i ponad człowiekiem. Ludzkość jest obcym przybyszem, jej tragedia jest bezchowa, cierpi się i ginie bez spółczucia i bez nadziei. Człowiek jest zostawiony sam sobie. To też poetka, powróciwszy z nieudanego posłania ku niebiosom, zamyka się z ludźmi, ażeby zawrzeć spólny pakt siły. Jedno jest źródło wytrwania: moc piersi własnej, i tu śpiewaczka z pokolenia bardów zaczyna misję swą,

Biczuje słabych: „Bądź silnym, bracie! Ach, jabym pierś twoją pragnęła zakuć djamentową zbroją!”. „Połóż rękę na sercu, a jeśli ci ono nie powie, że w każdej chwili od pioruna pęknąć jest zdolne, to idź i szukaj miejsca, gdzieby ci w gnuśnem ukryciu wolno się było nazywać niczem“.

I jeszcze więcej powiada ten głos, rosnący w skrzydła mocy. Ona wie, że dla słabych sam Bóg ma pogardę, On, który widząc ciemność, mógłby zapalić drugie i trzecie słońce. Ludzkość własnoręcznie kować musi swoje drogi, cele jej są na ziemi. — Młotem jest idea:

Ty będziesz silny przez to, w co uwierzysz,  
Jako w cel życia wzniosły, choć daleki,  
Przez to, z czem duchem zetrzesz się i zmierzysz  
I uznasz prawdą na wieki.

Powoli nagina się zapałem Konopnicka do swojej spóźnionej Ody. „Czuwaj strażnico!“ — woła po drodze do młodych:

W ludzkości pochodzie  
Duchy młodzieńcze niech idą na przodzie,  
Niech tory biją przed braćmi ciemnymi,  
Niech będą świtem i jutrznią tej ziemi.

Już nie: niech czekają, modlą się, i tęsknotą zebrzą się świtu; niech same będą świtem! Wszystko inne zawiedzie, tylko własna dusza to busola, która zawsze ku biegunowi przyszłości się zwraca.

Cóż dziwnego, że Konopnicka, której piersi rwie teraz taki huragan ku jutru, musi wyczuwać chłód, w to samo miejsce wiodących, ale spokojnemi drogami refleksji, hasła Asnyka?. „Trzeba z żywymi naprzód iść“ Trzeba? A więc jakiś obowiązek, zewnętrzny może, nie najgłębszy, najistotniejszy głos naszej natury? To nie hasło, to rada,—powie kiedyś w studjum po śmierci poety. Jej strażnicy rzeczywiście śmielsze wlane jest tętno i szybszy nakazany marsz, aniżeli „młodym“ Asnyka, którzy, choć mają szukać prawdy jasnego płomienia i nowych, nieodkrytych dróg, przy każdym kroku zatrzymywać się muszą ostrożnie, aby sprawdzić, czy przypadkiem nie zdeptali jakiego ołtarza przeszłości. Atoli nie czuje Konopnicka, że Asnykowskie „świat pójdzie swoją drogą”, to sama najmocniejsza konieczność, ruch choćby wbrew nam, czyli jeszcze pewniejszy, niż najlepsza nawet woła i ideał.

Poetka na zawsze weszła w znak Mocy. Jeżeli dotąd z pewną słusznością mógł stosować się do niej sam w sobie niedorzeczny zarzut „kobiecości”, to teraz, nawspak jego zwolennikom, ma głos męski. Zbliżyamy się do dni największej amplitudy łuku twórczego. I znów biegunowość pewna z Asnykiem. Jemu siła zadrgała w głosie, gdy pozyskał podstawę dla wiary, rozumowej zresztą czysto, w element pozaosobowy i pozaludzki wogóle, i kiedy ten element zewnętrzny, przyrodniczy, zagwarantował mu pewne wartości w świecie ludzkim. Konopnicka, przeciwnie, dopóki o elemencie pozaludzkiem nie zwątpiła, pisała łzawo i pytająco, gdy zrozumiała, że poza czło-

wiekem niema ostoji, przestała pytać, a poczęła wierzyć. Wszystko u niej opiera się teraz na sile moralnej, jak u Asnyka na przejrzeniu myślowem. Oto jak daleko zawiodła ją miłość maluczkich: pod wrota nieba, a potem do zwycięskiego pochodu idei przez ziemię.

Ale nie bierzmy zbyt dosłownie jej niewiary. Zwątpiła jedynie o pewnym utartym schemacie: Bóg lituje się nad biednymi i cierpiącymi; Bóg jest centrem sprawiedliwości świata. Od tego stanowiska odłączyła się i szła ku osobiście zdobytej i wejście w światło poręczającej wierze. Śpiew to jednak jej lat dalekich; aby rozebrzmiał, musiała nowe, poza-warszawskie i poza-wiejskie zebrać pokosy.

Tymczasem jesteśmy jeszcze pod kopułą jej wyobrażeń społecznych, tylko już z widokiem na całość. Przekonywamy się, że poglądy te, demokratyczne naskroś, rewolucyjnymi nie były\*). A miała właśnie

---

\*) Już po napisaniu mego studjum poznałam artykuł K. Radosławskiego (Kazimierza Krauza): „Idee społeczne w utworach M. K.” w krakowskim jubileuszowym „Hołdzie”. Znalazłam tam sporo myśli, tak dalece zbieżnych z mojami, że wprost opieranych na tych samych cytatach. Zrobiło mi to naturalnie dużą przyjemność. Najedno tylko przystać nie mogę, aby w pewnym okresie Konopnicka stała się „przejętą, zachwyconą, drżącą wielbicielką rewolucji”. Są u niej pewnie nastroje, ujęte w widzenie „burzy—tęsknoty“, ale nie da się to brać dosłownie jako „noc sądu“ przed dniem pokoju i miłości. Zresztą cytaty, których Radosławski używa na zadokumentowanie, wydają mi się wzięte trochę „na skakane“ z różnych okresów twórczości. Nie polemizuję z tym poglądem; mój dalszy bieg, oparty możliwie ściśle o chronologiczne koleje poetyckie, mam nadzieję, opowie dokąd i jak szła społecznie Konopnicka.

szczęście poetka do krytyków, którzy ją ukazywali społeczeństwu ze sztyletem w ręku i z głownią czerwoną. Strach i lęk wiał na tych, co położywszy rękę na sercu, nie czuli, aby było zdolne pęknąć od pioruna. „Któż i gdzie zagroził nożem?”—pytał Słowacki Krasieńskiego. Tak i Konopnicka mogłaby powiedzieć owym gorliwcom. Na całej przestrzeni jej twórczości nie ma ani razu słowa: rewolucja, niema ani hasła, wzywających do niej, ani przepowiedni, że ona kiedyś nastanie. Wizja niejasna u końca wiersza: „O ludy, zbudźcie wy tego Chrystusa”, jest właśnie dorzuceniem jej głosu między krzyki strwożonych. Ona Chrystusa szukać każe, aby do krwi nie dopuścił. Ona, nawet po swoim kataklizmie niebieskim, gdy propaguje siłę, krzesze ją właściwie tylko w sercach, które mogły podobne przejść porażki, powiedzmy poprostu: wśród inteligencji, wśród ludzi, którzy dotąd wlatywali tęsknotą w pytania bytowe. Zapewne, i do tamtych szły ciepłe słowa: „nie płaczcie smutni!”, ale ani razu nie usłyszeli z ust orędowniczki: dopominajcie się prawa waszego! Silni muszą być tylko ci, którzy słońce sprowadzić mają, ci co do chłopca pójdą w imię ideału, młoda strażnica, nawet za pacholectwa zaprawiane dzieci. (Ucz się, drogie dziecię moje, nosić wczesnie twarde zbroje). A lud?. Pieśń ludowa Konopnickiej po przemianie brzmi tak samo fujarkowo po rosie. Na cichej wsi nic się tymczasem nie zmieniło.

Dopiero w Balcerze przyjdzie nowy podmuch. Znajdzie się chłop polski w pochodzie węglarzy portowych, idących z czerwoną chorągwią, i pod tę chorągiew podsunie trupa mazura-tułacza, który umarł

z głodu. Przyłączy się do rzeszy, nie iżby przystał na myśl, której ta czerwona chusta jest sztandarem; on nie rozumie tego, jemu nikt tego nie mówił; on pójdzie za śpiewającym, choć obcym sobie tłumem i za niezrozumiałą pieśnią, bo wyczuje, że w tym śpiewie i w tej rzece ludowej na ulicach zamorskiego miasta jest jakaś okrutna, wprost dech zapierająca moc. Nie będzie jeszcze walczył za siebie chłop Konopnickiej, ale mimowiednie oprze się o siłę i coś mu z niej ożywczego spłynie w duszę. „Przebudowa ducha skończona. Powstał z niej nowy człowiek, dzielny, mocny, świadomy swych zadań i celów w ojczyźnie, w twardej szkole nieszczęścia nauczony norm rozwoju społecznego”. Tak pisze tragicznie zmarły, a wielką siłę zapowiadający, młodzieńcki badacz literatury, Bohdan Górski (Dusza ludu w Panu Balcerze).

„Pozwolę sobie zwrócić uwagę na ważną okoliczność chronologiczną — przepisuję jeszcze z tego samego autora. — Czy nie jest symptomatyczne, że nieobecność chłopów na ziemi polskiej wypada akurat w roku 1905-tym, podczas znanych ruchów wolnościowych, które nie doprowadziły znowu spraw swych do końca?\*). Czy nie rzuca wiązkę światła na złotą nić Arjadny fakt, że chłopcy wracają dopiero po ukazaniu tolerancyjnym, wtedy, gdy nastąpiła nowa era i trzeba było tylko obudzić nowych ludzi plemię?”.

Nie przeciągam tych refleksyj historycznych na następny po 1905-ym ruch, przy którym tamten zma-

---

\*) Akcja Pana Balcera przypada właśnie na te lata.



łał jak leniwa struga przy morzu: na wojnę światową. Nie może jej już niestety ani opieścić Konopnicka, ani zająć do niej po nitce bystrych swych uwag Górski. Zostają ściśle w ramach świata poetyckiego. I tu właśnie widzimy radośnie, że naprawdę lud ma prawo posłać z drugiej półkuli głos ku swojej ziemi: „Nietylko liczba my, ale i siła!“. Niemniej i to jeszcze nie jest rewolucjonizm, to tylko przypływ krzepkości do żył.

Rewolucjonizmu u Konopnickiej niema i być nie może, bo niema zróżnicowania społecznego dość wyraźnego, aby dać mu podstawę. Jej socjologia, tak jak ją już znamy, to ewolucjonizm solarny, jeżeli go tak określić można, z Bogiem a choćby i mimo Boga. Dokona się — gdy zechcemy. Od pierwszego spotkania na progu chaty aż po ów kamień mogilny, który ma nosić napis: „braterstwo i zgoda”, akcja społeczna Konopnickiej jest wiążąca, zbliżająca, pojednawcza, budzi miłość w uprzywilejowanych ku skrzywdzonym. Prawda, że nie odwrotnie, ale też tej miłości nie można obudzić, trzeba ją zdobyć. A ona właśnie daje sposób zdobycia. I niezawodnie mocna prawdą serca jest jej modlitwa:

Ześlij nam, Panie, z czarnego kłęk dworu,  
Zamykanego na rdzą krwawe klucze,  
Raczej siniego anioła pomoru,  
Co ma u zwiędłych ramion skrzydła krucze,

Ześlij nam raczej wszystkie Twoje kłęki,  
Niechaj tu chodzim jak hufiec męczeński,

Błazi od płaczu — i od smutków mgliści:  
Lecz odejm od nas — ducha nienawiści.

Trzyma się zdaleka od wszelkich znaków partyjnych: „W prawo i w lewo dwa odrębne światy, lecz droga moja ni w lewo, ni w prawo“. Biedna chata, do której prosto idzie, nie ma dla niej nic wspólnego z hasłami, rozdwojeniami i kłótnią, a od sfery, wśród której wypadła jej droga, nie odwraca się. „Wy nie anieli dla mnie, ani czarci—mówi do niej — ale, ach! duchy słabe i omylne, i ludzie, często też westchnienia warci“. Chyba niewiele w tem ognia rewolucyjnego! Artykuł „Nasz lud“ (Biblioteka Warszawska, 1907) stanowisko to wykłada nieomylnie i spokojnie:

„W każdym razie lud pobłażliwiej trzeba sądzić niż szlachtę; łamał on wprawdzie obowiązki swoje, a nawet dopuszczał się gwałtów, ale spytajmy, co było trudniej: czy nie wyłamać prętów małej klatki, do której sferę możliwości, jaką rozporządzał, porównać nam trzeba, czy rozpierając się wolno i szeroko, nie ograniczać nadużyciami i tak już małej przestrzeni powietrza, w którym poruszał się chłop i którym oddychał“. Znaczy, że stronie uprzywilejowanej mamy tylko prawo stawiać większe wymagania; nie widać tu tego „wyraźnego uprzedzenia“, którym tyle zapisali papieru niektórzy krytycy poetki. Uprzedzenia już dlatego tak dalece nie może mieć Konopnicka, że za gęsto jej te sfery przesiane są jednostkami, które z nią razem szły w zagadnienia najwyższe, że stąd rekrutują się ludzie, którzy w prze-

paść między-bratnią rzucali: cichy myśliciel — ustawę pokoju, mędrzec — pęk światła słonecznego z nieba, bohater—sławę, genjusz—swoje trudy<sup>1)</sup>). A zresztą— idźmy krok dalej—ktoby miał robić rewolucję u Konopnickiej? Chłopi sami nie wykazali, aż do Balcera, żadnej jednostki prowadzącej, Balcer zaś, inteligentny człowiek i energiczny, jest wszyskiem raczej niż rewolucjonistą. W epoce aż po „strażnicę” nie stoi ani jeden szermierz, a i strażnica przecie ma iść ze światłem, nie z walką. Jeżeli gdzie widzi poetka dopełniającą się sprawiedliwość, to nie przez szczyk broni i ogień pożarów — ale przez nadchodzącego ducha:

Słyszę, słyszę gdzieś w przestrzeni  
Tajnych haseł ruch,  
Łzy otrzyście uciśnieni,  
Oto idzie duch!

A to jest właśnie okres jej radykalizmu politycznego i nuty społecznej, jako dominującej w zestroju myśli. Okres następny innych nieco przedstawi ludzi, ale też i sam inne będzie miał oblicze, owiane oddechem dali.

O ileż rewolucyjniej wygląda pokrewny rodowo „Obrazkom“ Konopnickiej „Karnawał“ Carducciego! Są tu wszystkie motywy autorki „Bez dachu”, i umie-

---

\*) Myślicieli w wielu chwilach Konopnicka stawia zdecydowanie wyżej od poetów, bo wiedza jest przedewszystkiem światłem, które zmieni oblicze ziemi i doprowadzi do równości.

ranie dzieci w suterenie i rozpacz rodziców-nędzarczy na przewianem wiatrem poddaszu, i dramat dziewczyny młodej, wygnanej w noc zapustną na hańbę na ulicę; lecz tutaj naprawdę jest krzyk, zgrzyt, jest tragedia, kiedy tam tylko była — niedola. To już nie krzywda i płacz jednostek, to całe dwa światy stają przeciw sobie, w oświetleniu jarzaczem, w muzyce rozpasanej, ale i mrozie i wichurze karnawałowej nocy, a gdy się zderzą, czujemy, że coś straszniego się stanie. Tu nie duch idzie, to dech jakiś groźny, burza, grom.

Pijcie, uczujcie,  
Bogacze, pany, larwy!. A w godzinie,  
Gdy znowu w jarzmo świt zagna lud prosty,  
Wyjdźcie, a kłujcie,  
W czkawkach, po orgjach nocnych i po winie,  
Przepychem waszym szumnym [jego posty.  
Zaś nie pomnijcie dnia, gdy jak zapłata,  
Głód wam w drzwi złote z śmiercią zakołata!.

Jak nikły jest w porównaniu Konopnickiej jaskółczy niepokój!

Zestawiano naszą poetkę z Negri, którą tłuma-  
czyła. Kiedy mówią o ludzie, obie mówią sercem, ale  
gdy Konopnicka łkania zmienia w pieśń fujarkową,  
Negri gromadzi palny materiał pod wybuch. To go-  
rąca, nieokiełzdana kobieta. Ona kocha krew. Nie krew  
walki, ta może jest tylko okrutną koniecznością, ale  
krew jako żywioł, biegnący po żyłach, krążący po  
światach, źródło ruchu, żaru, koloru. Ona słucha z roz-

koszą tętna własnych arteryj, roznamiętniona szkarłatem i szałem, który daje wizjom, tęsknotom, kochaniu. Ta krew śpiewa bujne hymny macierzyństwa, czasem, jak u Żeromskiego, wichrzy się jakąś potworną żądzą, potem zastyga w melancholję, a kiedy rzuca się na drogi społeczne, pędzi po nich chwilami jak rumak bez wędzidła, chłostany biczem zapiekłego bólu,

I byłam furją! Z węzów włos kolczasty,  
wargi od wycia sine,—z rozgorzałem  
w płomieniach okiem biegłam. Zdjęta szałem  
głazy miotałam z ziemi, rwałam chwasty,  
klełam, raziłam, — padłam nieprzytomnie.  
A konie w pędzie przebiegły z tętentem  
po ciele mojem martwo rozciągniętem,  
Bunt ze swą grozą siną przeszedł po mnie.

Dal Profondo: Io.

Spójrzmy na Konopnicką. Modli się:

Na Twojej mi szacie daj kroplą być rosy,  
Nie, iżbym w sobie odbiła niebiosy,  
Lecz, iżbym drżąca przed stopy Twojemi,  
Łzą ubłagalną była dla tej ziemi...

Nie przejdzie po niej rozpętany bunt, nie powiedzą o niej nawet nędzarze: walczył ktoś za nas, ale: „płakał ktoś łzami naszymi”. I ona tego pragnie właśnie.

Jeśli z jednej jej strony goreje namiętna Ada Negri, z drugiej postawimy inną poetkę społeczną, z której ogrodów Konopnicka także przyniosła nam

owoce: Ludwikę Ackermann. Jest tak spokojna wobec Konopnickiej, jak Konopnicka wobec Negri. Refleksja skryształizowała jej widzenia i ból jak Asnykowi. Gdzie Negri oszałamia się hukami krwi, gdzie Konopnicka patetyzuje, ona — myśli. Całą przestrzeń serca wypełnia jej tragedia rodu ludzkiego, ale ród ten jest elementem kosmicznym, siedziba jego jest określonym, acz nędznym fragmentem ogólnego systemu światów i tragedia rodzi się na powierzchni granicznej własnej masy z otaczającym ogromem. Oto co mówi Ackermannowa w notatce o życiu swoim:

„Oglądany z daleka, poprzez moje rozmyślenia samotne, ród ludzki jawił mi się jako bohater opłakanego dramatu, rozgrywającego się w jakimś zapadłym kącie wszechświata, na podstawie ślepych sił, w obliczu obojętnej przyrody i z nicością jako rozwiązaniem”.

Ten pasierb stworzenia cierpi, ale cierpienie jest, według Ackermannowej, jego dumą, nie wyrzekłby się go, bo oparte jest na znajomości planów świata i uznaniu wobec nich swojej moralnej wyższości. Bóg stworzył człowieka słabym i chciał go w posłuszeństwie utrzymać przez bezrozum. Znalazła się wszelako potęga, która kosztem potępienia własnego obdarzyła go inteligencją—szatan. Pył mały stał się olbrzymem przez myśl i rósł pod światłem wielkich opiekunów historii: szatana i Prometeusza. A gdy w nim, na mgnienie jedno wynurzonym nad nicość, rozpali czarodziejskie światło swojej miłości, pył wznosi się tak wysoko, że gotów jest nawet—przebaczyć Bogu.

Oto jakie świetne płótna prometejskie maluje Ludwika Ackermann, tam, gdzie Konopnicka zawisa pytaniem<sup>1)</sup>).

Od stanowiska wielkiej francuzki, od pesymizmu, który jest skrzydłem ludzi wysokich i siłą, nie słabością, niedaleko w tej chwili do najboleśniejszego jaki był, pesymizmu, od Leopardiego. I on mówi o sieroceniu bytowem człowieka. „Mniemałeś może,— powiada przyroda w djałogu swoim z islandczykiem— że świat stworzony był ze względu na was? Wiedz tedy, że w dziełach, nakazach i czynnościach moich, wyjąwszy nieznaczną liczbę, zmierzałam zawsze i mierzam ku czemuś wręcz innemu, aniżeli szczęśliwość ludzka albo nieszczęście. Kiedy was urażam w jakibądź sposób, lub jakimbądź środkiem, nie dostrzegam tego, chyba bardzo a bardzo rzadko, tak jak zazwyczaj, darząc was rozkoszą i błogosławieństwem, nie wiem o tem, i nie stworzyłam danych rzeczy ani nie pełnię żadnych czynności, jak wy to mniemacie, ażeby cieszyć was, albo wam służyć. I wreszcie, gdyby mi nawet wypadło zdmuchnąć cały wasz rodzaj, nie zauważyłabym tego”.

Szczęśliwa Konopnicka! dla niej nie istniały te całe światy bólu, bo dla niej ludzkość jest żywiołem bez tła. Zło, które dla Leopardiego i Ackermanno-

---

<sup>1)</sup> Może najbliższa Konopnickiej z kobiet - poetek byłaby z tego punktu Elżbieta Barret-Browning, która też ze światem i ludzkością komunikuje się sercem, więc cierpi, mniej wybuchowo może, ale z równą głębią i mocą. O pesymizm wszelako nie trąca, bo jest dla niej nad sferą cierpienia i życia sfera wiary.

wej jest wynikiem koniecznym niezgrania elementu ludzkiego z kosmicznym, a zatem jest nie do przewyciężenia po ostatni dzień wszechświata albo ludzkości, jej przedstawia się jak zły korzeń, który da się wytrzebić, a wtedy ludzkość może być szczęśliwa. Jaki mały na tem tle wydaje się jej dramat z Bogiem i jej rady: bądź silny, bracie! Jej świat jest stanowczo geocentryczny, słońce bezwzględnie krąży wkoło ziemi, istnieje poprostu dla ziemi i kiedyś napewno nastąpi między nimi porozumienie: może wogóle przestanie zachodzić. I antropocentryczny wyraźnie jest ten świat. Jeden Bóg jest tylko poza nim, ale On jest właściwie kwintesencją cech ludzkich, zabstrahowanych i rzuconych w dale. Postawiła Go Konopnicka nad naszymi głowami, nie zdając sobie sprawy z tej gatunkowej wspólności, a choć rozstała się z Nim jako z mocarzem i prawa świata uznała za twarde, teraz, na tle przemyślanych i konsekwentnych pesymizmów, widzimy, że nie mamy co się lękać o nią. Cierpiała, bo czuła wkrąg niedolę ludzką, lecz tem samym sercem miłowała życie, dobro i słońce. To też znajdzie ton, w którym roztopią się rzeczy złe pod ukochaniem dobrych, a wtedy radośnie uderzy skrzydłami i w przestrzeń uleci.

5

Rozstając się ze społecznym okresem twórczym Konopnickiej, rzućmy jeszcze okiem na kwestję kobiecą.

Jeżeli nie była bojownicą w imię ludu, tylko płakała jego łzami, jej czerwoność w sprawie kobiet



wygląda jeszcze niklej. Uważano ją za rzeczniczkę emancypacji przez wiersz „Do kobiety”. Jest on wyraźnie przykry, może być sobie skromnie radą dla narzeczonej, czy innym utworem okolicznościowym, z kwestją kobiecą nie ma jednej krawędzi spólnej. Na poparcie głos męski, i to pierwszorzędny. Kazimierz Krauz pisał z powodu tego samego urywka: „W sprawie kobiecej Konopnicka wyraża idee, które w gruncie rzeczy niczem, prócz formy śmiałej, pięknej, często porywającej—nie różnią się od poglądów, przypuścmy, — Ilnickiej”\*) Z lalki chce zrobić towarzyszkę mężczyzny; nudna, starta przez czas piosenka. Jeszcze bardziej niesmaczny przy „towarzysze” akcentowany przymiotnik — *godną*. Nigdy przystawać nie było warto, dziś mijamy fragment bez spojrzenia.

Na wielkiej połaci sprawa kobieca schodzi się z ludową. Na tej przestrzeni Konopnicka zawsze z troską i lękiem wodziła oczyma w Obrazkach i Nowelach za dziewczętami, kiedy szły ze wsi za chlebem do obcego miasta, przeżywała z nimi nędzę i upadki, odchuchując iskrę nawet we wdeptanych pod próg człowieczeństwa duszach. Krauz, który również podchwycił ten dwudział w utworach dotyczących losów kobiecych, i na tem drugim polu nie ustaje z krytyką:

„Konopnicką z całej nędzy i życia kobiety z klasy pracującej uderzają i zajmują jedynie uwiedzenia, nieprawe macierzyństwo, wreszcie ogólnie mówiąc, prostytutcja, czyli ta strona życia kobiety z ludu, która

---

\*) Kazimierz Krauz: Kwestja kobieca w utworach M. K., „Hołd Marji Konopnickiej“.

bez wątpienia jest najkrwawszą z ran krwawych, ale która zawiera zarazem cierpienia kobiety specjalnie jako kobiety, przytem kobiety cierpiące i skrzywdzone w tej dziedzinie, są zupełnie bierne". Całkowicie słusznie: stwierdzenie jeszcze na jednym przykładzie ogólnego stosunku poetki do cierpienia. I znowu dziwne, że mająca łyzy tylko dla bierności, nie znalazła ich dla Marty. Czyżby przeto, że nie była z ludu? Dlaczego nie odczuła w niej choćby tragedji matki, dlaczego nie odczuła nieszczęścia jej dzieci? I prof. Drogoszewski, zgodnie z tym sądem, klasyfikuje punkt widzenia jako chwiejny, przyczem „Konopnicka spogląda na zagadnienie pod kątem zasadniczo męskim“<sup>\*)</sup>.

Ale na szczęście nie została na tem niskiem, dni jej niegodnem stanowisku. Faza druga, w której zobaczymy ją za chwilę ze zbogaconą duszą, otworzyła jej oczy. Świadczy o tem wystąpienie na pierwszym ogólno-polskim Zjeździe kobiet im. Orzeszkowej, zwołanym pod hasłem najszerszego równouprawnienia politycznego i cywilnego, na którym była przewodniczącą (Warszawa, rok 1907) i świetne przemówienie na wiecu lwowskim o prawa wyborcze. Weszła więc na szeroki trakt czasu, tylko spóźniona. A poetycko wspaniale akompanjuje temu wiersz „Na progu rajy” z majestatycznie brzmiącego cyklu „Lex”.

...jest mu dana

Moc postawienia stopy na twej głowie,  
Moc, co jest gwałtem, a prawem się zowie,  
Moc — pana.

---

<sup>\*)</sup> Wielka Encyklopedia Ilustrowana.

Podległa będziesz mężowi na ziemi przez dnie  
żywota, choć stokroć on zaprze i słowem i czynem,  
żeś i ty człowiek.

Upokorzona, skalana bez winy,  
Wyjdiesz za progi  
Domu twojego i twojej rodziny,  
By nosić brzemię i panu dać syny  
Śród drogi.

„Ty — choćby mocna — podlegniesz niemocy,  
choćby duch — glinie”. Jakże to odbiegło od sche-  
matu małżeńskiego, gdzie żona drżała, by nie skre-  
pować skrzydeł wolnego ducha! „Na świetle dni  
twych, na cieniu twych nocy uczujesz jarzma zgrzyt  
i pięść przemocy”. A teraz idź, idź do niego, „ty piękna  
i ty uśmiechniona, której usteczka rozchyła pustota”,  
idź a bacz, żeby mu się krzywda przez ciebie nie  
stała! Idź, niewolnico przed panem twym zgięta, —  
poprawia się dziś Konopnicka z gorzką ironią — idź,  
sama szyję podawaj w te pęta. To — prawo.

To jedno oblicze prawa. Jest ich więcej.. Ale  
temu jednemu dała Konopnicka wyraz-płomień. Cały  
wogóle cykl „Lex“ pierwszorzędny. Poetka zesła  
z dróg wyłącznie społecznych, w tej chwili jednak  
zwraca ku nim jeszcze raz dorywcze spojrzenie, ogar-  
niające w jednym żwawym rzucie więcej, niż całolet-  
nie dawne wpatrywania się, bo uderza o pierwotne,  
istotne zręby ludzkości. Czy kiedy Manu, mądry mąż  
i święty, „kreśli prawo dla psa czandali, który nie

będzie, pijąc, maćił czystej wody, który, gdy do drzwi twych zakołata, zasuniesz wrzeczadze, a nie dasz mu pomocy, bo nim zrodzony jest, jest już przeklęty”. Czy kiedy brzmi nieubłagane, stereotypowe *est anathema*, ilekroć błysną duchy, które chcą wypalić ślady swoje przez dzieła boże i ojca szukać w niebie wprost, bez tłumaczy i przewodników. Czy kiedy Bóg zawiera przymierze z wybranym ludem swoim, takie, iż „na, raba go naznaczył od powicia, i żądzę życia mu dał, a nie dał życia”. Te głosy potężne, majestatyczne, jakby kucie młotów podziemnych, towarzyszących rozgrywającemu się na powierzchni życia dziejowemu, zagłuszyć powinny doszczętnie przykre kwilenie, które się nazywało obzewem do kobiet, niby rzeczulkę, co nie miała wcale wody, tylko pianę, a podskakiwała hałaśliwie i pretensjonalnie po gładziutkich kamyczkach. niesprawiedliwość doprawdy czyni społeczeństwo poetce, otaczając taką upartą sympatią wiersz „Do kobiety”, gdy wielkie, bohatersko wyśpiewane prawdy zaledwie drogę znalazły do serc niewielu.

## VI

Ten pierwszy okres poetycki Konopnickiej powinniśmy opuścić pod wrażeniem pewnego rodzaju światłocienia, sprawy o dwu obliczach, pieśni o dwu strunach. Pomyślmy dosłownie zupełnie dzień i noc: dzień gwarny, usiany hasłami, rojny pracą, i noc, kiedy rzeka czasu pozornie przestaje szumieć i płynąć. A wtedy wszystko, co tamowało wzrok i słuch, opada, cała sfera pośrednia znika, zostają dwa krańce:

dusza i byt, zetknięte wprost. Przez ciszę może się nieść djalog pytającej i elementu, do którego pytanie mierzy. Ciszą jest jeziorem, po którym pływa łabędź ducha, jest królestwem niewolników ziemi, przestrzelną drogą do Sezamu prawd. Na wszystkiem, co wielkie, nie obryzgane błotem rynków życiowych, leży znak uciszenia. Lot wielkich orłów jest bezszelstny, drogi słońca i gwiazd są ciche, kwiat wschodzi w milczeniu i w milczeniu otwiera kielich dla rosy, zmierzch i świt cichemi ramiony obejmują ziemię — cisza jest treścią świata. Nie mówi tego wyraźnie Konopnicka, ale gdyby wciągała w ramy ducha swego astronomiczny obraz stworzenia, musiałaby niewątpliwie czuć wszechświat jako bezszumny ocean wieczności, którego fale niosą na sobie nieme gwiazdy i słońca. I dusza jest kroplą oceanową, ale odprysniętą na hałaśliwe wybrzeża, na jałowe ławice; dopiero w ciszy nocnej wraca na łono ojczystego żywiołu. W dzień, zaciągnięta w ziemski kołowrot, czuje się zabłąkana i czeka cichej nocy, kiedy skroń jej o chłodzi powiew ze stron wiecznych. Prawda, niebo nocne ileż nam przed wzrok i myśl rzuca światów dalekich, ileż większy udostępnia wykroj bytu, niż dzień, w którym białem światłem widzimy tylko siebie, jeden parowiorstowy krążek naszej zapadłej prowincji—ziemi. To też duchy, którym domem świat, zrzucają z zachodem brzemiona i płyną w dale. A choćby cisza i o śmierci mówiła, o rozpląnięciu się i zatracie, dobra jest—uwolni od męki ziemi. Posłuchajmy Michała Anioła, zgiętego pod ciężarem zbyt wielkiego ducha na jedno życie ludzkie:

O nocy, słodka ty, acz czarna poro!  
Niech się w twych cieniach wszelki trud ukoi,  
Dusza, co-ć wielbi, zbędzie niepokoi,  
Kiedy się światy w mroków płaszcz ubiorą.

Zrywasz i tłumisz myśl w wysiłkach chorą,  
Że lubo tonie w wilgłej oćmie twojej.  
Ty z życia niży, do górnych ostoj  
W snach nosisz często, gdzie tuszę pójść skoro.

O cieniu śmierci, przez którego pieczę  
Mrze ból, co duszę i serce nam nęka,  
Ostatnia pociech dla strapionych czaszo,

Uzdrow twą mocą mdłe ciało człowiecze,  
Łzy osusz, które krwawa spija męka,  
Pocisz nam gniewy, zwiej tęsknicę naszą!

Konopnicka słońca pragnie, modli się, płacze o nie—dla ziemi. To jej miłość do ludzi, to jej moment społeczny. A w noc letnią, gdy pocichną jęki skrzywdzonych, zmęczona misją swoją, pracą serca i łzami, brata się duchem z ciszą. To jej przywilej osobisty, tuśmy ją widywali marzącą; skrzydło, które cisza kładła na jej czole, było skrzydłem poezji. Już od najwcześniejszych wystąpień w chwilach wysokich unikała głosu. Przy pierwszych odwiedzinach Wawelu, na drodze powrotnej z Pienin, tłumiała pręmością słowa, marne tłumacze serca, które jej się na usta cisnęły. Bo jak w niebiosach milczenie tylko godne jest otaczać Boga, tak ona tutaj, twarzą przy-

padłszy do prochów ziemi, modli się, myśli, czuje, ale usta ma zamknięte.

Dzień jest agorą życia społecznego, noc i cisza świątyni dla duchów samotnych, dla jednostek. Więc bóle, nie mieszczące się w dziennych ruchach, muszą rozgrywać się na tle nocy. Są zatem dramaty nawet w łonie ciszy, tak jak czerw może toczyć kielich sennej lilji. „Ach oszukałaś ty mnie, nocna ciszo! Ach! oszukałaś mnie, ciszo kojąca” woła w chwili takiego smutnego doświadczenia Konopnicka:

Wierzyłam tobie, słuchając milczenia  
Lasów, co do snu bez szumu się kładły,  
I wód co swemi srebrnymi zwierciadły  
Odbiły gwiazdy bez drżenia.

---

Wierzyłam tobie—ach, i nadaremnie!  
Bo oto burza zerwała się we mnie...  
O ciszy nocna! kiedyż duchy zasną?

Widać boleśniejsze jest jeszcze to zmaganie się samotne pod namiotami ciemności, aniżeli męka mniejszych dusz pod światłem słonecznym, i Konopnicka—miewa nawet chwile zazdrości. Mali, biedni, skrzywdzeni, dla których tyle miała i będzie jeszcze miała drgnień serca, wydają jej się w tym nastroju uprzywilejowanymi, bo wraz z dniem kończy się ich świadome życie, bo nie znają całego palącego fragmentu bezsennej troski nocnej, bo..... *nie marzą!!*

Czemuż ty mi, życie,  
Nie dało do ręki  
Srebrzystego sierpa,  
A w usta piosenki?  
Czemuż ja nie wstałam  
Z zorzami rannemi,  
By żąć nasze żyto  
Na czarnej tej ziemi?  
Czemuż z mego czoła  
Pot nie spłynął rosą?  
Czemuż ja dziś nie z tych,  
Co te snopy niosą?

— — — — —

Nie żęłam ja żyta,  
Nie żęłam pszenicy,  
A niosę snop ciężki  
Wieczystej tęsknicy!  
O zmroku go dźwigam  
I dźwigam o świcie....  
Ach, kiedyż ty duchom  
Dasz spocząć, o życie?....

Jest stąd tak niesłychanie blisko do pewnej chwili w życiu Giordana Bruna, który też z płomiennej drogi ducha z zazdrością spojrział na proste, trudem znaczone dni wieśniaka, że niełatwo powstrzymać się od zestawienia:

Pocziwy kmiotek wychodzi z komory,  
Gdy się dzień biały wlewa w Wschodu łono,



Gdy słońce górne nieb przemierza tory,  
Rzuca się strudzon na łąkę ścienioną,  
I znów się znoi, aż póki w wieczory  
Noc światów czarną nie zamknie oponą;  
Poczem spoczywa. — Mną dola szamoce  
Rankiem, południem, w wieczory i noc.  
Płomienne grotty,  
Co z tych dwu łuków biją: z duszy mojej  
I z mego słońca (tem luty los stoil),  
Nigdy z kopuły nieb nie schodzą złotej,  
I w każdą palą porę  
Z wyży błękitów serce moje chore.

(z „Bohaterskich zapałów”).

Podkreślam z naciskiem motyw jednostkowy poetki na sciszonej scenie mroku, bo jest brzemienny dla jej lat przyszłych. W ciszy rodzi się dla niej zacząć nowych światów. Początkowo jest to dramat i ból:

Cisza.....

Szum słyszę! Szum morza daleki.  
Nie! To gdzieś wichrem zatrząsły się lasy,  
To dzwony huczają, to idą łez rzeki,  
To zapadają w mogilny proch wieki,  
To nowe rodzą się czasy!

Cisza.....

Jak ciężko jest słuchać tej ciszy  
Temu, kto głos jej rozumie złowrogi!  
O, jak jest ciężko temu, który słyszy,

Jak chaos jęczy, pracuje i dyszy,  
I rodzi — karły i bogi...  
I znowu palcem bezkształtnym zaciera  
Wysiłki swoje i boleści swoje....

Z czasem, w miarę kładzenia się coraz większej harmonji na duchu poetki, cisza wyniknie z nocnych woalów i na światło dnia. Kwiat twórczy wyrośnie wtedy poza moment egzaltacyj podgwiezdnych i spółczucia we dnie. „O ciszo, tęsknym zadumana wzrokiem, ty budzisz w człeku drugiego człowieka!” powiedział mistrzowsko przez Konopnicką przełożony Vrchlicky. I w niej się właśnie taki drugi człowiek obudzi, i niby perłę z dna spokojem ukołysanych światów, wydobędzie czystą i natchnioną „filozofję ciszy”.

## R o z d z i a ł I I .

### CHRAM PIĘKNA I PIASTOWA CHATA.

#### I.

Jako punkt wyjściowy dla twórczości Konopnickiej wzięłam rok 1875 — wycieczkę w Pieniny. Drugą taką datę zwrotną stanowi opuszczenie Warszawy i rozpoczęcie trybu koczowniczego — rok 1890. Koryto poetyckie zmienia wtedy kierunek, a prąd tętno. Widzieliśmy u samego podhalańskiego źródła, że uczucie twórcze, tęgie i pogodne, choć jeszcze nieco zasznurowane w manierze, zamiast wyzwolić się z brawurą, tak na moc wrosło w najbliższe wa-

runki społeczne i myślowe, że nawet pierwsze wychylenie się zagranicę pozostawiło je początkowo, jeżeli nie obojętnem i niemem, to natchnionem słabo.

Było to w r. 1882, kiedy Konopnicka odbyła podróż do Salzkammergutu, Wenecji i Tyrolu włoskiego. Mamy wrażenie, jakby wstydziała się wyrwania ze zwykłego kręgu. Widmo tego, co rzuciła, chodzi za nią jak wyrzut, a za nami jak natrętna nuta. Kiedy księżyc rzuca się do jej nóg ukośną kolumną i duch poezji zaczyna szepty, ona odsuwa go od własnej duszy: „A nędzarze, panie, a nędzarze?... A ciemnota ludu?... A lud kędy?“. Gdy widzi wschodzące słońce, to samo i takie same jak tam, dziwi się, a więcej jeszcze lęka. „Ty tutaj, słonko? A kto tam świeci nad wioską naszą lichą?“. Wyrzut z powodu własnego uchodźstwa, zarzucony aż na gwiazdę dnia, jeżeli nie ciasny, to przynajmniej sztuczny, sztucznie naiwny. Wiersze czynią wrażenie, jakgdyby Konopnicka wyjechała nie poto, aby zobaczyć świat, ale żeby widzieć swoich z nowego punktu obserwacyjnego:

Z bliska widziałam łzy wasze i troski,  
Z bliska waszego serca czułam bicie;  
Z bliska znam nędze i miasta i wioski  
I rany wasze i życie.

A teraz oczy moje są zmęczone  
Od łez i—droga moja w mgły ucieka...  
Idę odpocząć w nieznaną gdzieś stronę  
I patrzeć na was—z daleka.

Musiały jednak być chwile zapomnienia,... mimowoli wyrwało się to na usta poetce, kiedy wieczorny dzwon pochwycił jej duszę i uniósł do lubych stron, gdzie gwiazdy stoją we łzach. „O kraju mój, o kraju mój!—woła wtedy—znów jestem twoją, twoją!“ A więc widocznie przedtem była myślą gdzieindziej! I szczęście, że chwile takie się zdarzają, że inna treść, choć na mgnienie, umiała odciągnąć jej uwagę. Pozostanie w kraju, zamknięcie się poetycko w zbudowanej własnoręcznie klatce idei, wysokiej zapewne, ale w której poza wzbijaniem się i opadaniem, nie można było roztoczyć skrzydeł w żadnym bocznym kierunku, groziło Konopnickiej dogmatyzmem literackim i stałą rutyną myślową. To też, mimo zdziwienia z widoku słońca i popłynięcia z dzwonem, nie może zataić sama przed sobą, że chce jej się nowych napojów i, jak jeleni do źródła, dusza jej tęskni do żywej wody. Kiedyś, gdy zagubiła się w lesie wśród skier tańczących po ścieżce i różowych wrzosach, poczuła nagle, że ludzie nic a nic jej nie obchodzą. „Sprzeczne dnia hasła ni o jedno tętno nie przyspieszają serca mego bicia. Czy są gdzie ludzie—nie wiem i nie pomnę ni ich miłości, ni ich nienawiści. — A czy ja żyłam dotychczas? Czy żyję? Czy będę kiedy żyć jeszcze?...” *Atoli... coelum mutant non animum qui per mare currunt.* Nie tak odrazu dokona się przemiana.

Staje Konopnicka po raz pierwszy w życiu swoim nad morzem—na Lido weneckim, i ledwie ledwie poznany element, choć bezkreśny, odrazu umieszcza pod widnokreśmem ludzkim. Z czasem kropła słońca wody morskiej, padłszy na jej pierś, wypali

na niej zupełnie nowe znamię, kropla ciszy oceanowej da jej skroni wyższe pomazanie twórcze. Przy pierwszym widzeniu jest tylko błysk, poczucie, że staje się coś niezmiernego. Prawda wiekowieczna przyjdzie później.

„Jak pielgrzym wschodu, co w meczetu progach zostawia pyły podróżnych sandałów, tak ja, rzuciwszy u brzegów Lido barkę i wiosłarzy, ku morzu szłam, pociągana tchem jego dalekim. Na prawo i na lewo drobne, żółto rozkwitłe akacje prószły kwiatem skrzydlatym, a powietrze było ciche i bardzo niebieskie. Mnie czar jakiś ogarniał, gorącość wielka, i czułam, jak myśli moje w głąb idą. Naraz — zrobiło się oczom moim przejrzysto i szeroko — i powiały na mnie ogromne oddechy — i dusza moja zaszła świeżością i blaskiem. Morze szło ku mnie z pośpiechem wielkim, westchnieniami mówiąc do mnie, pełne niecierpliwych szeptów i wewnętrznego żaru. A kiedy się zbliżyła — przybiegło całą chyżością fal i otrąciło się o ławice piasku, tuż u nóg moich: a zobaczywszy, iż w zadumaniu stoję, wstecz poszło i cofnęło się w szumach, modrych ogniów pełne. A kiedy jeszcze stała, nadbiegło znowu z głuchem i natarczywym wołaniem. I zbliżyłam się na wołanie to i usłyszałam dziwną pieśń — pieśń przepaści. Takiej pieśni słuchając, człowiek po falach chodziłby mógł i na powietrze tchnąć duchy mnogie — i posyłać wichry jako ptaki morskie na wschód i na zachód słońca. Bo w pieśni tej jest słowo potęgi, jakiej człowiek nie odgadł jeszcze w sobie. Ale odgadnie i stanie w mocy i dojdzie miary, na jaką wymierzony był duch jego na początku. Lecz teraz, gdyby mię kto zagadnął, jak wyglądało

to morze, nad którym zasłuchana stałam, nie wiedziałabym, co rzec i jak je słowami pokazać. Bo nie utworzył język ludzki słów takich, któreby się podejmowały w głębiach — i falami szły — i uderzały o ziemię płaczem wiecznym — i odchodziły zawołane, ku wysokościom swoim. Wiem tylko, że cienie i blaski szły po niem, jak po obliczu żywym — i że z goryczą wielką o brzegi biło, i pełne było głosów mdlejących i ostatecznych westchnień. (To typowe odczucie Konopnickiej!) I podobnem było morze to rzeczom smutnym a mocnym, i rzeczom zakrytym przed oczyma naszymi dla wielkiej rozpaczyci swojej. I było podobnem do miłości — z drgnień błękitnych na najgłębszej głębi, i do nienawiści podobnem było z pian i mętnych zapędów i z szelestów węzowych. Wielkim poetą był Bóg, kiedy stwarzał morze. On uczył je ciszy, jako niemowlę swoje — i ryku, jako lwa puszczy. A teraz ludzie tu chodzą myśleć w głąb i wzwyż; a inni przychodzą puszczać oczy, jak mewy głodne, po dalekości jego: i odejdą ci i tamci — i pomrą. A morze przyjdzie pytać o nich u brzegów; lecz pątników jednodniowych ziemi — kędyż imiona zakryte są przed prędkim wichrem zapomnienia?

Cudzego głosu było potrzeba i cudzej dłoni, żeby mię wstrząsnąć i przebudzić i przywołać z tego zapatrzenia się w głębinę. Bom po raz pierwszy widziała coś tak wielkiego, iż można z tem było duszę zmierzyć“. (Wrażenia z podróży).

Ktoś, co tak czuje, wie, że w tej chwili stanął koło kamienia milowego na drodze swojej; i że tu odczyta, co znaczy droga jego, skąd przyszedł i do-

kąd go dalsze kroki niosą. W tem pierwszym sam na sam z morzem są do podniesienia trzy myśli, jedna o charakterze przypadkowym, dwie o stałym. Pierwsza, bardzo piękna, szkoda, że nie znalazła stałego schronu w duszy poetki: „Wielkim poetą był Bóg, gdy stwarzał morze“! Jeszcze raz, w „Inaginie”, ta sama myśl ją uskrzydli:

Śmiem wierzyć, że Bóg był potężnym wiesz-  
[czem,  
Kiedy wyrzucał z myśli swoich światy,  
I trącał lutnię mórz wieczystym dreszczem,  
I noc w gwiazdziste oblekał makaty,  
I objaśniony słońc lecących deszczem,  
Z strof granitowych stwarzał poematy,  
I w pieśni, która płomieniami bucha,  
Pomyślał wielką rzecz—ludzkiego ducha.

Nie idzie o przychwycenie nowego tonu między Konopnicką a Bogiem, który mógłby starczyć za tamte, zgłuchłe lub niedośpiewane. Idzie o szerszy wogóle pogląd filozoficzny: rozumienie stworzenia jako dzieła piękna, tworu ducha artysty. Oba wypisy wskazywałyby, że Konopnicka była na drodze do tej wspańlej koncepcji, wiążącej ją z majestatycznym echem filozofji romantycznej; niestety są to dwa zdania—przypadki, nie wchodzące w stałą konstelację myślową. Znamy poetkę już o tyle, by wiedzieć, iż twórczość artystyczna nie była dla niej najwyższym objawem ducha, nie mogła więc być dominantą, gdy szło o Genesis, o Boga. Trakt łączący ośrodek bytu—Bóstwo,

z tworam, mógł być jedynie etyczny; raczej uznać mogła na nim wyboje, rogatki, nawet zerwań parę, niż inną drogą szukać komunikacji. Zresztą po usunięciu pierwiastka moralnego Bóstwu zostaje jeszcze rozum i potęga. I one są olbrzymiem kłębowiskiem na wypuszczenie przędzy świata; stosunek artysty do dzieła nie mieści się już w tak zakreślonym obrazie, a nawet bez sprzeczności się z nim nie schodzi, nic więc dziwnego, że jako najmniej uprzywilejowany w myślach poetki, ustępuje.

Myśl nad morzem o charakterze stałym to śmierć: poczucie jednodniowości naszej na tle żywiołu, który mówi o wieczności. Tu zakiełkowała odrazu, aby nas już w podobnych okolicznościach nie opuszczać. A myśl trzecia, to miara wielkości morza—najwyższa, jedyne godne go zestawienie — dusza. I Bóg, gdyby poetą był, najgenjalniejszym Jego pomysłem byłby duch ludzki. Nie dusza dorasta do morza, do obrazu nieskończoności, chłonąc go w siebie, ale morze jest niejako starszym bratem duszy. Dokładniej da nam to wyczuć poetycki wyraz tego samego, wstrząsającego widzenia na Lido:

O niezmierzone, o morze!  
Na twojej srebrnej harfie nie śmiem złożyć dłoni,  
A pochwycona czarem, jaki pieśń twa roni,  
W milczeniu ducha się korzę!  
Z zamglonych wieczności progów  
Idziesz, jak idą czasy, konieczne, niezmiennie;  
A fale twe, lecące jak ptaki bezsenne,  
Widzą skon ludów i bogów.



A dlaczego wielka i przerażająca jest pieśń morza?

Bo nie przeminął od wieka  
Ani jeden z tych słabych, co krzywdy do-  
[znali,  
Żeby jego wołanie nie grzmiało w tej fali,  
Jako ślad nędzy człowieka.

Dziś jest nam to zakryte dla małości dusz naszych, ale kiedy sprawiedliwość ujmie berło ziemi, otworzą się łona wód i pieśń morza z przeraźliwą jasnością słuch ludów uderzy:

I nazwie ziemia pieśń tę—spowiedzią stuleci,  
I podniosą się narody  
Wiekuistym przypływem ducha wskrzesiciela,  
I ucichną twe jęki, i pieśni wesela  
W błękit podniosą twe wody.  
Lecz dziś, o morze! twe szумы  
Nieukojone płaczą nad nędzą ludzkości!  
I ja płaczę wraz z niemi...

To najdłuższy promień jej ducha. Na większe dale myśl jej wybrać się nie potrafi.

W głośniej przed laty kilkunastu powieści jest legenda o morzu, która w ten sam sposób — czysto ludzki — bierze w siebie jego szумы:

„Kiedyś, dawno, morze miało być zawsze spokojne i błękitne. Nie wiedziano, co to burze. Nieszczęśliwi na świecie byli tylko ludzie, to też, za-

zdroszcząc falom ciszy, wypłynęli na poszukiwanie szczęścia; ale wtedy na okręcie wraz z nimi zamieszkały odrazu choroby, klęski, niedole, a ciężar był tak wielki, że morze unieść go nie zdołało. Okręt zanurzył się i litościwe fale pochłonęły cierpienia człowieka. Zakotłowało się na dnie morskiem, łonem wód wstrząsnął niepokój, błękit przemienił się w szarysznę, zapieniła się czarna głąb, a olbrzymie bałwany z hukiem uderzyły o brzeg. Odtąd morze zмага się, burzy i pieni” \*).

Legenda ma w sobie coś dziecięcego. Kwiat to może nie z europejskiej girlandy poetyckiej, roślinka dzikiej gleby, jakie przynoszą z dalekich morskich brzegów ludoznawcy i misjonarze Nie zestawiam jej z wizją Konopnickiej, która choć nas nie zadawała szerzą, jest jednak wzniosłym wytryskiem natchnienia. Gdyby atoli unaocznic sobie sznur dziejowy wyobrażeń antropocentrycznych, mielibyśmy w tej chwili punkt bliski naiwnego początku i sam koniec: filozoficzne ukoronowanie stanowiska.

Konopnicka zresztą jest tu naskroś sobą. Bo czemuż czyni wielkie morze, jeżeli nie urną tylko na bóle i nadzieje ludzkości? Żywioł-olbrzym stoi jedynie spółczuciem.

Odyseusz, posiwiwały heroj, dalekich fal pławca, na brzegu złocistym spotkał starca aojdę, który do ucha przykładał tęczowe muszle i słuchał ich pieśni, sądząc, że wleją mu w duszę całą pieśń żywiołu. „Szpetna skorupa, — mówił — długa kręta skorupa,

---

\*) „Listy, które go nie doszły”.

zewnątrz chropawa, błękitna w środku i czysta, nie większa od ucha naszego, a całe w niej morze, z mielicami i przekorną ciszą, z ostremi wichry i z wód rozszemraniem. Koncha maleńka, albowiem jej słuca ucho maleńkie, lecz w niej wszystko słyszy. Takim Aojda jest...“ Z uśmiechem odparł Bohater sędziwy: „O Femio, większe mnogokroć jest morze!”\*)

Czy nie powtórzyłyby tych samych słów i tego samego uśmiechu heroj, który fale na skrzydłach wszystkich wiatrów przemierzył, usłyszawszy pierwszą nadmorską pieśń Konopnickiej: „mnogokroć większe jest morze!“? I ona była Aojdą, który słuca muszli, dobranej na miarę ludzkiego ucha, i w gamie o krótkiej ludzkiej skali zamknąć chce całą melodję stworzenia. Żywiol nie ma dla niej jeszcze samotnego bytowania. Ale tak nie zostanie. Bądź co bądź poetka uczy się już z nim rozmawiać i to jest preludjum do okresu drugiego, w który wchodzimy w roku zamiany życia na wędrownne.

## 2.

Wraz z opuszczeniem Warszawy Konopnicka zdobywa nowe drogokazy i podpory. Kształcąc się ustawicznie, stara się wnikać w dzieje i kulturę innych narodów, w karty nieznaney sobie dotąd twórczości. Średnica jej świata pojęciowego i artystycznego wydłuża się raptownie, dokonywa się szereg ściślejszych duchowych zbratań z zagranicznymi indy-

---

\*) Giovanni Pascoli: L' ultimo viaggio (Ostatnia podróż): „Terpiade Femio, assai più grande è il mare“.

widualnościami poetyckimi, przyłgnięcie do fali natchnień cudzych, i z tych zmierzeń własnej mocy ze światami innych zyskujemy jedną z piękności literatury naszej: nieporównane a liczne jej przekłady.

W wędrówkach swoich Konopnicka często dobiega morza; czuje siłę, jaka bije w nią z niego i nadstawia się jej świadomie. A wtedy morze zaczyna mówić coraz więcej; nie jest już niewolnikiem, nie powierza tajemnic muszłom żadnej idei czy uczucia, rozsadza ramy choćby szerokiego jak ludzkość pojęcia. Musiała wyczuć poetka, jak liche są wszystkie jej dotychczasowe miary wobec jednej tylko, która jest prawdą — wobec nieskończoności. Fale wielkie, bijące o jej duszę, to nieprzemienne godziny na zegarze wieczności, duch „utracił siebie w tym modrym ogromie i już nie czuje na sobie tej gliny, co zmierzchy w jego czyniła mu domie”. W Liście „Nad wielkim morzem” wiersz każdy jest jak gdyby taką falą — posłem od tajemnicy na brzeg świata, na krawędź widomego bytu, a każdy zamknięty w obręczy dalekich zórz, niesie chłodny i surowy powiew rzeczy, które nie przeminają. W „Italji“, w Adwokacji czytamy:

Nie przeto w uwielbieniu przed tobą się korzę,  
Iż taki błękit w tobie i takie szafiry,  
Nie przeto, iż tak srebrnie grają swoje liry,  
Gdy szerokich zachodów opłyną cię zorze.

— — — — —  
Lecz przeto iż w twą siną dalekość lecąca,  
O brzeg żaden, o tamę myśl skrzydeł nie trąca,  
Żeś tak przestrzennie wielkie, tak ogromnie boże!

Ze z wszystkich dróg, w tę jedną puściwszy  
[się drogę,  
W nieskończoności jakiejś pogrzyźć się mogą,  
Przeto cię wielbię, przeto, pożadam cię, morzel.

Jest królewskie południe jej talentu. Zastygłe od lat po zakątkach serca łyzy osuszyło słońce włoskie i klasyczne, pod którego promienie coraz częściej składa duszę. Wyparowuje sentymentalizm, szczątki roztkliwienia. Jej oblicze twórcze smaga wichher morski i kładzie spalone oddechem wieczności tony, gdzie dawniej leżała chorobliwa chwilami bladeść. Słońce, oddawna bóstwo jej ołtarza, miało dotychczas wygląd zimowy nieco, było szklistem słońcem idei, w przyszłości miało rozgorzeć dla ziemi, nad dniem dzisiejszym odbywało najkrótszą i najniższą drogę, wschodząc późno, a zachodząc pospiesznie. Teraz krajobraz napęlnia się po brzegi życiem żywym, załamują się w niem mocodajne promienie. Jednocześnie mapa ducha rozciąga się dzięki morzu i uwypukla przez odczucie rzeczywistego słońca. Czy jest w tem sprzeczność? W obliczu słońca nieskończoność, śpiewana, przez morze, jest pogodna, nie przeraża nieością, kładzie się jak szlak spokojny, acz bez kresu. I nawet kiedy śmierć — już spomniana — jako monarchini przestworów na ten szlak wkroczy, to i jej królestwo nie będzie państwem nocy, ale przejrzystą drogą ku dalekim celom. Nawzajem, dzięki morzu, moment oświetlony słonecznie nie jest znikomością, ruchy na ciasnej scenie chwili nie są rwanymi ruchami, podsycanymi z palenisk zmysłowych, mogą mieć ważność i pozycję.

W istocie samego tworzenia Konopnickiej zachodzi kardynalna zmiana. Do wartości muzycznych, które przyniosła ze sobą w pierwszym dniu twórczym, dołączają się niepoślednie wartości plastyczne. Do harfy przybywa trzymana w drugim ręku paleta, do płynnej linii muzycznej świetlna linia malarska, której przepyszne wznoszenia się i spadki zachwycają nas po sto razy w „Italji“. Tam każde słowo będzie „kąpała w błękitnej pogodzie”, a jak Cycero, „wodząc miękką dłonią po etruskiej wazie, nauczy się jej okrągłość zamykać w wyrazie“.

Konopnicka stała się wielką artystką. Działo się to jednocześnie z dniem, w którym zapaliła sobie własne światło wewnętrzne. Wyczuł je w niej Lenartowicz<sup>91</sup> „słowy ją swemi namaścił z dala”, pisząc jej w liście: „W ognjach jesteś świętych—idź — a świeć!“.

Ten drugi okres twórczy, nieskończenie wyższy od pierwszego pięknem i głębią, ma, tak samo jak tamten, janusowe oblicze. Wtedy mieliśmy dwudział na szczyty myślowe i doliny niedoli, na ciszę nocną dla marzeń i na dzień gwarny dla pracy; faza druga rozdwa się raczej geograficznie. Trzymając się częstych wyrażeń samej autorki, nazwę jeden odłam *chramem piękna*, drugi *chatą piastową*. Pierwszy to Italja przedewszystkiem, częściowo Prowancja, drugi — Polska. Pośrednią sferą jest pas natchnień biblijnych, niby łańcuch gór, rozdzielających dwie inaczej oświetlone krainy. Wzbijemy się najpierw na ten środkowy szlak, tembardziej że werznął się w natchnienie jeszcze w Warszawie.

3.

Z Biblią czuła się Konopnicka bardzo dobrze: trafiła w niej na pokrewny sobie ton. To była geograficzna i duchowa strefa patosu. Tu nabrzmiłość, która kiedyindziej raziła, stawała się czasem wichrem bożym, czasem kolorem ziemi, w którą ten wichier bił. Przykre nam było, gdy uroczystymi dymami owiewała poetka płowe główki chłopiąt mazowieckich, ale mogły, a nawet musiały tak grać struny, idące od proroków ku Bogu. Że ta była pobudka, umacniamy się, widząc, iż Konopnicka nie szuka w Biblii stron sielskich, pogody, ona, co tak świetnie grywała na fletni na rodzinnych polach.

Drugim traktem ku Palestynie, dla niej, jak dla wszystkich, którzy tam szli od nas, była analogja. W tej szacie z błysków, w wichrach, pełnych tchnienia bożego, w skwarach pustynnego słońca, lub w pluskach rzeki wygnania, stroi się słowiańska gęśl Konopnickiej na śpiewanie bólu innej, droższej sercu niewolnicy, którą dotąd ubierała tylko w kwiaty łąkowe i opieśniała szmerem leśnych strumieni. Niesłychane namaszczenie twórcze położyło się na jej duszę, gdy tę parę urywków z grzmotu i jęku splotła, wysoko ponad zwykłą sferą swoich gwiazd tęsknoty i marzeń. Takim głosem, nie uroczystym wcale, nie bardziej soczystym w barwach, a piorunowym w duchu, musiały mówić sybille. Kiedy powiada przez usta Ezdraszowe:

Przez-żeś rozproszył, Panie, jedynaczka swego  
I drapieźnym go wielu dałeś na zginienie?

Przez-żeś go ty porzucił w pył drożny  
[i w cienie,  
Iż depcą po nim konni i ci, którzy biegną?...  
Przez-żeś zdmuchnął nad głową maluczkich  
[swą zorzę  
I nakarmił jastrzębie polnemi ptaszęty?

budzi się echo prorocत्व, jakie nie obojętna nam  
Palestyna, ale własna nasza ziemia słyszała:

„Będziecie jako wdowa osierociała, wy coście  
drugie narody rządźli i będziecie ku pośmiewisku  
i urąganiu nieprzyjaciołom swoim... Będziecie nie tylo  
bez pana krwi swojej i bez wybierania jego, ale też  
bez ojczyzny i królestwa swego, wygnańcy wszędzie  
nędzni, wzgardzeni, ubodzy, włóczędzy, które popy-  
chać nogami tam, gdzie was pierwej ważono będą“. Tej  
krwawej wieszczbie modlitwa Ezdraszowa po trzech mi-  
nionych wiekach zdaje się przywtarzać: „A zaś się stało.“

Nie jest tu już poetka lękliwą ptaszyną, onie-  
śmieloną bliskością Tego, który z rąk swych puszcza  
wieki jako gołębnice. Owszem, gdy nad pustynią, „tarza-  
jącą się w bólu jako lwica płowa, co ma porodzić  
lwa“, oddalił się na czterech wichrach, spętanych jak  
konie“, ona rwie się za Nim w sam Jego blask, w samo  
serce milczenia, które jest Jego potęgą. Kiedy śpiewa  
Nabi, Konopnicka już jest „bardką“, „ptakiem spęta-  
nych skrzydeł, zerwanych strun narodu lirą brzmiącą“,  
co przyspieszy pieśnią swoją bicie serc naszych.  
Słowa Nabiego to niby święte śluby poetki, a gdy wzy-  
wa na siebie karzącej prawicy bożej, jeśliby Jeruza-  
lem swojej pomnieć nie miała od zmierrchu zórz do  
rana — zaświadczyć możemy, że zaiste nie zapomnia-



ła jej przenigdy, pod żadnem słońcem i nad żadnem morzem, aż po dni swoich kres.

W łunach tego samego żaru stoi jej Mojżesz, najpotężniejszy Mojżesz w poezji polskiej. Rozumiała go jako prometeidę. W książce „Mickiewicz, jego życie i duch“ widziała podobieństwo wieszczą po Improvizacji do wodza izraelskiego, bo obaj, choć przegrali, po scenie z Bogiem w dwurożu promiennem zesłli między ludzi. Jej Mojżesz jest w tej chwili opuszczony, a w rozpamiętywaniu bólu swego ma świadomość, że będzie pierwszą iskrą z długiej na stulecia girlandy duchów, Bogiem czy górnością rozgorzałych, które padną w progach ziemi obiecanej, nim dzień tryumfu nastanie. Jest on z tych, którzy wszystkie soki życia ofiarowali na pracę i trud, aby kraina daleka rozsunała niegościnnie ściany. Wysilenie ciała jego i ducha dane jest ludowi. Gdybyż on nie był widział smaganego grzbietu „brata-niewolnika“... Ten widok obudził go na misję. Jest to jego rodzinne podobieństwo z pozostałymi zjawiskami świata myślowego Konopnickiej. Ale to i różnica zarazem z nie tak wielkiej miary, ale też wysokim Mojżeszem Ujejskiego. Tamten zna tylko Boga, jest Jego narzędziem przed ziemią. Narzędzie zesłano w lud, sam lud atoli nie jest punktem wyjścia czynu możeszowego, jak u Konopnickiej. Jednak w pewnej chwili, nagle, i u niej „w szumach się orłów porywa gromada, w dali gdzieś łuna gore piorunowa“, do stóp Mojżesza spada zabląkana gwiazda, a w pierś mu wchodzi wicher, jak w pierś morza. To On, to Jehowa, to Bóg! Huragan przeciąga światem, a dusza olbrzyma jest falą, bijącą w mające się narodzić wieki. —

Przychwyćmy znowu spojrzenie Konopnickiej ku Mickiewiczowi. W studjum „Portrety piórem”\*) zebrała z przejściem słowa współczesnych o tem, jak spokojne zazwyczaj czoło wieszczki zapalało się, oczy rozświecały nieznanym blaskiem. „Wnet jakaś cudowna siła rozpromieniła oblicze poety — pisze Wojciech Cybulski po improwizacji Mickiewicza na wydanej na jego cześć uczcie przez poznańczyków w Berlinie — Cała osoba w nadziemską zdawała się być przemieniona istotę.“ „A wtem widzimy powstającego Adama — opowiada Eustachy Januskiewicz narzeczonej o historycznym grudniowym wieczorze 1840.— Cała twarz przybrała jakąś anielską postać, dziwna, niepojęta światłość otoczyła jego skronie.. Powstali wszyscy, jakby na zjawienie się bóstwa, przychodzącego odwiedzić śmiertelnych. A on wypuścił z ust swoich rzekę słów, najcudowniejszych myśli i rymów.. Taki pęd niewstrzymany, że nam oddech tamował... Staliśmy w osłupieniu... milczenie było grobowe.. Kiedy skończył, wszyscy zaleli się łzami, jeden okrzyk uwielbienia wyrwał się z piersi, wszyscy padli przed nim na kolana”. A Witwicki: „Twarz Adama miała być w tym momencie jakby anielska, spokojna, piękna, jasna. Mikulski Izidor utrzymuje, że widział nad głową Adama światłość”.

Tak wchodzi Jehowa w pierś swoich wybrańców. — Mamy dwa kolosy z tego wichrowego hufca: tamten na pustyni, był pierwszy, ten do naszych dni — ostatni. Krótko: Mojżesz Konopnickiej, prometeida, to wieszcz, to bard, używając terminu, który

\*) Z roku Mickiewiczowskiego.

nas bynajmniej nie zadawała, ale który tak bardzo zadawała Konopnicką. Nie, że nisko kreśliła drogi wysłańców bożych, ale że wysoko drogi wieszczów, aż po światłość nieziemską, aż po aureolę wokół skroni.

Ten jeden z najpotężniejszych Mojżeszów w literaturze świata ma brata marmurowego w nagich ścianach rzymskiego kościoła. Bo Michał-Aniołowy olbrzym mógłby łamać się w szale słowami Konopnickiej. I kto wie, może chowa we wspomnieniach swoich tę chwilę zamroczenia, rozbratu z Przedwiecznym, naciągniętą krwawo na struny polskiej mowy, albo też może lada moment, zerwawszy się z kamiennej wieczności, w której unieruchomiło go dłuto genjusza, wić się pocznie w takt poetyckiej męki:

Synai! Synai!

Przemów ty za mną gromów swych językiem...

\* \* \*

Zanim spuścimy się dwiema drogami na dwa stoki, musimy jeszcze podkreślić pewien zasadniczy punkt wpływu zagranicy.

Żyjąc w Polsce hasłem pracy organicznej, widząc możliwość oddechu dla ludu i kres bezdomności narodu dopiero w przyszłości, Konopnicka nie miała spojrzenia historycznego. Dzieje, jako składnik świadomości narodowej, dociągane były do płaszczyzny dnia obecnego, wessały się w ogólnonarodowy organizm, który wszystkimi zmysłami wyteżony był ku przyszłości. Dlatego tak jej łatwo było przejąć się pozytywizmem, nie potrzebowała niczemu w sercu swoim sypać mogiły.

W zetknięciu się z innemi narodami ten punkt widzenia stracił rację bytu. Przeciwnie, zwiedzająca i badająca obce kultury podróżna musiała krążyć wśród minionych wieków, nagromadzeń minionej sztuki, na których stosie dzień dzisiejszy był tylko chwilowo najwyższą, mijającą na słońce wystawioną kartą. Konopnicka mimowoli zaczęła odpływać myślą wstecz. Garnął jej duch dalekość rzeczy dokonanych, brał w siebie podmuch życia zgaszonego, i tak myślowo jak artystycznie, przystał na nie. A wtedy ludzkość, która dotychczas jawiła jej się tylko w rozkrajaniu pionowem: na pokład wyższy, zaległy całą wagą swą na niższym, przytłoczonym, teraz ukazała się jak rzeka, wiekami płynąca, której załamy zaczęły przykuwać jej spojrzenia. Jest to zasadnicza zmiana jej warty społecznej: przybywa dal dziejowa. Dawniej, o ile nawet jej natchnienie cofnęło się parę razy, wynosiło na widnię to samo rozłupanie, które stanowi treść dnia dzisiejszego, spomnijmy „Kaloskagatosą” i „W pi-rejskim porcie”; „Demos Cezarowi” zgrzytnął ironją, którą bezwiednie łkały dzwoneczki liljowe nad żołnierską mogiłą Stacha; w „Heliosie,” mimo wszystkie boskie dary, mimo duchy Sokratesa, Platona, Eschylosa, Grecja upada, bo ciało jej toczy czerw niewolnictwa\*)

---

\*) Tu słońce jest spółwiane krzywd społecznych, jest nawet ich rodzicem. Helios sam stworzył helotę. Grecja ginie nie z winy własnej, ale za błędy twórcze, przez przeliczenie się słońca. Jest to, jak na Konopnicką, krzyczący wyjątek. Helios był zawsze jedyną nadzieją niewoli, tu jest jej autorem. Ten pogląd, gdyby go przeciągnąć konsekwentnie, wiódłby do pesymizmu i beznadziejności.

Nawet w Hypatji scena omal nie stanęła w czerwieni krwi niewolniczej.

Od dziś wszakże poetka chylić się będzie nad falą dziejów, niekoniecznie aby wyławiać krwawe korale ukrzywdzenia społecznego. Węzłem obu nici, dawnej i nowej, jest wspaniały utwór w formie dramatycznej: „Prometeusz i Syzyf,” jedna z najgłębszych kreacyj, jakie po Konopnickiej zostały (r. 1892). Syzyf na dnie czeluści męczy się straszną swoją pracą, głos Prometeusza spada ku niemu z wielkiej wyży. Lud zatem — to nizina; duch, ów dawny myśliciel, co światło miał nieść — to góra. Rzecz dotąd zupełnie skrojona starym stylem. Ale jest i drugi czynnik — czas. Dramat wołających się otchłani rozbity jest na trzy momenty dziejowe, oddzielone wiekami. To już punkt widzenia nowy: historyczność; proces długi, bo akcja się w jednym dniu — choćby najdokładniej przeciętym skalpelem od powierzchni po dno — nie rozwiąże.

I tu właśnie, z tego utworu wijąca się wstęga dziejowa będzie traktem naszym w Italji, gdzie wrażenia osobiste, słońcem ostatniej godziny oblane, stykają się z widzianymi na dalach obrazami świata klasycznego.

#### IV W CHRAMIE PIĘKNA.

*Salve pulchra parens, terrarum gloria salve:  
Petrarca.*

„Którzy idziemy w słoneczny twój chram, o wieczne piękno”, czujemy, że u bram tej boskiej krainy myśli klękają nam jak pątnice. Wchodząc do Italji,

nurza się przedewszystkiem Konopnicka świadomie w blask. Wierna jest sobie, przywiódł ją tu jej nieomylny heljotropizm. Tylko że słońce, w którego pyle stoi teraz cała, to nie jej słońce - światło, srebrne a miłościwe, które osusza łzy i daje źrenicom widok na jutrzejsze drogi, to nawet nie iskra, wyrwana płomienisku niebieskiemu przez Prometeusza i rzucona w otchłanie syzyfowe. Tu go nie trzeba błagać, aby nie zapadało zbyt szybko za lasy tkane z purpury, tu rajski ptak jego nie wschodzi, lecz wzlata. Dotej ziemi błogosławionej dzień pospiesza jak kochanek. I Konopnicka szczęśliwa jest tą kąpielą blasków, morzem, które idzie całe w iskrach djamentowych ku całemu w złocie wybrzeżu, niebem o obliczu młodzieńczej pogody, nieznającej zachmurzeń smutku ani gniewu.

A i w inne jeszcze słońce patrzy uniesiona— w sławę. Ona wszystkie kształty toczy w wielkość. Nawet na obcą pątnicę rzucają się jej promienie i każde słowo z piersi, każdy okrzyk zachwyty wybiega zwiększony, przystaje w zróżowieniu do kolumn marmurowych, a w rytmie do wiecznej harfiarki—morza.

U tych dwu słońc, sławy i piękności, stoi cały cykl „Italja”. W przepysznej „Zatoce Baji” dziwi się poetka, jak głos przeszłości daleko dolata. Wobec Loggi Rafaela czuje, że myśl jej, która po mlecznych gościńcach przeleciała światy, tu loty złoży — trafiła do słońca.

Ona sama rozplywa się w kolory. Świeżo narodzona malarskość słowa przybiera oblicze niejednokrotnie doskonale klasyczne.

Konopnicka wogóle wypowiada się rytmem krót-

kim. I w Italji najklasycyzniejsze urywki mają wiersz 5-o, 7-o, i 8-o zgłoskowy, rzadko dłuższy, ten sam zatem, jakim śpiewają jej pastuszki polskie. Ale choćby np. w takich „Pracach Amora” jak szybkość tempa doskonale przystaje do wesołej krzątany pacholęcia niebieskiego!. Nawet wzniosłość, groza, ledwie nie głos boży, tworzący świat i niosący ostatnie jego pokaranie, ściąga się w takie krótkie wiersze, a potęga w nich grzmi. I sonety jej bywają spieszne rytmem muzycznym i ruchem wewnętrznym, kalejdoskopem lśniących przerzutów fali, tłumy nadbrzeżnego, śmigłych łódeczek; przecież niektóre z nich są jak autentyczne greckie amfory, cacka, czareczki kryształowe. Niby jasne perły tak jej się słowa gonia, czasem aż za dużo jest przepychu, drogich kamieni, aż sztywno—zwykła przepływność ścina się jakby skorupą błyszczącą:

Naraz blask! oko tonie w świetnym *seledynie*,  
W czarownych transparentów gubi się rozświecie,  
*Lazur* nieba się odbił w morza *malachicie*,  
Jak czasa *turkusowa* w *złotem* Cypru winie.

Tam, jak żywo, jak *czarno*, niby *gagat* pała,  
Jaskółczem skrzydłem żagla pędzona łódź mała!  
Jak skroś tego przezrocza przerzyna się, płynie...  
(Chiaia)

Tyle klejnotów na krótkiej przestrzeni pięciu wierszy!. Ale to wyjątek. Przeważnie jest oddechowi luźno, przestwór rozwiewny, szeroki, niebo wysoko, morze bez tamy dla myśli i oka, powietrze błękitne aż

po orła kolebkę, Korsykę, a dla snów aż między anioły, zaś czasów linja długa, można nią mknąć, póki nie ustaną skrzydła. Najmilszą niespodziankę sprawia nam tu ta romantyczka z natury i z intencji twórczej, z zapatrzenia miłosnego i z długoletniego patosu, który czyste kontury natchnień rozdmuchiwał jej nieraz i rozdymał. Jak ona teraz cyzeluje artystycznie! Jej dech rozlotny nie umiał się dotąd mieścić w kształcie figurycznym, roztrącał klasyczne ustawienia; wolał jak obłoczek roztopiać się błękitnie, czarując eterycznym wdziękiem swoich rozpląnięć. Jest w Italji kilka takich muślinków zwiewnych, śliczne nadmorskie, bezszelestne jak przepływ ducha „Carignano w dzień“, dosłownie piosenka-wiew. Ale obok są przykłady, że teraz już pęd umie się prześliznąć przez klasyczny ornament, a nie drgnie w nim żaden pyłek, owszem, kształt, idealnie czysty zewnątrz, wypełnia się szumnem winem ducha Konopnickiej i harmonja wypada słoneczna zupełnie. Urodzonego klasyka dusza mogła tylko dać takie perły, jak niektóre z sonetów włoskich naszej poetki.

Nie wypisujmy wszakże tych uwag nad całym zbiorem. Obok sonetów, godnych parnasistów, są wiersze, i to, przypuszczam, najbardziej ciepłe sercem, bo związane z jakimś drogim momentem czy echem, które jednak dla nas szarzeją zupełnie odskakująco, niby skromne oliwki na wielkopańskiej zieleni laurów i magnolij. Słoneczny spokój ziemi klasycznej zbyt łatwo staje się u niej senną omdłałością południa nad polskim łanem. Nie zawsze umie wytrzymać linję; jej uczuciowość, często czułośćkowość, jest przeciwniczką monumentalności,



którą rychle a pieścztotliwie wygina i zmniejsza, z palmy królewskiej czyniąc z uciechą poczciwą wiklinę. Brak jej czysto zmysłowego, zewnętrznego pierwiastka radości, bez której ani rusz chodzić przez cuda południa, brak jej poczucia ciała. I nawzajem, zmysłowość jej, o ile czasem prześwieca w erotykach, nie ma sankcji piękna ani jego rozgrzeszenia. Zresztą refleksje te wypukłej wyjdą nam jeszcze przed sztuką aniżeli przed przyrodą Italji.

Mimo wszystko, zestawiona z Asnykiem we Włoszech, Konopnicka uderza przedewszystkiem dużym blaskiem, często mamy wrażenie, jakgdyby pisała wprost słoneczną strzałą. Jemu na południu wypadło prawie że próbne wystąpienie, a choć maestrja jest wielka już we wczesnym biegu pióra, jednak zapominać nie wolno, że Asnyk do Włoch przyjechał ranny głęboko, a piękno i słońce, które innym dawały szczęście i upojenie, jemu miały być tylko lekiem. Późniejsze zaś jego „Freski starożytne“ to ściślej metopy na świątyni myśli, o figurach pół-wypukłych: matowe są, czynią wrażenie stiuku, podczas gdy Konopnickiej udało się parę scen i ruchów zakuć w marmur (W zatoce Baji). Jej „Hellenika“ zato nie stoi jak kwiat nad zwierciadłem głębokich zamyśleń, co właśnie trzebaby powiedzieć o Asnyku, nie mniej potrafi i ona udatnie puścić swą łódź liryczną na grecką falę. W powietrzu jej jest wtedy śliczna śpiewność, linje wszakże, jak zawsze płynne, nie krzepną w posągowe obrysy. Jej wiersze z „Helleniki“ są nieraz tylko tem samem klasycznym udrapowaniem uczuć, co np. „Tyrteusz“ Anczyca, nie mówiąc już o „Maratonie“—taka

choćby „Cytara Tymona“, tem jednak żywa, że się w niej przegląda dusza poetki samej, bo to ona właśnie nowe struny nawiązała na swojej wąskiej dotychczas cytarze.

W znamiennym stosunku wobec Konopnickiej znaczy się we Włoszech Tetmajer. I on staje w kaskadach blasku, tylko że goręcej jakoś u niego i parniej. Jej słońce w ślicznych nadmorskich obrazkach, jest jarzące, jego nad lądem i wodą jest rozgorzałe. I nietylko ono grzeje, ale i rozpalona pod jego promieniami krew. Konopnicka czuje pewnie pogańską tradycję tej ziemi, on czuje war swojej pogańskiej krwi. Ona miała parokroć jasne widzenie starożytnej duszy, jego porywa wir święta zmysłów, jakim dla ziemi była starożytność.

Jest przecie ton, którego Konopnicka nie uderza, a który złoci się u Tetmajera. Jej wyobraźnia nie opiera się nigdy o mit: ten zakłęty las piękna jest wieczystość dla niej niedostępny. „Gust do mitologii zgubiłam kiedyś z kretelem, czytając klasyków naszych“ — wyznaje sama w swoich „Wrażeniach z podróży“. Ale nietylko ta jedna mitologia, którą mogli jej obrzydzić pisarze XVII czy XVIII wieku, lecz wogóle żadna i nigdy na drodze jej natchnień nie stoi. Świat nadprzyrodzony dla niej nie istnieje. A jednak chyba ojczyzna klasyczna powinna była z duszy artystki spłókać do szczętu uprzedzenie, zrodzone przez bezduszną maskaradę mitologiczną. Tu przecie mit był pulsem samej ziemi, pieszczotą tak przez nią miłowanego słońca. Konopnicka, stojąc przed marmurowym Faunem, wnika głębokim smutkiem w jego na dwoje rozdartą naturę,

jednak sama, zabłąkana w gajach włoskich, nie trafia nigdy na tropy nadprzyrodzonych tego kraju mieszkańców. A Tetmajer słyszy jeszcze ich kroki koło siebie, w Pesto widzi odpływającego na morze boga z wielkiej świątyni, w zaroślach chwytą śmiech satyrów i dostrzega lekki ślad stóp nimfy wśród liści akantowych. I Asnyk — nawet on — gdy myśl w dale czasów posyła, wydostaje się za krąg ludzki, a prawda bytu objawia mu się przez usta niebian. Żali się wtedy, że „przeminął czas tęczowej cudów powieści“ i że w lesie „nie mieszka żaden bóg, faun płochy ani drjada.“

Konopnicka nietylko nie szuka tego rodzaju natchnienia, ale cała struktura jej wyobraźni nie jest „mitotwórcza“. Kasprowicz w „Ginącemu światu“, porwany wichrem tragicznych zmogów zła i dobra, obracający się zatem wśród zagadnień moralnych, a oparty co najwyżej o wiotką trzcinę wyobrażeń ludowych, umie jednak nadać swoim walkom tytaniczne znamię, niby jakimś mitologicznym bojom starej Eddy. Świat, w który nas porywa szaleństwem bólu, nie jest światem fantazji, to rzeczywistość, w której żyjemy i kierownicze dla naszej egzystencji pojęcia. A jednak mamy wrażenie, że pchnięto nas w zamierzchłe czasy, kiedy zazdrosne bóstwa walczyły o panowanie nad ziemią i wrywały sobie jej świeży twór—człowieka, rzucając na się wojska żywiołów, zaś niebo i czeluście uczestniczyły w szalach piersi nadprzyrodzonych. A Zejer,—co o nim powiedzieć?—który w każdej piędzi swojej rodzinnej ziemi widzi baśń i na ubogich kwietnikach mitologii słowiańskiej wystawia świat nie

węższy od świata Wagnera, wskrzeszonego tylko, to prawda, ale któremu obrócono myśl na nieskończoność? A Carducci, którego patriotyzm jest poprostu patriotyzmem mitologicznym, wszystko, co kwitnie, ma głos i ruch, jest mu bóstwem; odarte z mitu Włochy byłyby chudą ziemią, nagim klepiskiem wieków, terminem geograficznym, ale nie byłyby ojczyzną.

Kto wie, czy ta mitologiczna pustka u naszej poetki nie jest wynikiem bocznym głównego zgrupowania zainteresowań na człowieku żywym. Chociaż pod tym względem doznajemy w Italji pewnego zdziwienia: społecznie jest tu wkoło Konopnickiej próżnia. Powierzchnia zetknięcia się jej duszy z duszą Włoch nie jest zbyt szeroka, nie przechodzi miary zetknięć zwykłego turysty, a mielibyśmy prawo spodziewać się po niej czegoś więcej. Prawda, Rzym dał jej spojrzeniu w dzieje momenty głębi, jeżeli nie cały cykl „Lex“, to jego Fragmenty (*Si quis dixerit*) powstały tutaj, ale specjalnie duch i życie włoskie przykuwa ją mało. Z nad milczenia o całej poezji tego kraju podnosi się tylko jeden Tasso. (W „Sant’Onofrio“). I dzisiejszych, młodych, świeżą wolnością umajonych Włoch ani śladu. Aż przykro, że myśl poetki nie poszła tą tak bardzo prostą linią uczuciową dla każdego polaka: Garibaldi, Mazzini... Prawie nie do uwierzenia, że ten świat nie poruszył właśnie jej duszy, bardziej niż czyjejkolwiek innej. W jakimś jednym sonecie mający Gran Scoglio skąd „I Mille“ rzucili się ku zwycięstwu, dalej dwu poznajemy weteranów Risorgimenta: Pietra, ptasznika, bez ręki i nogi, i Antonia, starca o kuli, który bajecznie opowia-

da dawne boje, — to wszystko, czyli nic właściwie.\*) Ludu trochę widać w Neapolu, krzykliwego tłumu rybaków i przewoźników, którym „morze jest puha-rem upojeń“. Zazwyczaj tak skwapliwa do zagadywania prostych ludzi Konopnicka, tu ledwie że z jakimś jednym barcaiuolem rozmawia. Tu nawet nędza i głód, przemożne „cezary tego ludu“ nie narzucają się stru-nom, widocznie czuje poetka bezwiednie sporą jego od siebie dalekość.

Uderza nas to tembardziej, że kiedy przynosi się na słowiański brzeg Adrjatyku, odrazu nawiązuje pełną zainteresowania znajomość z gaździną, u której zamieszkała i z całym jej kołem. Musiała, widać, po-znać rysy siostrzane drogiemu sobie ludowi z północy. Zagospodarowawszy się w chacie u prostych rybaków, jest już na pół w domu. To też w całym tym cyklu (Drobiazgi z podróźnej teki) zwykłym trybem bohaterami są ludzie terażniejszości, mieszkańcy zapadłej rybackiej osady, a choć nawiewa jeszcze echo daw-nych czasów w tradycjach ich, obyczajach, i rozmowach, słyszymy je tylko w odbiciu ich pocziwych, a niezłożonych dusz.

Za to przeszłością żyje cały odłam poezji pro-wansalski. Tam terażniejszość milcząco usuwa się przed spomnieniem. Każdy załamek muru, kamień każdej

---

\*) W zupełnem przeciwieństwie do Konopnickiej inna poetka obcego narodu, Elisabeth Browning, we Włoszech nie czuje prawie klasycyzmu i piękna, niewiele bardzo historję, ale prawie, że wyłącznie cierpienia narodowe i spółprzeżywa poryw ku wolności. Prawda, że Browning mieszkała we Wło-szech w czasie Risorgimenta.

drogi ma mowę czasów. Jest wielka różnica między „Italją” a cyklem awiniońskim. Tu prawie wyłącznie grają barwy średniowiecza, rycerskie, szumne, z echem trubadurów, dworów miłosnych, albo grodzkie, nie byle jakie, które szlachcie zaćmić się nie dały i w starych bramach też chowają echa kumania się albo walk sierdzistych z królami ziemi. Ogromne mary historyczne, rozciągnawszy ręce na powietrzu, płyną w milczeniu nad szarym Rodanem, nad Mont Ventoux, hardym, bo jednym z pierwszych jego turystów był Petrarca, nad Valchiusą, dokąd słodki śpiewak miłości uciekał z pstrokatego od narodów Avignonu. Cały ten cykl jest właściwie poezją zabytków i muzeów. Niema tu już włoskiego blasku, niema niepokalanych linii, są to raczej obrazki rodzajowe. To nie stolica Apollina, to kołyska pierwszego romantyzmu na ziemi, ojczyzna pierwszej pieśni księżycowej, pierwszej płynnej ballady, sonetu, który składał tkliwy rycerz w basztowej komnacie, gdy w cieniach uśpionego zamku sylfy niosły się płasem po rosie.

To też słońce nie wzbija się już w tryumfie nad kielichami dwu mórz, tu „po jarach huczy wichrów echo-wa muzyka.“ To pogłos dzikiej pieśni celtów, a zieleń u stóp gór, to święta jemoła druidów. I Sorga, córka ojczyzny sonetów, „nie śpiewa sonetów“. Jej szumy nie znają słodkiej poetyckiej miary. Śpiewa „jako śpiewali prorocy w bezduszną czasów i narodów ciszę, pieśń wyrzucając jak grom i błysk słońca“. „A nad Sorgą śliczny, smutny świat w błękitnej cizzy leży“. Kiedy cudzoziemiec puka do bram Avignonu, otwiera się przed nim siedmioro wrot ze skrzypiących

kluczy, stary Rodan podnosi z łoża siwą głowę, a Se-  
wenny marszczą w dziwie granitowe czoła. Mój Ty  
Boże, kto tu już nie chodził przez długie wieki spom-  
nień tego miasta! I Juljusz Cezar z kwirydami, i Hannibal  
z punicką nawałnicą, i Teodoryk z gotami, i wandalę,  
i Karol Młot, i saraceny, a dalej sznur papieży, a z nimi  
blask dla miasta, zaś potem gniewy i swary. Przy-  
czaiły się te różne głosy, ale w oddechach ziemi są.  
Tu zefiry nie niosą na błękitnych skrzydłach woni  
pomarańcz i złotych pyłów nadmorskiej pogody, tu  
panuje król Mistral, szalony władca, tarzający się  
w śniegach górskich „w przerażeń kształty, z gardzielią  
ściśniętą łkaniem i śmiechem.“

Straszno mu, duszno mu  
Na skrzącym tronie,  
Pędu chce, lotu chce  
W wichrów koronie.  
Aż czołem uderzy  
W chmur czarnych próg,  
I zadmie w litaury  
Śmiertelnych trwóg.  
...Już trupią się błądzący oliwy nakryły,

„A cyprysy mu ziemię umiatają włosem“. Wspañiały żywioł, ale i wspaniały jego obraz poetycki!  
Wpada czasem jak szaleniec na cmentarze, łamie drze-  
wa, stróże czyjeś duszy, i w liściach, które szumiały  
pieśń wieczności pośpionym, wyje hymny szaleństwa.

Jego śladem wchodzi między groby i Konopnicka,  
tembardziej, że znalazła bliską sercu, tułaczą mogiłę.

Tu, nie rozprężywszy jeszcze doskonale skrzydeł, padł w locie młody orzeł, tu leżą prochy śpiewaka „Wacława“. I może właśnie nad jego grobem przyszła na nią jakaś chwila zamroczy; po duszy, wsłuchanej w szumny śpiew przeszłości, przeleciał wiew lodowy: złudą jest wszystko, kromie tchu śmierci.

I złudą jest, że z szczęścia pól  
Nieść będziesz miody w jutra ul,  
I łamać z braćmi chleb i sól...  
A prawdą jest, żeś proch i pył,  
Że wicher ślad zatrze, gdzieś tu żył,  
A prawdą śmierć i prawdą ból....

Uciekamy co prędzej na słońce. —

\* \* \*

#### IV

Jesteśmy znowu we Włoszech. Konopnicka mówi nam, co czuje wobec arcydzieł sztuki. Możemy poniekąd ubiec jej żywy głos i naznaczyć z góry, gdzie padną jej najżywsze sympatje. A niech nam nigdy nie zejdzie z oczu jej stanowisko zasadnicze, które jednak najcudowniejsze dzieło sztuki usunie w cień wobec żywego człowieka. Mamy na to ilustrację wymowną.

„Popłynęłam raz na Giudecchę, żeby tam w Redentore jakąś Madonnę Belliniego czy Vivariniego zobaczyć; aż tu, otworzywszy drzwi zakrystji, taki



piękny rodzajowy obrazek, o jakim się żadnemu z tych mistrzów nie śniło. U wysokiego ciemnego pulpitu siedział mnich bladej w franciszkańskiej sukni. Wysokie, otwarte na zatokę okno wpuszczało gałąź kwitnącej akacji, której mocny zapach kłócił się z dymem świeżo spalonych kadzideł. Jaskółki świegotały w gzemsach, słońce zachodziło na morze. Przed mnichem leżała wielka otwarta księga, a na niej biała, delikatna, wychudła dłoń zakonnika. Nie modlił się przecież, ale piękną, charakterystyczną głowę swoją na rękę wsparł i ku oknu obrócił — i patrzył głębokimi oczyma na akację, jaskółki i słońce. Tytuł tego obrazka... Nie, tytułu nie dam, zanadto jestem profanem. Wiem tylko, że minutę we drzwiach postawszy, przymknęłam je cichutko i odeszłam — i nie widziałam już Madonny, ale widziałam rzecz o wiele rzadszą — duszę człowieka“. —\*)

Jako przygrywka do artystycznych wynurzeń poetki jest nam ten ustęp bardzo ważny, a ostatni zwrot, to naiwne, lubo nieświadome wyznanie, że dla niej dzieło sztuki nie było bezpośrednim widokiem na duszę człowieka. I słusznie. Idąc w głąb od obrazu, trafia, nie na autora, lecz na siebie samą; nie czyjeś wartości duchowe układają się grę, ale jej własne, puszczone w ruch przez nasuniętą pobudkę. Sądy jej są naskroś subiektywne i przeto tak nam trudno poznać pod ich zasłoną niejednokrotnie dobrze nam zna-

---

\*) „Wrażenia z podróży”: Wenecja. Scena ta wywarła na poetce tak silne wrażenie, że w „Italji” wróciła do niej raz jeszcze w sonecie.

jomą fizjonomię artystyczną. Rafael choćby jest wyraźnie tylko jej Rafaelem, nie mamy najmniejszego powodu się na niego godzić. Otacza go zresztą wyraźną sympatją, jakeśmy już przelotem widzieli przed Loggiami. Logge to, według niej, jego szczyt. Biorą jej duszę i oczy jasnością. Promień zachwytu pada tem samem na Giovanniego da Udine, który, „u arkady zawieszony, śpiewa jak ptak“ i „ma w swej piersi złotych piosnek złote roje, i wiośnianą ma paletę i gorących oczu dwoje, co pomyśli — to wyśpiewa, co wyśpiewa — to mu ręce w żywe barwy przeczarują, w malowany wtór piosence“. Jakieś miłe ptaszę boże, makolągwa z legendy, nagrodzona głosem srebrnym za serce dane Zbawicielowi, — jakie to dalekie, jak bardzo dalekie od wykutych epodów Odrodzenia!

Obok łatwej ekstazy przed błękitnym obłoczkiem Loggii, ani słowa o dziełach, gdzie Rafael naprawdę jest genjuszem, o Stanzach; brak zupełny wyczucia dla jego greckiego ducha, dla platońskiego widzenia świata, dla ogromu wiedzy i intuicji w kolosalnych scenach Szkoły ateńskiej i Dysputy. Nie mogąc nadażyć za nim myślą, niewrażliwa na plastyczną stronę, na mistrzowskie tworzenie ciała, kocha Konopnicka Rafaela tylko tam, gdzie jest złoty i lazurowy, bez względu na kształty, jakie wstawia w błękit i lśnienie. Tak jest właśnie w Loggiach, albo tam, gdzie krajobraz jest powietrzny i zielony, a na tle jego scena prosta, uczuciowa i rodzinna. To Madonny. Zbliżając je jednak ku sobie sympatją aż na najmniejszą możliwie przestrzeń, czyni je poetka jakoby królowemi polnemi, kto wie, czy nie umieszcza ich

myślą na tle najmiłszych swemu sercu błoni. Pod tym względem myli się, zupełnie jak Lenartowicz, którego czysta dusza widzi znowu w Rafaelu bliskość Bóstwa, branego ze strony wieczystej pogody, i wyczuwa w obrazach najwyższą „wniosłość i świętość”. Oboje nie zrozumieli, każde na swój sposób, bo oboje szukali niefortunnie braterstwa z tem, czem im rozśpiewała dusze własna ziemia. A oto jeszcze jeden przykład nieszczęśliwy: Mówiąc o strofach Beniowskiego, rzuconych przeciw Mickiewiczowi, Konopnicka określa, że Słowacki miał wizję peruniczną, a w zachwycie znajduje porównanie, że „obraz godny zmierzyć się z Rafaelowskim widzeniem Ezechjela” i tak samo skupiony w małej strofie, jak owo widzenie „skupione jest w małych ramach”. Rzeczywiście *salto mortale*, bo „małość“ zbyt wiotkim jest mostem, aby służyć za spojenie dla obcych sobie dzieł ducha. Prędzej właśnie na tym przykładzie możnaby się uczyć odległości „widzenia” klasyka a romantyka. Wizja Ezechjela, mimo że wytryska na biblijne niebo, jest niepokalanie helleńska, z Olimpu bezwarunkowo spłynęła chmura świetlista, niosąca na sobie Światowładcę o jowiszowem obliczu i geście, oraz *puttinów*, którzy może za chwilę wioną, by ostrzyć Erosowi strzały. Słońce na tej wizji leży, jest w niej majestat i groza, ale niema tajemnicy. A tam?

Jam ci powiedział, że jak bóg litewski  
Z ciemnego sosen wstałeś uroczyśka:  
A w ręku twem krzyż, jak miesiąc niebieski,  
A w ustach słowo, co jak piorun błyska.

Zapewne, że raczej to jest „jehowiczne“ niż tamto. — Carducci, jednym cięciem rozłupując świat na klasyczny i romantyczny, pierwszy nazwał słonecznym, drugi księżycowym. Mamy do tego odrazu ilustrację żywą. Tam morze blasku i błękitu, tu uroczysko w ciemnym boru sosnowym i krzyż, rzucający na nie oświetlenie miesiąca. Najczystsza dekoracja romantyczna, owiana tchem piorunowym i tajemniczym.

Lenartowicz, tak jak Konopnicka Rafaela, traktuje Robbiów: polsko, domowo, niby przyjaciół, zżytych ze swym duchem i poufałych. Pewnie znów zaleciało mu od nich echem sielskiego dzieciństwa i jasełkowych figurek. Dla Konopnickiej takie jasełka to „Adoracja Magów” Gozzolego we florenckim Palazzo Riccardi. Przepych pochodz wyjawia jej się naprawdę bibułkowym i złoconym przepychem królów z szopki. A jednak od uczuć artysty, malującego scenę swoją w kaplicy władców Medycejskich, we czci i dla uwiecznienia ich podobizn, musiało być bardzo daleko do uczuć jego interpretatorki. Robbii zato Konopnicka nie czuje, przyznaje się do tego otwarcie, choć go nazywa „Kolumbem polewy“. Nie lubi ceramiki, nie przemawia do niej—wypowiada się w korespondencjach swoich z wystawy genueńskiej—„trąci zawsze dla niej kaflem“. To też włosi, jak mówi, jednogłośnie okrzyknęli ją barbarzynką. Trudno przeważać czyjeś artystyczne predylekcje lub uprzedzenia, mnie osobiście jedno wyjawia się niezrozumiałem: jak mogła Konopnicka nie cofnąć zdania swego wobec Robbii (Giovanniego) postaci niemowlęcych na florenckiej Casa degli Innocenti, właśnie ona, która dla niedoły dziecięcej miała

sama tyle łez i tyle umiała ich wykrzesać z dusz cudzych. A czy można wzruszająco bardziej, wprost łzami (choć bez patosu, jak ona) opowiedzieć największą niedolę dziecka: bezdomność, niż opowiadają te świecące „kafle“, te rączyny wyciągnięte jakby po pieśczętę z nad pieluszek, które nie matczyzna dłoń spowijała, te oczęta nieprzeczuwające, patrzące w świat, który odepchnie...

Wogóle, jak Lenartowicz, Konopnicka przede wszystkim czuje prymitywów. Naturalnie, jeżeli parę razy w Madonnach, „prerafaelita“ zrobiła samego Rafaela. Może źródłem tej sympatji, dla niej i nie dla niej, jest widoczna u prymitywów praca ducha. Mistrz, który ogarnął formę, mistrz pełnego odrodzenia, igra tworząc, rzuca wielkimi akordami kształty i kolory, — wyraźnie stoi nad własnym dziełem. Mistrz trecenta nie igra, on uważa dzieło za dar, za łaskę, modli się najpierw o nie, a potem przed nim, bo ducha, który mu łaski udzielił, uważa za autora. Trecentysta ma wizję wielką i pomysł bogaty, ale rękę ma niewprawną, i litery, które notuje swoje sny, są pismem dziecka. Jest niespółmierność między widzeniem a możliwością wcieleń, dlatego artysta naiwny nie może przypuścić, aby obie strony były zasobami jego istoty, on — to ta chroma, ta goniąca, która jednak nigdy całkowicie nie dogania, tamta pierwsza, wymykająca się — to Bóstwo. I dlatego pozornie praca prymitywa jest rozmową z Bogiem, u Fra Angelica była dialogiem o charakterze nabożeństwa. Ręka, która z wysiłkiem, lękiem, czy pobożną ekstazą idzie po linjach, dyktowanych przez ducha, wyznaje

wyraźną jego nad sobą przewagę, i ta pokora człowieka, który właśnie mógłby światu dzwonić dumą swego ducha, to naiwne a święte nieporozumienie tak wzrusza u mistrzów zarania. Rozumiemy, że nie mogło być inaczej i z Konopnicką, i że tu, przed temi obrazami, a nie gdzieindziej, najmocniej zabiło jej serce.

Dalej ich prostota. Nie mogli dawać więcej, bo ich ręka i te kształty wizji przeciągała z ledwością. Nie iżby świadomi byli prostoty własnej, przeciwnie; te wąskie piersi Madonn, te chude ręce, to nieraz spółczucie budzące ubóstwo cielesne, nie znaczyło, iżby osoby niebieskie wolne być miały od przepychu, iżby strojenie ich miało im być ujma, przeciw której buntowało się wierzące serce. Przecie, nawet Fra Angelico biedne, chorowite ciała zamyka w materji o nasyconym błękicie czy purpurze, złoto daje, ozdoby królewskie, blask niebieski, i to taki właśnie, jaki znał z blasku ziemskiego. Nie ulega wątpliwości, że Cimabtemu, Giotto, Botticellemu Madonny ich były szczytem wspaniałości i majestatu. Magnificat, Adoracja to sama kwintesencja przepychu. Tak i wieśniak dziś jeszcze najskromniejszy obraz święty w drewnianym kościółku uważa za strojny i wspaniały, — bo nie zna innego. I dzikiego źle ciosane fetysze nie rażą wadami anatomicznemi, przeważnie niedobrem ciała, rzadko jego nadmiarem.

Dopiero gdy wiek XV przyniósł mistrzów, których najbogatsza linja nie kosztowała więcej wysiłku, niż spadzisty kontur zeszłego stulecia, dawne dzieła wydały się naiwne. A że wiedziano, iż tworzone były w podniesieniu ducha, prostota skojarzyła się w oczach

późnych widzów z nasuniętem im przed oczy wyczuwaniem świętości, i my już dziś nie rozdzielimy w sobie tych dwu składników.

Biorąc rzeczy krytycznie była więc Konopnicka, stającą przed obrazami trecentystów, jako twórczyni, zupełnym ich biegunem. Oni, sądząc, że dają przepych, dawali—przynajmniej dla nas, późniejszych—naiwną prostotę i do tematu swego musieli duchem wyraść ponad siebie. Ona, też dawczyni prostoty, dawała ją z pełną samowiedzą twórczą, i raczej do tematu swego, choćby nawet z czystego bicia serca—spuszczała się, tłumiąc inne, bujniejsze tony ducha. I jeżeli prostota prymitywów i prostota pieśni Konopnickiej mogłyby dać nam niekiedy zadowolenie pokrewne, to w obu wypadkach w zupełnie innym kierunku trzeba od utworu iść szukać autora. Wszelako nasze schematyczne rozumienie starej sztuki sprawiło, iż poetka, na różnicę nieczuła, ujrzała się odrazu w atmosferze jakby rodzimej dla siebie, i gdy składała pokłon swój pieśniarski przed Madonnami, sądziła, że jej piosnka tak właśnie gra, jak grały przed wiekami dusze ich autorów.

Szczególniej Giotto jest jej ulubieńcem. Tego nie lęka się czynić prawie słowianinem. Nie prorockie księgi mówiły z jego Madonną,

Lecz zapadłe przydrożne mogiły,  
Ale łąki drżące we łzach rosy,  
Ale w stepie rozelkane głasy.

Nie pogląda w rajskie pozaświaty,  
Lecz na liche i zapadłe chaty,

Lecz na czarne, uciszone bory,  
Lecz na cierniem zarosłe ugory.

Iścby mogła między pola nasze,  
A nie zlekłoby się nawet ptaszę,  
Iścby mogła między nasze płoty,  
A nie zlekłyby się i sieroty.

Tylko nędzarz podniósłby się z ławy,  
W ciemnej twarzy wzrok utopił mgławy,  
I wybuchnął łez nawałą złotą...

Ej, jednak chyba z przydrożnych mogił, z uciszonych borów, a już zwłaszcza ze stepów nie wziął jej, acz pastuch kóz, Ambrogio Bondone!. Dla Konopnickiej jest to jednak możliwe, bo u niej oznacza tylko pewien sposób odczuwania, rozciągliwy na wielką dalekość. Dla niej prostota natchniona stepowego śpiewaka, Bohdana, też w podobnej Giottowi rodziła się duszy, stąd *vice versa* step w tle włoskiej Madonny. Giottowskie nuty dała w serce aż... Mickiewiczowi. To Hymn na dzień Zwiastowania, w którym „poeta nie ośmielił się użyć barw innych jak śnieżnej bieli i słonecznej jasności do obrazu Dziewicy, samem światłem malowanego... a cała rzecz, ledwo, że dotknięta brzmieniem i konturem ziemskich wyrazów, przypomina zachwycające, pełne prostoty Zwiastowanie Giotta”.

A któż to wschodzi? Wschodzi na Sjon  
[Dziewica.

Jak ranek z morskiej kąpieli  
I jutrznia Maryji lica:



Śnieży się obłok, słońce z ukosa  
Smugiem złota po nim strzeli;  
Taka na śniegu, co szaty bieli,  
Powiewnego jasność włosa.

To poetka czuje jako giottowskie...

Co Konopnicką, wielbicielkę i śpiewaczkę człowieka, zachwyca, to nie boskość świętych postaci, czyli nie piętno, dla którego były na świat wydane, ale ich ludzkość, ich człowieczeństwo z krwi i kości. Wysoce charakterystyczny pod tym względem jest ustęp wenecki z „Wrażeń z podróży” o Assuncie Tycjana. Drugi ona biegun w stosunku do prymitywów, ale Konopnicka trzyma się tej samej osi w sądach:

„Tak, to jest matka, co serce miała ukrzyżowane wraz z synem, ginącym za prawdę ducha swojego: to jest pierś pełna siły, jaką miłość daje, to podniesienie dni nowych ku ideałom przyszłości, to jest myśl, jaką Bóg o kobiecie miał przy jej stworzeniu. Oczy te naprawdę widziały rzesze smętne i ciemne i grzeszne i głodne; one znają gorycz łez, nad dolą ludzką przelanych. Usta te znały słowa miłości, braterstwa i spokoju, one znały wielką ewangelję ludów. Cierpiała, żyła, serce jej biło od wzruszeń, bólów i radości ziemi, a teraz nie na skrzydłach serafów białych, nie przez moc jakąś zewnętrzną i obcą, ale żarem i uniesieniem ducha własnego—wstępuje w ciszę błękitów. Ta „Assunta” — to ludzkość za ostatnich dni wysiłków swoich, to idea zwycięska, to wolność, lot biorąca,—to prawda“. A drugi przy Matce jest Jan. On jedyny pośród zdumionych i prze

rażonych śmiało patrzy na to, co się dzieje. „On wiedział, że ta święta i czysta, bojem wielkim bojując na ziemi, zwycięży kiedyś — i będzie mocna dłonie na gwiazdach kłaść — i obracać niemi — i wołać do siebie rosy polne i wysyłać je na łany jako pracownice białe... Trud jego nieskończony jeszcze i kij pielgrzymi w rękę; przecież z blasków chwili tej zostanie mu w piersiach dość siły, aby na Patmos wygnać obwieścić chwałę „słowa” i słyszeć orłowe szумы nad głową. Ten Jan — to praca o ideał oparta. Wszystkim młodym rodakom moim chciałabym dać twarz taką, takie jasne czoło, i takie mocne spojrzenie”.

A teraz rdzeń sprawy:

„Co dnia po weneckich kościołach chodziłam... co dnia widziałam ludzi klęczących i ołtarze w glorii światła i ofiary i kapłany i krzyże. Ale modliłam się przed tą Assuntą tylko”.

Czy przypadkowa czy świadoma, jest ta spowiedź cenna bardzo i w sam środek jej serca światło dająca. Modliła się nie przed świętością, nie przed tem, co niebem być ma, ale przed ideą zwycięską, przed pracą o cel opartą — przed ziemią. Modlitwa pozytywistki, społecznicy — powiedzą niektórzy<sup>1)</sup>, mniejsza o to, modlitwa bądź co bądź szlachetna i wysoka. Nie o nią idzie w tej chwili, ale o pewne *qui pro quo*, o przychwycenie Konopnickiej na gorącym uczynku, na niepewności sądów artystycznych. Jak-

---

1) Opis jest rzeczywiście wczesny, pierwsza podróż włoska datuje, jak wiemy, z r. 1882, tj. z najwyłączniejszego społecznego okresu poetki.

to? mówiła dopiero co o Mickiewiczowskiem Zwiastowaniu, że naskroś niebieskie, nieobleczone nawet konturem słów ziemskich, trzymające się rzeczownikami tylko, bo czasowniki wyrażają czynności ludzkie, a teraz zestawia to z malarzami włoskimi, którzy przeto dla niej wielcy, że... ziemscy. Przed Matką Boską jednego nędzarz polski jak przed siostrą się rozplącze, przed drugą sługa idei nabiera sił do pracy. *Homines sumus* — mówią jej niebianie i dlatego jej serce zaraz im oddane.

6.

Uczucia religijne, czy wiążące się z religijnemi, znalazły sobie inny wyraz w Rzymie. Parę odezwań się do tego miasta, które „pierś miało od popiołów ciemną”, posiada głos jakby lekko zapożyczony od Krasińskiego.

Żeś nie podniosła ludzkiego poniża  
W światło, co niegdyś buchnęło tu z krzyża,  
To jest twa nędza, słabość, to twe cienie,  
O Roma!

Pod Ostją widok morza, które się odsunęło jak ptak w skrzydła bijący, poddaje Konopnickiej taką inwektywę:

Roma! Twojej zgnilizny, zebranej przez wieki,  
Dotąd spławić nie może nurt struty twej rzeki,  
Morze z wstrętem się cofa, gdy puhar jej pije,

Ale może to nietylko starożytność...

W przeciwieństwie do Krasińskiego Konopnicka nigdy nie mówi o ruinach, zdaje się ich nie widzieć. Są tematy, które tak dalece mają obywatelstwo w poezji polskiej, że jeżeli są terytorjalną i historyczną własnością włochów, poetycko są poprostu i nasze, taki np. Kapitol, Forum, Kolosseum, uświęcone natchnieniem polskich genjuszów, włączone wprost do ideologii, do sprawy polskiej, świadki naszego czynu, własność duchowa niemal już dzieci polskich. O tem Konopnicka milczy, chociaż nie zapomina, że On „tu był, tu czuł, tu marzył“, stąd, jak „orzeł, gniazda swego górnego pamiętny, wznosił loty, wzbił nad ziemię i uleciał w słońce“. Ona Go widzi tylko w willi Wołkońskich. Szkoda!

Zatem dla ruin nie ma uczucia. Może dlatego, co kiedyś dawno, jeszcze w Pieninach, powiedziała, iż dla niej „nie ta jest ruina, gdzie kamień zdradza i z pod nóg ucieka, gdzie się zniszczenie w ciało przyobleka“, ale

tłum ten, co śmiechem znieważa  
Echa drgające w zakątach zamczyska,  
Co przybiegł tutaj szukać widowiska.  
Palcem dotyka, gdzie szkielet drży nagi,  
I dźwięki bruków w świątyni powtarza,  
Ten tłum, ze wzruszeń odarty, wyzuty,  
Pusty, przeżyty, wyczerpany, struty,  
Co szalę dziejów do zguby przeważa,  
W którym skrę ducha grom chyba rozpali—  
Ten jest ruiną...

Nie chciała, widać, sama do niej należeć, zresztą w sądzie tym znowu wierna była swojemu antropocentrycznemu stanowisku.

Tak więc ze starożytności widzimy tylko ludzi i wypadki, to co spłynęło, czego niema, nie widzimy po dziś żywych jej aktorów—rozwalin. Mamy zato pokos poetycki z kilku rzymskich kościołów. U św. Piotra, w czasie próbnej gry organowej, poetka ma wizję, tak szeroką, i majestatyczną jak sama fala dźwięków w bazylice—olbrzymie. Rusza pochód dwu bez mała tysięcy lat, w tjarach, koronach, dalmatykach, w białych piórach, pod baldachimami, wśród złota trybularzy, w dusznych woniach kadzideł. Dzwony biją milczeniem, suną się kolumny, chwiejąc liśćmi głowic, idą sarkofagi, palmy, alabastry, lilje ołtarzy i złote oczy lamp.

Czy żywi, czy umarli—idą,—w zmierzchu chwili,  
Nie wiem, bo przemijają jak cień i jak mary,  
A z nimi—jakiś wielki świat przemija stary.  
Exodus jest: odchodzą ci, co się skończyli.

W ogromny zachód złoty i w ogromne zorze  
Idą, a poza Tybrem ugasło już słońce  
W ametystach sabińskich gór, i różę mrące  
Liście swe osypują na liljowe morze.

Coraz dalej lka echo zaświatowej głossy,  
Jeszcze szmer słyhać... Jeszcze westchnęły  
[organy...

I nic, i cisza. Fontan tylko płaczą rosy.

A na ostatnim schodzie, w gasnącym dnia blasku,  
Gdzie do stóp bazyliki ścielą się marmury,  
Chrystusowi podobny mąż siedział niektóry,  
Pisząc palcem—Ecclesia!.. Ecclesia!... na piasku.

W samem sercu żywej potęgi, na fali muzyki,  
której głos, w tej chwili tylko szemrzący próbnie, jutro  
w niebo i przez pół ziemi poleci, Konopnicka  
widzi zachód „drugiej Romy”. *Consumatum est* napi-  
sze kiedyś czas na tych murach, stojących jak pusty  
okręt, który już drogę swą przemierzył. Jak z kwiatu,  
uleci z nich woń mirry i kadzidła, jak w płatkach  
uwiędłych barwy się spłóćzą, zostanie głuchy świadek  
wieków królowania, jak stoją nagie świadki czasów,  
które przed nim były. Wobec Rzymu kościelnego  
wizja ta gra tę samą rolę, co wobec starożytnego  
widzenie Irydjona. Żył w samem sercu jej znie-  
wodzonego ogromu, zginął w jej szponach, zato dano mu  
radość oglądania jej kiedyś w ruinie. Być może, że  
i u Konopnickiej wizja ta jest satysfakcją dla urażo-  
nego w patriotyzmie serca. Miała ona rachunki swoje  
ze stolicą Piotrową, miała do niej nieobjęty żal jako  
polka. Mówią o tem dwie oktawy Imaginy:

O Rzymie!.. Jakaś ty mię zawiódł, Rzymie!  
Tyś, jak ta kokosz skrzydeł nie rozszerzył  
Nad pisklętami, gdy w Jerozolimie  
Jastrząb się wielki nad niemi zamierzył,  
Nie! Ty się skryłeś w kadzideł twych dymie  
I z jastrzębiami tyś sam się sprzymierzył,  
W blaskuś się pawich piór obnosić dawał,  
Któreś z szat dzianych Chrystusa wykrawał.

W ciemnościach, ponad ludy uśpionemi,  
Widziano twoją rękę wyciągniętą  
Do dłoni mocnej, krwawej, co na ziemi  
Oparła ciężki miecz. Tę rękę, zgiętą  
Jak do uścisku, widzę tu, przed memi  
Oczyrna! rękę, która była świętą  
Dla mnie, gdy sieci ciągnęła rybacze —  
I jest mi w duszy gorzko tak, że płaczę!...

Motywy żalu wyszczególnia bliżej wiersz „Po odwiedzeniu kościoła jubileuszowego w Rzymie“. „My zawsze stali po Kościoła stronie, my miecza dobywali jak Piotr, ile razy Malchus jaki pięść podniósł dla Rzymu obrazy, my dali Kościołowi wyznawców, a jako Jan chrzciliśmy od morza do morza, niosąc krzyż łaciński przez Sybiru śniegi. My jeszcze dziś wśród wieńca palm męczeńskich mamy unitów“. I za to — ten fakt właśnie tak do żywego wstrząsnął Konopnicką — z woli Moskwy, z którą Rzym się kuma, usunięto imię Polski z pomiędzy imion innych narodów w San Gioacchino. „Z fryza, z marmurów ściany, gdzie miejsce ma swe schyzma, mają luterany, męczennicę tę bożą i tę Polskę świętą wytrącono z pośród ludów jak gdyby wyklętą“.

Wyczerpawszy pobudkę uczuciową, wracamy jeszcze raz do wizji w kościele św. Piotra.

Malarsko jest to jeden z najwspanialszych obrazów Konopnickiej, kolosalny fresk, zagarniający zwycięsko całą ścianę, tłumny, wielobarwny, ale następnie przyćmiony z dziwną dyskrecją. Takie własne obrazy sugeruje nam muzyka, takie poddają np. polonezy

Chopina, gdzie mury mogą nawet siać się, sypać, prószyć jak deszcz wiosenny, a jednak jest milczenie jak we śnie, jest przepływ, niema chodzenia, jest ruch, niema kroków. I świetnie oddała poetka ton wizji muzycznej, właśnie w nastroju, wywołanym przez pobudkę muzyczną. Obok wszystkich obrazów Italji, malowanych z natury, ten malowany z marzenia czy ze słyszenia, ma swoje specjalne miejsce. Co do wyobraźni Konopnickiej sprobowałabym pewnego uogólnienia. Ma ona wrażliwość bezwarunkowo większą na obrazy niż na rzeźby. Już w Polsce sporo jej natchnień było obudzonych przez dzieła pędzla. Rzecz wiadoma, że „Grunwald” i „Hus” powstały przed Matejką i Brożkiem. A więc nawet uczucia patriotyczne taką okólną drogą umiały dochodzić do wyrazu. Tryptyk Pruszkowskiego nasunął jej cały rzewny i prześliczny dramacik. Z zagranicy pochodzi cykl Madonn, z nich jedna jedyna, francuska (*Virgo nera*) rzeźbiona, a i w tej szło właściwie o dramat twórcy, nie o dzieło. Michała Anioła zna Konopnicka poetycko tylko jako malarza, w krytyce Klaczki poświęca zaledwie parę słów Matce Bolesnej (*Pietà*), poza tem groby Medycejskie we Florencji i Mojżesz w Rzymie pozostawiają ją niemą. Zwłaszcza Mojżeszowi trudno wprost wierzyć, że nie powiedziała słowa porozumienia, ona, sama autorka tak potężnego Mojżesza. Przecież dramaty przepaścistej duszy Buonarrotiego biły w nią tak samo z marmurów jak ze ściany i stropu Sistyiny. Tę pewną bezwrażliwość wobec mowy, nawet, jak u Michała Anioła, wobec krzyku kształtu, tłumaczę sobie tem, że dla Konopnickiej ośrodek



odbiorczy stał na granicy barwy i dźwięku. Takie istoty, jak ona, tak piszące i tak czujące, powinny przede wszystkim być muzykalne i, poza poezją, brać świat w tonach. O specjalnej muzykalności Konopnickiej nie wiem, we „Wrażeniach z podróży” wygrywa melodie polskie na umyślnie dla niej nastrojonym fortepianie p. R. Franchini w Rovereto, czem dziwi echo okoliczne, ale to jeszcze nie mówi nic a nic. Pod melodie narodowe dorabiała teksty do śpiewu, ale i to jeszcze prawie nic nie jest. Dwa wiersze podłożyła pod Chopina, w trzecim starała się przetransponować na słowa wrażenia muzyczne Polonezów szopenowskich, nadając z wielkim poczuciem strofom swoim rytmiczną bliskość do poloneza; drogą jednak tego rytmu zapływa poetka ku wizji narodowej raczej niż czysto muzycznej. Ponieważ wiersz ten nie jest ogarnięty wydaniem Gebethnerowskim i nigdzie dotąd wogóle, o ile wiem, nie był drukowany, przytaczam go w całości:

Gdy polonez Szopenowski  
Tajne struny serca ruszy,  
Zawsze wtedy mam widzenie  
Narodowej, polskiej duszy.

Dusza ta mi się objawia  
Nie w zamęcie, nie w wybuchu,  
Ale w jakimś idealnym,  
Postępowym, wiecznym ruchu.

Ruch ten wolnej chce przestrzeni,  
By roztoczyć rytm wspaniały,

Jakichś ornych pól szerokich,  
Jakichś pól ogromnych — chwały.

Rytm jej to nie rytm wesela,  
Lecz powagi i zapału,  
Gdy, natchniona, w przyszłość kroczy  
W jasnych łunach ideału.

Mija czasy i stulecia,  
Próg jej żaden nie zatrzyma,  
Idzie, jutrem zadumana,  
Z utkwionemi w świat oczyma.

Idzie cała w orlich szumach,  
Z chorągwanym piór szelestem,  
W jakąś wielką zorzę ludów  
Idzie żywym manifestem.

(W Marienbadzie, dn. 31 lipca 1902, w dniu wmurowania tablicy na domu, w którym mieszkał Chopin. Wpisane do księgi pamiątkowej).

Naogół jednak, mimo paru pięknych wprowadzeń muzyki w kościołach, choćby tej próby organów w bazylice Piotrowej, śpiewu męskiego o świecie na gondolach i artykułu rocznicowego o Marschnerze, a w nim zdania, bynajmniej zresztą nie muzycznego, dotyczącego Wagnera \*), dzieło jej o mu-

---

\*) „Po Wagnerze Marschner wydaje się naiwnym nieco. Jego prosty i prostymi środkami wyrażony sentyment nie znosi zbliżenia z żywiołową potęgą wagnerowskiej ekspresji, z jej namiętną siłą, z jej panteizmem, z tem wszystkim, co się stało kanonem niemal w naszym pojmowaniu muzyki“.

zycznych przeżyciach i zrozumieniach swojej autorki nie świadczy zupełnie. Jest tylko niewypowiedziana, rzadko spotykana, bajeczna muzyczność jej poezji. Pozatem jednak ze sztuk przyległych stanowczo króluje w jej sercu i dziele malarstwo. Musi być w duszy wrażliwość wielka na barwy, skoro umie tak impresje barwne przedzierzgać w wyrazowe. I dlatego miałabym wrażenie, że rzeźba jest dla niej odbarwionym obrazem. To co przybywa przez przeniesienie tematu ze sztucznej, skonstruowanej przestrzeni w rzeczywistość przez trójwymiarowość, jest minusem w porównaniu z tem, co znika wraz z barwą. Ale możliwy jest i motyw drugi. Obraz to w skrócie czasowym, w zatrzymaniu, dramat, zastygła powieść, akcja o charakterze zbiorowym, nieraz nawet tłumnym. To więcej literatura od rzeźby, w której pierwiastek recytacyjny zredukowany jest do minimum. Jeżeli obraz jest poniekąd wyciągiem powieści, rzeźba w tym stosunku ilościowo wygląda jak wyciąg wyciągu. A my wiemy już czego szukała wyobraźnia Konopnickiej, wydłużająca zaraz obraz-punkt w taśmę czasową. Dlatego tak dogodny był jej jako postaw Tryptyk Pruszkowski, bo trzy momenty obok siebie dawał i właściwie był już literaturą. O marmurowy, twardej kształt trudniej było zaczepić tę chciwą nitkę, która się miała wytoczyć przędzą akcji na kolejne momenty. Czyż w rzeźbie podobna sobie wyobrazić scenę Husa przedzgonną, albo Grunwald, które podyktowały jej dwa arcydzieła poezji? Może Wawel Szymanowskiego by ją poruszył, może, bardzo być może, że Mieszczanie z Calais Rodina, ale też są to już ryzykowne

wręby rzeźby w dziedzinę po za nią, ukraińne po-  
jawy, wysunięte ostro cyple tego najtwardszego ży-  
wiołu w malarstwo, w żywioł płynniejszy i bardziej  
ruchomy.

\* \* \*

Doszliśmy do najpotężniejszych akordów „Italii”.  
Konopnicka stoi w Sykstyńce i mierzy się z Michałem  
Aniołem. Z nim razem stwarza człowieka i z nim  
razem traci ludzkość. Świat to niezupełnie dla niej  
nowy. Po polach Biblii chadzała już w Warszawie  
i była wtedy bardzo wysoko, wraca więc poniekąd  
na swoje dawne wyże. Ale jest różnica. Wówczas rzu-  
ciło ją na podniebia serce, śpiewające razem z pro-  
rokami, i razem z nimi rozbolałe nad niewolnym na-  
rodem, dziś musi rozpętać przed nami stworzenny  
wiew i rzucać iskry światów po przepaściach.

Oczyrna duszy widzi, jak swego czasu w tych  
samych ścianach, niby czarny pajak pod sklepieniem,  
zawisł olbrzym i furją pędzła, podobny Bogu, wyrzu-  
cał z siebie słońca, kolosy, raje i kataklizmy. Co za  
straszny wyścig, stanąć obok niego i też jak z wul-  
kanu ciskać język-lawę, jeszcze raz kazać Bogu po-  
wtóżyć dni stworzenne, wysyłać anioły, zapalać świat-  
ła wieczne i od tchu nieobjętego odczepić skończo-  
ny dech!

A jednak Konopnicka ma odwagę i ma potęgę.  
Dzierży w ręku ten zaczyn świata i puszcza w wir  
po świeżo rozświetlonych czeluściach wrzące, niego-  
towe jeszcze bryły. Wysyła anioły swoje w rozhlukach  
i szumach, i pierwsze błyskawice lecą za ich przelo-

tem, a w czerwonych językach widać, iż stają ściany twierdz gwiaździstych. Gna i ją ten szal, z jakim parę stuleci przed nią, na tem samym miejscu miotał swoje światy tamten człowiek. I jej stworzenie Adama w tym wielkim pościgu potęg staje całe piorunowe. Przecie ona wiecznie była pędem, a kiedyż stało większe pole niż wówczas, gdy światu całemu dopiero pęd miał znaczyć granice? I faktycznie ze wszystkich Konopnickiej „pędów” ten jest najbardziej błyskawicowy. Wygrała stanowczo! Michał Anioł, przełożony na słowa, zachował huragan na czole i piorun we wzroku.

Ieszcze raz znajdzie się tu Konopnicka, ale nie sama: przyjdzie do Sykstyny w towarzystwie Klaczki, i gdzie teraz rzuciła się na wicherze natchnień, wtedy wzbije się myślą. Przeżyjemy z nią zatem ten moment po raz drugi.

Nie pytajmy, dlaczego z kwadratów genezyjskich sklepienia wzięła tylko jeden: Adama. Dziwilibyśmy się właśnie, gdyby było inaczej. Dla niej świat zaczął się tego dnia, w którym się zaczął człowiek, dni poprzedzające były tylko uwerturą. Rakiety gwiazd, wytrysk światłości, pierwsze zakolebanie się mórz, dywan zieleni, padający na nagi grzbiet ziemi, której dopiero co miejsce w uciszonym chaosie powierzono, wszystko to jest pośpieszne gotowanie sceny na wejście aktora-bohatera. Co bo znaczą otchłanie i nieba, ciemności i rozswity, póki nie ma ducha?

„Bij chwilo! Powstań prochu! Mój dech stwarza  
[ciebie!]

„Jestem!...”

Ten dwugłós Jehowy z Adamem to węzeł, to źródło, to początek. Od teraz będzie świat...

Sąd ostateczny o tyle jest bliższy Konopnickiej, że samą siłą rzeczy rozporządza tu tylko materiałem ludzkim, gwiazdy i przepaści nie domagają się już od niej krzyku ani pchnięcia w ruch, tylko czeluść ziemi, jak wywierzyisko bez dna, wypływa ciągle siną rzekę ciał i ciał i ciał. I tu trzyma się poetka blisko przewodnika swojego, ma w nim poddane tysiąc motywów grozy, ohydy, szpetoty. Idzie to wszystko w rozjękach, kłębiąc się i przelewając w tej ślepotcie samolubnego strachu, który widzi sam siebie tylko i własną zaturę; prysły więzy wszystkie, jakie łączyły kiedykolwiek te widma, gdy były ludźmi, prysły w nich ostatnie szczątki człowieczeństwa, wszystko opadło, jest potworna nagość dusz, sromotniejsza od nagości przegniłych cielsk, strzępów opadłego mięsa na rozleciałych kościach. A jakby jeszcze nie dosyć było tej hańby i ohydy, trąba huczy i huczy: Na sąd! na sąd! na sąd!. W burzach, w wichurach, przez chwasty i bajora, wodą i lądem pełźnie to robactwo przebrzydłe, ta gadzina bezwstydną. A wtem—piorun. To Sędzia!

Spojrzał—zagasły globy...

Zstąpił—jęki żałoby...

Truchleją aniołowie,

Słów niema w Jego mowie,

Grom wali to, co powie,

Gniew—piorun... pomsta—miecz...

I pod okropnym ruchem wszechwzgardy, pod zabójczym młotem rozkazu: „Precz!”, zapada się na

wieki wieków ród, który niegdyś w ciemnicę piersi swojej dostał odprysk tchu bożego.

Kuszającym byłoby zadaniem zestawić „Sąd” Konopnickiej z „Dies irae” Kasprowicza, ale szłoby poza ramy niniejszego studjum, w którym symetria całości nie pozwala na przerost szczegółów. Zresztą odrazu trzeba by podkreślić szkopuł, że poemat Kasprowicza jest nie tylko utworem samodzielnego natchnienia, ale i członem ogólniejszego zgrupowania natchnień, nie można więc brać go pod światło samego, porwawszy mu zewnętrzne wiązania. Tymczasem utwór Konopnickiej jest tylko przeniesieniem poetyckiem genjalnego natchnienia cudzego, akcydentem twórczym, nie tragicznym wyładowaniem grawitującej w duszy masy uczuciowej, (myślowej, właściwie, w specjalnym wypadku u Kasprowicza). Dla niego temat sam Sądu i jego forma to tylko pretekst dla wyrzucenia treści osobistej, która tędy może wybuchnąć wygodniej aniżeli przez inny krater. Dla Konopnickiej, przeciwnie, celem jest sam obraz; scena, w danym wypadku, nie ma po za sobą żadnej prawdy, czy dogmatu, idzie tylko o nastrój przeraźliwego momentu, o grozę wzrokową i porażenie na tej drodze naszego uczucia. A jednak temat ten ma swoją nieodzowną tradycję literacką, której poddać się musiał nawet Kasprowicz i której bardzo lekko poddaje się ona. Ponieważ w *Dies irae* treść osobista rozsadza schemat, wygląd poematu jest bardziej indywidualny; u niej, gdzie żadna burza wewnętrzna się nie wrywa, model zachowany jest znacznie ściślej, i obrazowo i dźwiękowo.

Ale jeżeli natchnienie Stworzenia i Sądu nie jest koniecznym wyrazem jej duszy, to w tejże samej kaplicy sykstyńskiej mamy inne spotkanie z Michałem Aniołem, w którym geniusz malarza zapalił w poetce światło jej osobistej drogi. To „Sybilla”. Obok tamtych dwu wielkich fresków, dających dwa krańce istnienia ludzkości w języku panującej prawdy religijnej, tu zadźwięka jakby antyfona zaprzeczna. W „Stworzeniu człowieka” dłoń tworząca światy sięgnęła w bezedno, oderwała kawał gliny i podniosła pod rozświetlony bławat niebiosów. Oparta o ramię jednego z genezyjskich kwadratów Sybilla u Konopnickiej opisuje to wydarzenie zupełnie inaczej:

...Dech wezbrany żywota  
Po przepaściach się miota,  
Szuka, kędy mu wrota.

Wyprze, wyprze je siłą,  
Pójdzie, gdzie go nie było,  
Czy straszno mu, czy miło.

Rzuci się przez błękity,  
Na nagie padnie szczyty,  
Wstyd wszelki mu odkryty.

Na jedną stworzy chwilę  
W drgającym—słońce—pyłe,  
I Boga—w ziemnej bryle...

A po różnym początku i ciąg dalszy jest różny.  
Nie od Boga ręki, „dziełem natchnionej i od dzieła



wrzącej” wyjdzie kształt tej gliny, i nie od tchu Jego duch „wziętego z ziemi“, ale „duch jego, a nie boży, dwoistość wszelką stworzy, rozetnie noc od zorzy“. Człowiek, ongiś palcem Jehowy nad przepaściami do życia tknięty, potoczy się w niebyt pod ramieniem karzącego Syna Bożego. Na wstędze kart sybillińskich tymczasem duch, co się po przepaściach miotał i wrót szukał,

...wzleci w wiecznym pędzie  
Na jasnym zórz krawędzie  
I życiem zwać to będzie.

I spadnie w wiecznym pędzie,  
Na czarnej posian grzędzie,  
I śmiercią zwać to będzie.

Wiara, której oblicze pierwszy raz ku nam z tych wierszy wygląda, to właśnie owa prawda, wyłowiona złotą siecią myśli z głębin morskich, literami wieczności wyszyty dramat ducha, złożony z ustawicznych gaśnieć i rozżarzeń.

Konopnicka wychodzi z kaplicy Sykstyńskiej, czując, że „potęgi nadświatowej uderzył w nią dech”, że w uszy jej wpadł z szumem głos wiecznych przepaści. A dusza jej

— harfą była drżącą  
I chaos na niej grał  
Ogromną pieśń bojową  
Wszech duchów i wszech ciał.

. . . . .

Zaś wrócił się do piersi  
Wiecznością olśnion ptak  
I przyniósł na swych piórach  
Płomiennej wizji znak.

Dwa znaki może: jeden, w którym zlał się jej głos z wiarą wieków, „tracony od tknięcia owych rąk”, co na tym kawałku nagiego muru „stworzyły hymny wszechjęku i wszechmąk”, a drugi znak własny, dotąd jeszcze cicho wtulony w półmrok piersi twórczej, pierwszy raz tu, głosem Sybilli próbujący dźwięku swojego, ale który niedługo już wyźłobi sobie wyrazowe drogi i piętno swoje na wszystkich pieśniach położy. Gdzie jest mój dom? pytała kiedyś, dawno, wśród wielu swoich młodzieńczych pytań, Konopnicka. Była ptakiem, nie wiedzącym na jakiej gałęzi gniazdo pieśniom uwić. A teraz oto ma już ołtarzdom, aby, jak Sybilla, rzucić z niego głos na dalekie wieki.

## VII.

### W PIASTOWEJ CHĄCIE.

Litwo! Piały mi wdzięczniej tve szumiące lasy,  
Niż słowiki Bajdaru, Salhiri dziewice,  
I weselszy deptałem twoje trzęsawice,  
Niż rubinowe morwy, złote ananasy.

Tak skarżył się pielgrzym, dla którego obcowanie z cudami przyrody krymskiej było piękniejszym może tylko poetycko epizodem wieczystego wygnania, który wiedział, że Litwy swojej nigdy nie

zobaczy. Rozumiemy jego serce, mamy łyzy dla jego tęsknoty. Ale oto Konopnicka podobnie przekonywa nas:

Co mi nada, co pomoże  
Cudza ziemia, cudze morze,  
Kiedy moja dusza cała  
Tam przyrosła, tam została,  
Gdzie mój stary próg!

Co mi nada piękno cudze,  
Gdy w niem tęsknię, gdy w niem nudzę,  
Kiedy serce moje płacze  
I ku chacie swej kołacze  
Z tych dalekich dróg.

Oczy tylko patrzają twoje  
W cudze niebo, w cudze zdroje,  
Ale dusza ci z wyrajów  
Drży do łąk tych, do tych gajów,  
Do zroszonych pól.

Oczy tylko?... Mówi to nam, którzyśmy właśnie i widzieli i słyszeli, jak jej tam dusza rosła, szła w szerz i w głąb. A przytem ona nie była wygnanką, własna ją wola zaniósła na wyraje, własna wola z wyrajów mogła powrócić. To też, jeżeli po marmurowych grodach chodziła utęskniona, dużo z tego złożyć trzeba na istotę jej talentu, który „śród palm wiania słyszał bicie skowronkowych piórek w życie”, to znaczy, którego właściwą treść stanowiły jednak nie owe cuda piękna, ale swojszczyzna życiowa i poetycka. Nie motyw „chramu piękna” był jej najistot-

niejszym rdzeniem, ale „piastowa chata”. I może nietyle serce dalekie, które, choć mogło, rzadko wracało „do tych gajów, do zroszonych pól”, ile raczej poetyckie jej marzenie przerzucało kalinowe mosty od marmurowych grodów do rodzinnej strzechy. Z zagranicy też, oprócz pereł, mających się złożyć na „Italię” i na cykl prowansalski, szły wiersze liryczne, śliczne, uczucia i poezji pełne, a swojskim tonem naskroś przewiane. („Nowe pieśni“, „Ku chacie“).

A jednak nie są to już wiersze, jakie czytaliśmy przed wyjazdem poetki z Warszawy. Między nimi a tamtymi leży przepaść nastroju. Niech mówi, co chce, że tylko oczy jej patrzyły. Zmieniona dusza inaczej śpiewa. Jasność przeżytych wrażeń, jasność życia Europy, zwłaszcza jej południa, wesoły rytm pieśni, żyjącej tylko gwoli sobie, nie płaczącej nad udźmi smutnymi, wszystko to zmieniło wyraz i kierunek spojrzenia poetki. Wyjechała z kraju, w którym widziała tylko deszcz łez, chmury klęsk, i którego duszy inaczej jak łzawo i chmurnie nie umiała wyczuć. Dziś, sama nasiąkła pięknem, spieszy do swojej ziemi przedewszystkiem jako do pięknej, czuje już nie jej smutek, ale jej czar, jej swoistą poezję, to czem ona żyła wieki, tę strzałę słońca, która specjalnie do niej z nieba bieży, ten sposób indywidualny, w jaki ona, w odróżnieniu od innych narodów, promień niebieski załamuje.

„Ziemia nasza narodziła się czasu pogody i ciszy. Było to, — musiało to być — jakoweś słoneczne zaranie, jakaś promienna, tęczowa chwila

sojuszu pomiędzy niebem a ziemią, jakiś mocny i płodny wiew życia, jakieś „jaro” przyszłości\*).

Przychodzi sama silniejsza i chce ojczyznę swoją widzieć jasną i w pogodzie. Więc też może głos, jakim za lat kilka powita kraj lud jej, ściągający z za morza, ma jedno drgnięcie jej własnej duszy, wracającej z dziedzin piękna, z obczyzny: „ldę do ciebie, ziemi, matko nasza, by upaść czołem na twoje naproże...”

Nabyte spojrzenie historyczne, świadomość że ziemi, które deptała, prowansalska i włoska, są jak drzewa o głęboko zapuszczonych korzeniach i z korą w sto znaków pisaną, kazały Konopnickiej i na własnym gruncie wstecz się obejrzeć. A toć i my nie ostatni, nie byle kto: stare puszcze nasze pamiętają te same czasy, co i mury Avignonu, a przyroda o tej dawnej pamięci krewna jest i zrosnięta z człowiekiem. W poetce budzi się poczucie arystokratyzmu własnej rasy, a świadczy o nim razem i piękno naszej ziemi i gołębia dusza ludu. Arystokratyczność ta—to piastowość. Potomkowie-śmy wszyscy tego kołodzieja, kmiecia bożego, im bliższy kto ziemi, tem wyraźniej nosi znamię owo rodowe, a już chyba nikt z nią tak nie zrosły jak chłop i nikt jej szlachetniej niż on nie wciela. Dawniej jęczała tylko Konopnicka nad nim, był parjasem, nieszczęśliwcem, skrzywdzonym stworzeniem, dzisiaj w godności urósł, on, piastowic, dziś w nim podziwia starożytność rodu. Fizjonomja społeczeństwa się zmienia. W ślicznej książce o ziemi polskiej pokazuje nam poetka krajobraz mazowiecki:

---

\*) Ziemie polskie, krajobraz.

„Wsie tu rozbudowane mocno, gromadnie, na dobrych glebach, na błoniach żyznych siedzą zasobne, dufne w sobie, rodowe, trzymające się ziemi wszystkimi korzeniami życia”. To te same, które dawniej „nocką oną stały we łzach rosy, kiedy mgła strząsała włosy w ciemnościach”. A teraz dalej: „Lud to się kwieci, modrzy, czerwieni w swoich krasnych wełnach to bieleje siwemi lnami siermięg i płótnianek, to brunatną sukmaną podobnym się czyni świeżo odwalonej a rodzajnej skibie”. Rankiem i wieczorem, w polu i w chacie, przy pracy i przy zabawie, w smutku i w radości, wybucha wieś pieśnią. Staramy się dosłuchać w niej dawnej melodji: „A czemuż wy, chłodne rosy, padacie, gdy ja nagi..”, ale jakoś pieśń brzmi inaczej. A w świąteczne rano miedzami łąnów zbożnych, przydrózkami pokrytych pyłem gościńców ciągnie lud strojny a rojny, zasłyszawszy dzwon z kościelnej wieży. A kiedy w ciasnych ścianach kościołka buchnie ze stu piersi Święty Boże! Święty Mocny! Święty a Nieśmiertelny! „wtedy wszystko, co się mrówczą pracą krzątało po nizinach ziemi, dostaje skrzydeł i lotu, a całe podniebie pełne jest duchów prostych, bijących kornie czołem o podsienie boże”— lecz już nie jękiem, już nie szlochem, już nie śmiertelną skargą nędzy.

Ale nie to jest najważniejsze.

„Tam, skroś wysady podających się za wiatrem topoli, bieleje dwór starowieczny, ogarnion kwietnikami i sadem, dwór z modrzewia stawiany, którego belki głośnie są od gniazd jaskółczych, od poszumów lipy”. A gdzież tu ona ścieżka, zarosła złem zieleń?

Jakoś nie ona kroki nasze do tego dworu poniosła, jakoś dobrze nam i ciepło pod jego dachem.

„Na niejednej tam ścianie kwieci się dyftek zdobywczy, na niejednej złotnieje ryngraf po dziadach, pradziadach, a z nad łoża świeci dnem jasnym, ciemnieje żalosem obliczem Hetmanka Korony i Litwy. Cisza. Stary zegar gdański cyka jakieś minione godziny mocnej, rycerskiej i dziecięcej wiary. Gdzieś pod bielonym tramem a powałem z przed wieka, echem tajemnym przywarty słyhać poszept sodalisów z pod Baru, poszept gdzieś na wałach zmawianej litanji... *Ora pro nobis!*. Tu okna wielkie, szerokie, zielnikom kwietnym podobne, tu ganki one, dzikim winogradem strojne, tu zadumane, srogie twarze dziadów, tu ściągnięte troską czoła ojców, tu młodość płomienna rwie się do życia, do czynu, tu małeletnie chłopięta biorą chryzmat ideałów rodu i narodu”.

Gdzież dramat tej wioski? gdzież jej ciemność i chłód?

Jest inaczej niż było, bezwarunkowo inaczej. Ten promień słońca, który pada specjalnie na naszą ziemię, tęczyje tak samo w szerokich oknach dworu jak w kratkach niskiej szybki w chałupie. Przynajmniej Konopnicką, która wraca zdala, z obcej ziemi, te dwa blaski witają jednakowo. Wszystko to swojskie, własne, w przeciwstawieniu do obczyzny — to jest jej uczucie przodujące. Patrzyła od środka—widziała rozdzielenie, patrzy od zewnątrz—widzi jednolitość, tę, która się nazywa narodem.

Zdaje się, żeśmy trafili na najlepsze ujęcie. Dawniej Konopnicka stała wobec społeczeństwa, dziś wobec narodu. Jej masa społeczna, nigdy dość wyraźnie nie zróżnicowana, teraz stopiła się jeszcze bardziej przez pierwiastek ogarniający: polskość. Najpierw była calizna pewna, plemię, szczep, później dzieje wyłobiły na niej różnice. Weźmy na świadka cytowany już artykuł „Nasz Lud”:

„Kiedy siekierą zatniemy pień drzewa, a potem ją zaraz wyjmiemy, dwie rozdzielone części zejną się znowu i przystaną do siebie z łatwością. Ale gdy, pień zaciąwszy, klin w szparę wbijemy i zostawimy go tak na długie czasy, to po wyjęciu klina rozszczerzone części już się do siebie nie zbliżą, lecz, rozchylone, będą się patrzyły na siebie zdaleka. Pracowano u nas gorliwie nad wbiciem i utrzymaniem mocnego klina”.

Prosta to socjologia, tak prosta, że zaprawdę mogłaby się zrodzić w głowie starca-gołębia, Horodzieja! Dawno już minął czas Fragmentu: „Czemu ta przepaść, która braci dzieli... „Zamiast przepaści w uspokojonej myśli poetki jest już tylko zacios i klin w obarze drzewa, choćby najbardziej rozwarły, ale tylko zacios. Nie trzeba tu gromów, duchów, ani piorunu Boga, zostało tylko jakieś „x”, które pracowało nad tem, aby krawędzie rany były jak najszersze. A więc nawet nie żadna ze stron, może czas, może warunki, a już najpewniej czyjaś sąsiedzka zła ręka... Zasadnicze to, że w pniu zacios jest dopiero czemś wtórnem: najpierw naród, potem jego wewnętrzne rozkrajania. A jeżeli tak, zwłaszcza jeśli to złe „x” z ścian naszego domu działało, to w samym domu mo-



żemy i musimy spajać rozdzielone. I tak właśnie, pod spólną gwiazdą ojczyzny Konopnicka jedność rozumie. W „Ave Patria“ błogosławi krainie, w której o miedzę legły od jej pól czarne chaty i jeden szum lip nakrywa ją i lud oraczów. W wielkim narodowym marszu do Horodła: „Przez głębinę“, znajdują się obok siebie wszyscy, czują jedno i jedno śpiewają, i chłopci i panowie i duchowieństwo i żydzi. Jeden bo jest kit, jedna prawda i jedna wstęga, serca wiążąca—ojczyzna.

Patrzymy na nią. Jakaż ona śliczna, ta ojczyzna nasza! Polna, łączna, borowa a strumienista, żywica w niej pachnie i miody, lipa stuletnia szumi, przy chacie jarzębina stroi się w korale, skowronek, małeńki poseł ziemi, jak strzałka w niebo pomknął, opowiadać, co się u nas dzieje, a pszczoł rój złoty roznośnem brzęczeniem mówi o zbieranych na jutro słodyczach. I nasz ród piastowy jest jako ów rój pszczeleli, pracowity a gwarny, zabiegliwy koło uli swoich, i tak z ziemi swojej rodzonej, jako one z kwiatów, słodycz ciągnący. Małe złote stworzonko szczególnie bliskie jest sercu poetki, jak nieraz do wysokich myślowych przenośni, tak i kiedy jej o obraz naszego rodu idzie. Gdy nad Wartą stoi, pamięta że tu „polanie pierwszym się uwiązali rojem i zarabiali pierwszy plaster dziejowy piastowego rodu”. Tak się zaczęły nasze dzieje i takim potem pszczelim rojem szły. Pszczoły my jesteśmy w zbieraniu miodów prawd naszych, cichych a żywiących, i skowronki, bo gniazda nasze nisko uwite w zbożu, a w błękit od wieków idziem śpiewaniem.

„Polność stanowi istotny rdzeń naszego narodowego życia, naszego duchowego rozwoju, jest syn-tezą wszystkich rysów oblicza ziemi-matki. Jakoż gniazdo nasze nie leżało na wysokiej skale, choć orła mamy narodowym znakiem. I oto idą, płyną mazowieckie, kujawskie, wielkopolskie łąny morzem traw i zbóż. Idą, płyną, w majowych runiach wiosny, w śniaddej kurzawie wykłoszonych pól, w barwistej siedmio-krasie łągów, w mocnych woniach sianokosów, w si-ności dymów wioskowych, w nieprzemóżonym smętku ugorów, w złotych ścierniskach jesieni, w oparach świeżych rozorów, w taśmach miedz i przęsłach opłot-ków, w rozechwianiu wierzb nadwodnych, w strze-listości przydrożnych topoli”<sup>\*)</sup>). A nad tą ziemią o zło-tych uśmiechu i nad tym ludem, gołęmbim i skowron-kowym, gdzieś, na powietrzu, waży się zwid świetlany. To ona sama, Krasawica—Polska, „królewska a polna”, może w jakimś dalekiem odbiciu taka, jaką widział Her Armeńczyk, pierwszy raz zstąpiwszy na lechickie równie: „Piękność, córka Słowa, Pani któregoś z lu-dów na północy”.

Razem z tem przytuleniem się do ziemi idzie u Konopnickiej odczucie dla innego piastowego dzie-dzictwa: dla języka. Staje się on rzeczywiście naj-rdzenniej, najbardziej od korzenia polskim. Jest to naj-idealniej czysta polszczyzna, odchuchana ze wszystkie-

---

<sup>\*)</sup> Jak Konopnicka silnie i pięknie czuje zrośnięcie się organiczne narodu z ziemią dowodzi jej nadzwyczajne studjum o Krzyżakach Sienkiewicza, gdzie tę właśnie stronę podmało-wała daleko mocniej niż sam autor powieści, na niej położyła akcent główny, bo to była wypowiedź jej własnej duszy.

go, co mogło być nalotem, co padło na płaszczy jej z pyłów obcych. Nabiera jakiegoś dawnego poblasku, staje się językiem zygmuntofskim, dzieje się z nią to, co z winem, aby się stało szlachetnym napojem, lub lepiej jeszcze, to co z bronzem, aby się stał bezcennem dziełem sztuki — patynuje się. Dawny jej język był żywy, zwrotny, płynny i obfity zawsze, ale był językiem dnia dzisiejszego i spraw dzisiejszych; tu mamy coś z antyku, ale bez sztucznej filologiczności, bez kurzu słownikowego. Ten język, będąc starym, jest tak samo żywy jak język ostatniej godziny, tak samo rozlotny, chybki jak był, jest tym samym prześpiwnym językiem Konopnickiej, tylko fala jego, pełniejsza, niesie teraz na sobie bogactwo zatracone dla nas w drodze wieków. Stare wyrazy przy nowych skrzą się tym samym blaskiem, to nie kwiaty zasuszone obok żywych, to jeden piękny, świeżo zerwany i od ros jeszcze wonny bukiet łąkowy o mocnym zapachu. Poprostu rozrosła się w poetce świadomość narodowa, a przez to i jeden z jej składników — język.

Wszystko to zawdzięczamy zagranicznym wrażeniom i kulturze, widzeniu ludzkości wzdłuż historii. Tak było we Włoszech, to, jakeśmy sprawdzili, stanowiło całą zawartość cyklu prowansalskiego. Zdawałoby się zupełnie prostem, że ta sama historyczność, sięgnięcie wstecz poczuciem dumy narodowej i jędrności językowej, pójdzie w parze z sięgnięciem i wyobraźnią, tematami.

Na szlakach różnych ludów prowadziła poetka rozmowy z echem przeszłości. Już w pierwszym wychyleniu się zagranicę, do Salzkammergut, kiedy naiw-

nie dziwiła się, że słońko nie zostało w Polsce, wskrzesiła fantazją ruinę Wildsteinu i oglądała dawno pogasłe sceny rycerskiego życia zamkowego. W Polsce tymczasem jest jedynie nastrój piastowości, wyobraźnia na linii od Piasta po nas jest nieczynna. Nastrój ten czuje ona przytem w dziewięciu dziesiątych tylko na przestrzeni chrześcijaństwa i w jego kategoriach. Że przedtem było jeszcze coś, jakiś świat, tembardziej przesycony wonią tej specjalnie ziemi i tego kwiecia, szumiący jeszcze bardziej mową tych borów, o tem Konopnicka pamięta bardzo rzadko. Zcicha zagrała w niej ta nuta w Wielkopolsce: „A oto wyroczone Gopło, nad którym siedzi koronna Kruszwica, oto zwierciadło Ślesińskie, w którym się przeglądały Światowidy nasze. Wszystko to wody ważne, pamiętne, zadumane ogromną przeszłością narodu, wody pełne w sobie jakiejś złotej baśni, która się tu opowiada w przeciągłych poszumach, z wieku na wiek, z rodu na ród, pełne jakowychś wielkich, niedoświadczanych rapsodów, których ostatnie tony na harfie czasów nie rozebrzmiały jeszcze“. Szkoda, że nie pochwyciła ich właśnie jej harfa, która wyraźnie pod tym podmuchem nie zadźwięka. Parę razy stary wiejski kościółek, ocieniony lipami, uderzył mile jej duszę, niby jakaś z bajecznych jeszcze dziejów gontyna, pachnąca jemiółą chata mówi jej o starych pogańskich przodkach i o ich obrzędach, na Kurpiach czuje się w sercu borów jakoby przeniesiona w te pradawne czasy, ale mamy wrażenie, że jej wyobraźnia w tym kierunku jest zupełnie jałowa. Nic zresztą z tego, co daje poetycko historia nasza, całej skarbnicy

podaj ludowych, Konopnicka—czuła im uchem gdzie indziej—zupełnie nie tyka. O ile dawała na tle polskiem epikę, nowele—możemy tu ostatecznie zaliczyć nawet obrazki—zawsze był to dzień dzisiejszy. Przeciwnie, wyobrażenia jej dramatyczna i epicka od pierwszego ocknięcia się poszła na czasy i drogi od Polski dalekie (trzy Fragmenty dramatyczne. „Z przeszłości“). Widać jest pewna przeciwstawność pierwiastków w jej naturze: gdzie jest silniej liryczką, tam obrazująca władza jej duszy mniej dochodzi do głosu, fantazja zaś jest ruchliwsza, gdy serce jej nie obciąża. A więc potrącenie masy wyobrażeniowej, które widzieliśmy na południu, wyraźnie szło od piękna, nie od serca.

Że jest w tym kierunku zdecydowane u Konopnickiej rozdzielenie, że Polskę w miłości swojej i myślach stawia „mimo wszystko“ nie w promieniach piękna, ale w świetle uczuć wszechludzkich i dobrych, dowodzi nam znowu zakończenie artykułu „Nasz lud“:

„Gdy inne narody szukają chwały w rozwoju nauki czy sztuki, mybyśmy pewnie nic nie stracili, gdybyśmy inne wytknęli sobie zadanie. Czerpajmy ze skarbnicy wiedzy, oddawajmy hołd pięknu, lecz przede wszystkim szukajmy wielkości duszy w masach społecznych. Będzie to szczytne i płodne zadanie. Szczytne, bo stworzymy miliony prawdziwych obywateli, prawdziwych synów ojczyzny. Płodne, bo niema nic, coby się milionom takim oparło. A gdyby kiedy zbudowano świątynię ludzkości, do którejby wchodziły narody, niosąc najlepsze pracy swej owoce, byłoby dla nas chlubą i zaszczytem, gdybyśmy tam wprowa-

dzili naród, o którego każdym dziecięciu chór sędziów mógłby orzec: „Oto człowiek”.

Uderza tu dokładnie to samo stanowisko, z którym spotkaliśmy się w weneckim San Redentore, gdzie zamyslenie mnicha było objawem duszy ludzkiej, ale nie była nim wisząca na ścianie Madonna.

Rozróżnienie jest czysto indywidualne. Polska artystyczna czy naukowa byłaby jej, widać, dalsza niż Polska społeczna. Cała ta kwestja jest tylko ważna jako przyczynek do jej psychologii, w innem znaczeniu zastanawiać się nad nią nie warto\*).

Tak więc na szlaku piastowości opowiadania, historje, utwory z akcją, jak choćby w ojczyźnie trubadurów, nie stoją. Wykwitają na nim zato żywe dusze ludzi, coby może mieli prawo usłyszeć ów przyszły wyrok sędziów w świątyni ludzkości. Takim piastowicem typowym, który nie mógłby się narodzić, gdyby nie ów zwrot w duszy poetki, jest Horodziej z Pana Balcera. Zestawmy go z chłopami z pierwszego okresu twórczości, a zobaczymy, jak daleko idąca zmiana się dokonała. Ale Pan Balcer przynosi i w innym punkcie potwierdzenie mojej teorji. Poeemat ten, oparty cały na nowem poczuciu, na piastowej roli, charakterem swoim wchodzi już w zakres epepei, a nie odpowiada jednemu z nieodzownych niemal warunków, jakie epepei stawiano: niema w nim posunięcia czasowego, stoi zupełnie na linii autorki swojej i jej po-

---

\*) Usprawiedliwienie, jakie tego rodzaju poglądom dawała ubiegła epoka, dziś staje się nam coraz trudniej zrozumiale.

kolenia. Pan Balcer, jako historia *par excellence* społeczna, jest nawet ryzykowną, acz zwycięską próbą odczepienia eposu od przeszłości, rozcięcia obu w ich wiekowym zrośnięciu. Jest to już zupełnie krańcowy dowód trzymania się przez Konopnicką najnowszego dnia polskiego.

Jeżeli na Polskę nie przeciąga się wyobraźnia, działająca zagranicą, to na zagranicę przeciąga się charakter wyobraźni, zrodzony w Polsce. W studjum o Bohdanie Zaleskim rozważa Konopnicka stosunek omawianego poety do tematów historycznych, i jego rodzaj ujęcia nazywa historycznością ludową. Przeczytajmy jej zdanie, ostrze jednak zawartej w niem uwagi zwracając nie na Zaleskiego, który nam w tej chwili obojętny, ale na samą poetkę w zastosowaniu do jej traktowania tematów dziejowych.

„Jest to prawdziwa historyczność ludowa, historyczność, która wyprowadza wprawdzie na jaw fakt dziejowy, ale w takim oderwaniu od przyczyn i skutków pojęty, i mimo całej możliwej złożoności swojej, w tak prostych i pierwotnych linjach przedstawiony, że właściwe jego znaczenie jako ogniwa w dziejowym łańcuchu zaciera się niemal zupełnie, a on sam występuje w proporcjach nadnaturalnych, z całą jaskrawą wypukłością wyodrębnienia swojego, poza stosunkiem zależności i spółbywania z resztą czynników historycznych w danym momencie. Owszem, występuje z całym absolutyzmem rzeczy samej w sobie. Niezawodnie i w podaniu każdym tkwi dużo historyczności, gdy jednak samo już wyrzucie przedmiotu z historycznych proporcji czyni go ogromnie bez-

względny i w tej bezwzględności ogromnie samotnym, występuje w nim nowy czynnik patetyczności, który metoda historycznego traktowania przedmiotu wyklucza... Fakt dziejowy, traktowany metodą historyczną, tj. w całym swoim uzależnieniu od związków przyczynowych i stosunków odnajdywania środowiska swego, nigdy nie wyda i wydać nie może dzieła sztuki, gdy tenże sam fakt, wyrwany z tych stosunków i traktowany metodą podaniową, daje w moc twórcy olbrzymią dziedzinę uczuciową, dziedzinę patetyczności. Prawdziwy twórca wrywa przedewszystkiem przedmiot swój z historycznych zależności jego, w teatrum swoim nie rozpala pojedynczych świeczek, któreby przedmiot jego oświetlały kolejnie i jednostronnie. On w samym jądrze przedmiotu rozplócenia własne jego światło, i czyni je buchającym ogniskiem natchnienia. Pozwala mu być podaniem”.

Zasada narysowana tu jest wielkimi linjami, musimy wszystko powiedziane zmniejszyć, o ile idzie o samą Konopnicką. Ona tematów historycznych miała się przeważnie w poetyckich minjaturach, czasem tylko w większych nieco malunkach, jak „Klaudja“, „Tarcza Scypiona“, które, choć brane ze źródeł historycznych, odrazu owiewała tchem podaniowości. Taki był już jej dotyk historyczny, że wszystko pod jej ręką wyglądało albo na anegdotę dziejową (cykl prowansalski), albo na legendę, choć, jak z naciskiem zaznaczałam, budulec jest zawsze rzeczywisty, bez elementu fantastycznego. Z Polską było o tyle inaczej, że kiedy brała temat dziejowy, czyniła z niego rodzaj śpiewu historycznego,



coś, co nie miało opowiadać, ale o uczucie narodowe bić, dumę budzić, radość z blasku dawnego, podziw. („Grunwald“ „Kartka z Raptularza“). Rzadkie są wyjątki opowiadaniowe: „List imci pana Rudominy“, „Na pobojuwisku“, ale i one są tego rodzaju, że w nich nie wyobraźnia karmi się historją, ale historją karmi się uczuciem narodowem. Poemat „Przez głębinę“ i ilustracje do Grottgera może pod tym względem stanowią wyjątek, pierwszy zresztą, o ile jest historją, jest najlepszym materiałem dowodowym dla przytoczonego zdania autorki swojej, że odcięty od zaplotu ogólnego warunków fakt odziewa się w patetyczność. Drugi utwór, tekst znowu do natchnienia cudzego, jak było w Italji, zwłaszcza w Sistinie, opiera się jeszcze w dal-szem tle, poprzez Grottgera o Dantego i ma charak-ter nie specjalnie polski, ale ogólno-ludzki, filozoficzny. Może to być odpowiednik do Asnyka „Na pobojuwisku“ albo do „Wojny“ Ackermannowej, tłumaczonej przez Konopnicką i podobnie wysnutej z narodowej katastrofy, ale unieśmiertelnionej poetycko w strumie-niu prawdy wiecznej. Pozatem wiersze Konopnickiej z tego zakresu, o ile nie są spólczesne i często nawet o ile nie są zupełnie ściśle z dniem związane, mają charakter okolicznościowy, rocznicowy, uroczystościowy. Między bardzo pięknymi wyliczę z „Mortuos plan-go“ uczczenie poetyckie Domejki, Kraszewskiego, Le-nartowicza. Serce poetki było nadzwyczaj czułe i po-budliwe na wszelkie potrącenia okolicznościowe, namowę dat i wydarzeń życia zbiorowego, reagując na nie ze zwykłą swoją rozlewnością, niejednokrotnie pięknym, uroczystym dzwonem.

VIII.

Wiemy już o jakim obliczu Polskę nosiła teraz w piersi swojej Konopnicka, od pozytywizmu coraz do niej dalej. „Królewskość a polność” leżą już w kłuczu romantycznym. Ale spółbrzemienność z romantykami sięga jeszcze głębiej. Poetka, która zna i inne narody, jak nożem odcina ich psychikę od naszej, Niemców zwłaszcza, szarańczę, która pada na nasze pole, i z którą walczyliśmy niejednokrotnie tak w poezjach jak w nowelach. Niemiec, krzyżak, zaborca, intruz, który gdzie się wwierci tam grunt podgryza, to biegun psychiczny nie tylko Polski, ale szerzej — słowiańszczyzny, całej połaci świata, leżącej w tych tonach ducha co i Polska. „Słowiańskość, ród na wieki młodzieńczy” — powiada Konopnicka za śpiewakiem „Ducha od stepu”. Uczucie braterstwa kieruje parę razy jej piórem w stronę Czechów, pozatem świetnie tłumaczy Vrchlickiego. Raz idzie i na południe, zestawiając pieśń ludową serbską, jako wyraz ducha słowiańskiego z eposem Germanów. „Ten ci jest krąg opieśnionego bohaterstwa, Bayardowski krąg sławy i śmierci, uwity z kwiecia i zieleń, o którym sprawiedliwie powiedziano, iż stokroć cudniejszy jest, niżeli krwawy pierścień Niebelungów. Ten ci jest krąg i opisanie trzykroć święte, do którego dotarł czuciem poeta (mowa o przekładzie pieśni przez Zaleskiego) i w którym duch słowiaństwa wyjawiał mu się głębokimi, niezniszczalnymi rysami ideału, ofiary, nadziei”.

W stosunku do Rosji trochę trudno przedłużyć to samo stanowisko. To też Konopnicka, chodząc

często patryjotycznie po linii zetknięć polsko-rosyjskich, przedstawia raczej jastrzębia, który szpony i dziób krwawy zatopił w sercu skowronka. Ma przytem specjalnie żywe wyczucie słowiańsko-mongolskiej mieszaniny, krzykliwych barw i głębokich cieniów, przytłoczonych złotem bizantyjskiej kopuły. Najjaskrawiej, a zarazem najboleśniej mówi ten świat, wystawiony na klindze katowskiego miecza, w „Śnie Jermaka”. Na tym samym gruncie stoi wiersz „Nasza Harfa”. Tam właściwie jedyny raz na całej swojej roli poetyckiej opiera słowiańszczyznę aż o głębokie tło aryjskie. Bo to duch aryjski tak się właśnie z ziemi skowronkiem w niebo niesie. Może warto tu nawiasowo wtrącić uwagę, że choć poza tym jednym wierszem nie pisze o tem nigdy, jest Konopnicka faktycznie, jasnością swoją i ideologią swoją, zwłaszcza poczynając od tej pory przez późniejsze nastroje życia, typowo aryjska, w przeciwstawieniu do takiego np. Kasprowicza, którego cała męka podniebna w Hymnach rozgrywa się w szponach ponurej ideologii semickiej, przeszczepionej na ducha aryjskiego wraz z chrześcijaństwem. Aryjski był koloryt świata Kasprowicza w górach, po jego zżagwieniu wyrósł tragizm na tle filozofji rozdwojenia i potrzeby bezpośredniego stosunku z Bogiem, osi moralnej, dokoła której wirują wszystkie wartości bytu. Konopnicka tej ponurości tragicznej nie zna, oddycha lżej, rzadszem i wonnem bardziej powietrzem ideowem innej rasy. W wierszu tedy „Nasza harfa”, my, polacy, jesteśmy grajkami na aryjskich strunach, tylko do nas przeszedł ich ton, ci drudzy, choć też słowianie, aryjskości swojej kłam zadają.

Jest to właściwie atak na literaturę rosyjską, która zatraciła do szczytu typ rodowy, a pałac ognie ofiarne przed ołtarzami żądz, stała się obywatelką Niniw i Babilonów, córą Assyrii, i trupi dech Azji roznosi po Europie. Kapłani takiej wiary są starcami, pomimo wiecznej młodości słowiaństwa.

Niemniej mamy wrażenie, że Konopnicka w ogólnym stosunku do Rosji solidaryzuje się zupełnie z romantykami i ich słowiańskim stanowiskiem, wyrażonym bardzo jasno przez serdecznego jej druha, Lenartowicza, w wykładach bolońskich. „Ze słowianami, jako słowianami, nigdy nie mieliśmy do walczenia, to, przeciw czemu podnosimy broń i pieśń, to mongolstwo, wylęgłe na polach lignickich, to dwugłowe orły brandeburskie. Pod lodową skorupą bije ciepłe serce na wschodnich stepach”.

Że Konopnicka brała właśnie jakiś szeroki oddech słowiański, wiejący od wschodniej bramy stepowej, jego rzeźką, zdrową woń, dowodzi choćby jej język, który im rdzenniejszemu polskiemu się stawał, im bardziej słowiańsko brzmiał, tem wybitniej jędrniał i koloryzował się, wystawiony właśnie na owe bujne podmuchy. Jej archaizm, nietyle gwarowo się zdoił, ile garnął w siebie dźwięki, co już u nas powiędły, ale którymi się jeszcze wschodnie komysze a oczerety kołyszą.

Jednak ziemia nasza, prawa córka aryjskiego ducha, nie zawsze nosi na piersi ukryte gniazdo, pełne skowronków. Czasami, zwłaszcza w zetknięciu z owym jastrzębiem assyryjskim, duch-skowronek znagła urasta w orła, „którego mamy narodowym znakiem”, na-

przeciw Goljata staje Dawid, pacholę, ale z harfą pro-  
roczą. Dzieje się wtedy ów cud, którego wyrazem  
było posłanie Mickiewicza do Zaleskiego:

Słowiczku mój! tve pióra zzuł,  
Sokole skrzydła weź,  
I w ostrzu szpon, zołoto-stron,  
Dawidzki hymn tu nieś.

A więc skowronek o skwirze orłowym, słowik  
o sokolem skrzydle i szponie—to my. Raz jeszcze po-  
wórzmy sobie dwoistość rady, danej „braciom —  
pieśniarzom”.

Pieśni swej gniazdo ptaszęce zlepl  
Pod niskiej strzechy belką,  
— A zaś ją wypuść w niebieski sklep,  
Nieogarnioną, wielką.

I daj jej płynąć, jak płynie zdroj  
Błękitną ciszą w zorze,  
A zaś jej pęd daj, puść w huk i w bój  
Wód grzmiących, co rwą w morze.

I daj swej pieśni poszept ros,  
Gdy z polnych ziół oblata,  
— A zaś tak wielkim uczyn jej głos,  
Jak wielkim jest ból świata.

Przejęta słowiańskością, czyli zaciągnięta ponie-  
kąd pod proporce dawnej wiary, Konopnicka doko-

nywa jeszcze ostatniego, konsekwentnego kroku: zaczyna wierzyć w misję. W pierwszym okresie poezji swojej widziała tylko Polskę niewolną, nieszczęśliwą, jej wiersze patryotyczne były wskazaniem siły i otuchy na chwile cierpień. Teraz Rzeczpospolitą i przed upadkiem oglądamy w świetle przeznaczenia, zamię leżało jeszcze na młodzieńczym jej czole, znaczyło się w błysku jej starych, bohaterskich szabel. W „Ave Patria” poetka śpiewa błogosławieństwo swojej ziemi, nie za żadne z tysiącnych dóbr i chwał, jakimi otoczyła życie nasze i ducha, nie za to, że „gdzie polak walczy, tam narody klaszczą w spętane dłonie”, lecz za to,

że do ludów krwawą pijem czasą  
Za naszą wolność i za wolność waszą.

Bowiem nie wzejdzie gwiazda jutrzeńkowa,  
Ni zórz przed słońcem otworzy się brama,  
Aż plon swój wyda ta rola grobowa,  
Ta Chaceldama...

A oto ludy, co dziś ducha kuszą,  
Na hasło z mogił moich czekać muszą!...

Dziewicą orleańską ludów była Polska. Jej całość ducha, siła jej, to świt, co wybuchnie z krzyża. Jej fundament, jej epoka i zrąb tkwią w najgłębszej osnowie ogólnoludzkich przeznaczeń. Jeszcze w poprzednim swym żywocie nosiła koronę proroka, jak dzisiaj nosi koronę boleści. Ona już przed wiekiem była Chrzycielem między narodami. To Konstytucja Trzeciego Maja, święto pisane nie

zbrojną ręką  
na granicy ziem i mórz,  
ale bratnich ust piosenką,  
skowronkowem hasłem zórz.

Nawet ten akt mądrości politycznej miał dla niej coś polnego i skowronkowego. Przy takim rozumieniu przeszłości, jako już pomazanej społecznem przeznaczeniem, nie dziwmy się, że Konopnicka i przyszłość chce widzieć nie gdzieś indziej jak w świątyni ludzkości.

Najpoetyczniej i najbardziej imponująco zarazem Dziewica orleańska narodów wygląda jako Jungfrau, strojąca się w szaty oblubienicy. Przeżyliśmy taką chwilę, gdyśmy ją widzieli, ruszającą w drogę godową. Oczekuje jej oblubieniec i ziemia z nim razem:

Panna Młoda się chmurzy,  
We mgłach lico zanurzy...  
Jeszcze nie czas, nie chwila,  
Jeszcze złe się przesila,  
Jeszcze nie jest, jeszcze nie jest Panna Młoda  
[gotowa.

Tak było wczoraj.

Jak od lądu, do lądu  
Bóg otrąbi dzień sądu,  
Jak rozpękną wierzeje,  
Jak w przepaściach rozdnieje,  
Jak powstaną doliny,  
Jak się zniży wierch siny,  
Jak grom sądny wypali,

Jak pół świata rozwali,  
— Wtedy będzie, wtedy będzie Panna Młoda  
[gotowa.

I to już się stało!

Cudowny ten wiersz zapamiętajmy nie tylko dlatego, że w najwyższej poezji wyjawiony jest „ludom-Łazarzom, kto ich z śmierci wybawi”, ale że jest to w dziele Konopnickiej jedyny wyjątek od zasady, którą podkreśliłam swego czasu—nieobecności mitu. Nie możemy nazwy tej przeciągnąć i na naszą Jungfrau, w każdym razie jednak tu tylko i „U Pięciu Stawów” w akcję ideową i uczuciową wciągnięta jest jako aktor biernie zwykle rozesłana przyroda.

Specjalną a nieodzowną falą w nurcie mesjaniistycznym są wielkie duchy. To też Konopnicka chodzi z wieńcami czci koło olbrzymów romantyzmu. Spomnienie, mogiła, proch, to dla niej nie przeszłość, to zadatek przyszłości. Groby wraz z narodem żywych kroczą ku wschodzącym przeznaczeniom. Kto tak rozumie, nie potrzebuje się ku nim obracać, a Konopnicka, wiemy, obracać się nie umiała i nie dawała się obracać narodowi: przeszłość trzeba było dociągać do siebie, przeszłość mieć w sobie, przy sobie, ale nie po za sobą.

Groby wy nasze, ojcyste groby,  
Wy życia pełne mogiły,  
Wy nie ołtarzem próżnej żałoby,  
Lecz twierdzą siły.

Nie z jękiem marnym, nie z westchnieniami,  
Nie z pustem echem pacierzy,



Ale z płonącem sercem przed wami  
Stać nam należy.

Bo zakładniki wyście przed niebem,  
Które Bóg wybrał wśród gminu,  
Że znów się kiedyś przełamam chlebem  
Pieśni i czynu.

I na dalekich tułacznych drogach  
Sypał nam Pan te kurhany,  
By pielgrzym tęskny na cudzych progach  
Miał znak podany.

I tak przyjęła ziemia ta czarna  
One popioły a kości,  
Jako złotego posiewu ziarna  
Na plon przyszłości.

Tę samą myśl i równie pięknie wyraża „Inwokacja”: „Jeśliś ty, Polsko, takie miała duchy, co wielkie życia wieszczyły ci słowo, jeśli cię trzymają ich kolumny wzniesioną hostją u jutra ołtarzy, to ty nie możesz paść i być zdeptana”. Miała wielkie Logos wielkiej pieśni, stworzenne Logos, które cuda czyni, na rozblask nowej zorzy wyjdzie pod wodzą Króla Ducha i hetmana; duch jest prawdą, siłą, panem bytu; niema o nią obawy — nie zginie, nie może zginąć!

Do tej teorii możemy dodać prozaiczny komentarz:

„Bo niech się pełniący bezprawie nie łudzą... Ostatnim krzykiem zdeptanego prawa nie jest i nie może być homagium dla bezprawia. Krzykiem tym jest apelacja do sprawiedliwości dziejowej. A na ten

krzyk, mocą samego aktu apelacji, który to akt niczem innym nie jest jak stwierdzeniem i uznaniem wyższej nad bezprawie instancji, sprawiedliwość, lubo niedostrzegalna zrazu, niechybnie pełnić się poczyną. Poczyną się jakowyś wielki sąd kapturowy, wszelkiemu bezkrólewiu praw ziemskich właściwy, którego tajne wyroki uprawomocnia czas a egzekwują dzieje. Taka jest według mego rozumienia i w ogólniejszym zarysie swoim owa historjozofja, będąca treścią, istotą i podstawą mesjanizmu, który narodowi gwałt cierpiącemu nietylko odkupienie zapewnia, ale zwiastuje w narodzie tym odkupienie samych narzędzi gwałtu” \*).

Stanowisko to wszelako, jak zawsze u Konopnickiej, nie jest logicznie wytrzymane. Obok powiewu, który myśl jej patriotyczną niesie aż do rozpękłego grobu Chrystusowego w rozważaniach komu śmierć, komu życie (*Resurrexit*), mamy wiersze, oparte o realny grunt przyczyn i skutków. Sferę pośrednią, łagodzącą przejście, stanowi poemat prozą „Z psalterza wieków”, dialog między Polską a ludem. Ona zostaje czystą i wysoką, orlo skowronkową; kto nie dorósł do zadań wiekowych, to jej lud. Ona go Barankiem bożym uczyniła pośród narodów, a on napoił żółcią matkę-żywicielkę \*\*). Ona wybrała mu ducha w lnianej koszuli białej, która znaczy: wyzwolony, wykupiony, wolny. A on rozciął mieczem szaty jej, i o suknię jej całodzianą rzucił los Ona go uczyniła

---

\*) Ze studjum o Zaleskim.

\*\*\*) „Baranku boży cichy! Chrysta bracie”, zwraca się wprost Konopnicka do ojczyzny swojej w „Imaginie“.

wiosną narodów, śpiewała mu pieśń życia i pieśń nadziei, a on się zapał jej językiem swoim i matce własnej zgotował krzyż. „Moja wina! Moja wina! Moja wielka, wielka wina!” Ika przed nami ten nieszczęsny lud, który musi teraz z niży swoich dźwignąć się aż do zlania w złotym pasie prawdy niebieskiej z umęczoną matką swoją.

Poemat cały przepojony jest retoryką i częstym Konopnickiej patosem. Niemniej pomysł rozszczepienia na ojczyznę, jako ideę, i lud, jako fakt żywy, dałby się wyzyskać ciekawie. Na małym półku specjalnem kopja to przypadkowa filozoficznego ujęcia świata w ramę bytu i objawu. Zwłaszcza odłam myśli, do którego zbliży się w pewnym stopniu Konopnicka: mistyka bramińska, rozumie, że źródło bytu, czyste w swej jedności, w Brahmie, gdy się rozprysnie na iskry, bruka się. To świat, to życie, które musi się czyścić, aby znowu do źródła swojego powrócić. Według tego wzoru Polska, źródło ducha narodowego,—jest święta, rozprysnięta na dzieci swoje, na swój lud, jest zbrukana; musi się podnieść, stać się znowu sobą.

Po drugiej stronie połączenia mostowego przez ten poemat stoi odpowiedź Asnykowi na wspaniały fragment „Lykofron do Fatum”. Asnyk, zwycięzca myślowy nad procesem światów, dopiero po wiekach widzi tryumf nad kamiennem prawem, które połamało wszystko, cobądź pięknego świeciło wzdłuż dziejów. „A człowiek sam na sam z tobą, o ślepe Fatum, pozostał, mając pod nogą otchłań nicości; sam, wobec twojej wszechmocy, pełnej tajemnic, — pozostał jako niewolnik niezrozumiałej tyranji, wpatrzony w wieczną

zagadkę swego istnienia”. I o cudo! ten „cień bezkształtny olbrzymi”, który u Asnyka „nikogo nie karze ani nagradza, lecz wszystkim wyznacza miarę koniecznej męki”, u Konopnickiej niespodziewanie odzywa się z błękitu nad pogrążonym w myślach Lykofronem, a treść słów jego wstrząsa duszą. Ono, Fatum wieczyste, — to tylko „własna słabość tych, co doli swej czarnej pod miecz poddają grzbiet krwawy”. To ona tak mówi, Konopnicka, mocniejsza w tej chwili od Asnyka. Dla niej przeszłość to tylko cmentarz słabych.

„Pojrzyj, a obacz, iż Fatum nie jest czem  
[innem straszliwe  
Jak tylko wagą sił życia  
I życia woli,  
Nad przepaściami chwiejącą ludy i bogi”.

I upadł na twarz Lykofron i Grecji płakał.—A do wtóru mu inny lud pod tym kamiennym, z niebios padającym głosem załkał: „Moja wina! moja wina! moja wielka, wielka wina”. Ale Lykofron skończył na łzach, lud uczyni więcej. Wiersz ten możnaby podpisać pod zasadę „Wille zur Macht”. Przyjrzymy się też zaraz jego skutkom. Przedtem jednak jeszcze krótkie spojrzenie gdzieśindziej.

\* \* \*

Towarzyszyliśmy świeżo złągodzeniu antagonizmów społecznych. Konopnicka nie jest w swoim nowym poglądzie samotna; autorytetem, na którym się

opiera, jest Mickiewicz. W książce swojej krytycznej „Z roku Mickiewiczowskiego” powołuje się na zdanie z „Trybuny ludów”, w którym, „gdy poeta pisze, że nowy świat się rodzi, to nie pisze, że on się rodzi pod strzechą. On się według niego rodzi w tawernach niemieckich, w foburgach francuskich, nawet w chatach włoskich, ale nie pod strzechą. Tę naszą strzechę, tę naszą piastową strzechę uważa poeta i teraz jeszcze za „piastową”, ciszy i błękitu pełną, za szczęśliwą strzechę.”

Zdanie to wyszukała Konopnicka tak na swoje szczęście i podkreśliła je z takim przejęciem, że choćby nawet stu innych dowodów prócz tego jednego nie było, dowiedzielibyśmy się, że i dla niej samej piastowość nie jest jednoznaczna z nowym duchem. A o jakimż nowym duchu pisał Mickiewicz? O rewolucjonizmie, o prądach wywrotowych, o rozum, ale nie o idealne wiary opartych, które za dni jego przedarły się raz pierwszy na powierzchnię życia, szczękając bronią prozaicznej rzeczywistości. I tu akompanjuje mu Konopnicka, wierna sobie zresztą, ta sama, jaką znaliśmy w pierwszym okresie. Dziś jej tembardziej chaty piastowe kołyską hasań wywrotowych się nie staną. A czyż może głos jakiś te jej poglądy wymowniej przypieczętować, niż dojrzały dotąd ledwie mimochodem „Prometeusz i Syzyf”? Rozdwojenie jego, jak zaznaczałam, jest dawne, na światło i mrok, ale mrok syzyfowy nie jest mrokiem polskiego ludu. To właśnie raczej owe tawerny niemieckie i foburgi francuskie, które, gdy padnie w nie iskra z zewnątrz, czynią z niej głównię dla pożarów świata. Konopnicka nie sympatyzuje z tym ruchem,

potępia go nawet ustami i przekleństwem samego Prometeusza.

Na czymże polega niskość Syzyfa?

Prometeusz schwycił iskrę ognia zeusowego, żarła, paliła mu ciało, ale on ją ludziom dał jako światło, nie jako ogień niszczący. Sam mógł ginąć od niego w męce, im miała przynieść tylko jasność i błogosławieństwo. A Syzyf? On światło niebieskie obrócił w ogień niszczycielski i innych przez niego skazał na mękę. Ogień stał się dlań narzędziem zbrodni, gdy światło winno go było uszlachetnić. I za to przeklina go Prometeusz: „Iżeś boskiego ognia w pierś nie wziął, aleś zeń ziemi pożogę uczynił... Iżeś ze światłem w górę nie rósł, aleś rzeczy górne ściągnął do własnej nicości.. Na wiek... na dwa... na dwakroć po lat tysiąc oddaję cię bezruchowi i senności głazów!”...

Może być, że w tem miejscu myśl nasza przeskakuje nieświadomie do systemu myślowego innego poety, który także wyraźnie odciął światło od ognia: pierwsze uczynił, podobnie jak Konopnicka, celem dróg świata, drugi podał w potępienie. To Słowacki. Jest różnica. Dla niego Prometeusz, a właściwie jego ród duchowy, to siła wsteczna w społeczeństwie, ci którzy kładą się zaporą na szlakach ku przyszłemu wszechduchowaniu, przez to właśnie, że światło przemieniają na ogień. To duchy złe. Na widnokręgu takiej teorii Syzyf byłby prometeida. U Konopnickiej Prometeusz jest, zgodnie z tradycją, siłą heroiczną, zbawczą; zbrodni dokonywa lud, nędza, ciemność, na którą nagle rzuciło się światło za jasne dla jego nie-

nawykłych źrenic. Dobrze, że pod strzechami piastowemi nie mieszkają takie Syzyfy.

Ale dramat ma jeszcze inną ideową ważność w dziejach ducha Konopnickiej. Prometeusz, ten, który nad ludzkością w ciemnościach tonącą cierpiał długo, który nie zawahał się kosztem ofiary własnej stanąć w sprzeciwie z Bogiem, to zapewne potomek spotykanych dawno u poetki naszej mędrców i marzycieli, co myśl swą rzucali w przepaść braci dzielącą. Prometeusz jednak jest i czemś więcej znaczenie. U niego za myślą poszedł czyn. On miał siłę tęsknotom swoim za światłem, długim nocnym marzeniom dać szatę ciała, sam na spotkanie światła pójść nawet w walkę, w bunt, w cierpienie. Przeszedł, widać, wraz z poetką swoją, ową ewolucję ku sile, której towarzyszyliśmy po zerwanych dialogach z Bogiem. A potem pewnie i nad jego duszą rozebrzmiało wyroczne zdanie Fatum o życia woli, która nad przepaściami chwieje ludy i bogi. Pod wszystkie rady: „bądź silnym bracie”, czy „będziesz silnym przez to, w co uwierzysz”, padła po rozmowie Lykofrona nowa prawda bytowa. Zjawa Fatum rozsunęła drzwi błękitne niebios, które się swojego czasu na sąd nad smutnymi otworzyć nie chciały, i ukazała w zenicie, jakby w zwierciadle ziemi, słonecznemi głoskami pisany wyraz: wola. I oto wychodzi pierwszy rycerz Konopnickiej, który jest silny, i którego czyn zmienia życie ludzkości.

Godzina wybiła. Głos Tytana skrzyknął młodych na bojową wyprawę. Wiedzę mają dzięki doświadczeniu Lykofrona, siłę ofiary od Prometeusza — to

ich dwaj patroni w myśli i czynie. W pierwszym okresie (nie mówię w tej chwili o Mojżesz<sup>1)</sup>, idzie mi o grunt polski), nie widzieliśmy nikogo, co by szedł do ludu ze światłem utęsknionem, którego wtedy tak paląca była potrzeba. Owszem, raz pokazała nam poetka młodą dziewczynę, o duszę swoją i życie rzuciła w lud, do wiejskiej szkoły, — ale pokazała ją dopiero w trumnie. Wprawdzie i u Żeromskiego Stasię „siłaczkę” poznajemy już w agonji, ale mówi za nią przeszłość przez pamięć Obareckiego, i konająca „darwinistka” jest nam daleko bardziej żywa, aniżeli od jej łoża śmiertelnego na długie lata życia wracający doktor. Ślicznej i biednej nauczycielce Konopnickiej już na duszy leżą pieczęcie wiecznego ucieszenia.

Dopiero okres drugi przynosi żołnierzy sprawy, bezimiennych, ale błogosławionych. Dorosło pewnie dziecię, które poetka uczyła „nosić wczesnie ciężkie zbroje”. „Ty, coś walczył dla idei, chwała ci!”. I to jest właśnie długo wyglądana, spóźniona „Oda do młodości Konopnickiej”. Strażnica swego czasu dostawała w naszej obecności zaledwie rozkaz wymarszu, tu już wraca z bojowiska. Ty, coś walczył dla idei.... coś dla niej zginął.... co dla niej żyjesz... Wraca nasz młody hufiec, może już i nie cały, są w nim tacy, co padli; — na obecnych i nieobecnych

---

<sup>1)</sup> Właściwie mówiąc, Mojżesz przedstawiony jest w chwili odcięcia od źródła czynu, a więc w bezmocy. I bohaterowie Fragmentów dramatycznych: Hypatja, Wezałjusz, Galileusz, nie walczą, walczą strona druga: tłum ciemny i inkwizycja,



kładzie się blask złoty, światło upragnione. Młody żołnierzu, w jaki ty idziesz bój? Znalazły się dusze płomienne, które nam mówią z prostotą, z precudną prostotą, za co idą: polny kamień wszechmiłością w brylant zamienić. Są to rycerze już posuniętego południa poetki; wchodzą do chat piastowych i tam rojowi pszczelnemu rozdają—nauczeni doświadczeniem Prometeusza — już nie iskrę gorącą, ale promycek światła białego. I przyjmie się ich promyk w każdej chacie, a szary kamień z przed jego progów kowacze boży zaniosą daleko w Tatry, gdzie u Pięciu Stawów, w wielkiej kuźni żywota kuje się obręcz korony polskiej. Dawnoby była korona gotowa, gdyby jej tego szarego kamienia nie brakło na spoidło...

Wina grzesznego ludu, który swej matki nie uszanował — naprawiona. Ale i inna rana, dawno krwawiąca, się goi. Bo znalazł się oto obrońca dzieci, ginących z mrozu przed kościołem, i Jasia, co umarł w suterenie, drobiazgu wiejskiego, który chodził do dworu, opowiadać dobrą nowinę, a sam znał tylko od kołyski głód i chłód, i małoletnich złoczyńców, którzy kradli, bo im nikt dłoni nie podał. Idzie oto rycerz, którego przysięga „na śmierć!” i „na śmierć!” tarczy znak.

Pośród bezimiennych rycerzy idei wybija się wielki szermierz, rzeczywisty duch-bojownik w dziejach, — Jan Hus<sup>1)</sup>. Od Fragmentów dramatycznych

---

<sup>1)</sup> Chronologicznie wiersz o Husie musi być wcześniejszy; mówię o nim w tem miejscu, bo przypada do niego tonem. Tak samo: Ty coś walczył, Młody żołnierzu, Idź żołnierzu, należą właściwie do innej prowincji twórczej (Głosy ciszy, Z ksiąg ducha), gdzie jeszcze do nich powrócę.

„Z przeszłości“ do niego leży duży szmat przebytej duchem drogi. Tam, jeżeli był ruch, to tylko od wiania piór wielkiego patosu, tu już jest nerw żywy. Hus jest wysoce dramatyczny. Udał się Konopnickiej ten wysoki głos prometejski. Tak jak mówi i tak jak milczy przed sędziami, mógł mówić i milczeć Bruno. „Ja duch... Ja żyję!...” Ja żyję — to znaczy: tej siły, która jest we mnie, nie zniszczy wasza moc ani niczyja.—Odradzać się będę, wiek po wieku, wy tylko zginiecie!

O przyszłych dni świty!

Do was wyciągam ręce, do was piję  
Ostatni puhar! Cień jeszcze was kryje,  
Lecz stos mój płonie... O Rzymie, czyś syty?  
Ja duch... Ja żyję!

On czuje, że z czerwieni jego stosu wstaną zczasem młodzi żołnierze, którzy „za wszystko dobre pójdą w bój, w bój duchów śmiertelny”, i w których szablach odbijać się będzie złote słońce jutra.

Jedna rzecz tylko trwoży tego mocnego, tego nadludzko mocnego Husa, kiedy ma iść w płomień stosu, aby, jak Feniks, na śmiertelny duchów bój zmarłych wstawać: wizja Białej góry. I jedno mu przed męką oczy rozpromienia: widzenie ludu, rwącego okowy. Sprawa ducha rozwiązana już, nie o jego losy się lęka, tylko o życie ziemskie i podolne. Nasuwa się tu Mojżesz i jego troska o naród i niewolę. Ale zaszliśmy już daleko pod względem uspokojenia. Mojżeszowi widok cierpienia ludu wrywał się w stosunki

z Bogiem, niebo mu znikało, a siła nadludzka w piersiach gasła. Dla Husa troska o lud jest kolcem w sercu, ale w wierze w losy ducha, zachwiać go nie ma mocy. Dlatego stos konstancjeński pewniejszą jest pochodnią dla duchów walczących o ziemię, aniżeli ogień na Horebie. Tam duch oparty był o element zewnętrzny, z niego brał siłę, ale i z nim razem chwiało się i dogasał, tu źródło siły jest w samym sobie, w trawionej prometejskim ogniem duszy. Toć Prometeuszowi, nawet czasu kaźni, iskra złocista paliła się na piersiach. Jej widok wzmacniał ludzi, a przerażał bogów. Otwiera się nam widok jakiś bardzo wielki na człowieka, który kiedyś może być kierowniczą władzą świata, o ile duch jego stanie się jednoznaczny z prawami tego świata, o ile położy się na fali prawdy, która światy niesie. Jesteśmy u szczytowych wiązań myśli czy wiary Konopnickiej. Nowe światło, którego promień braliśmy dotychczas tylko na przestrzeniach polskiej ojczyzny, przychwycimy zkolei na przestworach ogólnego bytu. Zciszenie walk i zgrzytów, załagodzenie przepaści, wszystko, co dotąd zauważyliśmy zmienionego w jej świecie, ukaże się nam tutaj jako rezultat przesunięcia się najwewnętrzniejszej tonacji duszy, całego systemu słonecznego jej światła, w stronę nowego bieguna. Biegunem tym jest—cisza.

### Rozdział III.

## POD KOPUŁĄ CISZY.

### I.

Musimy na chwilę cofnąć się spojrzeniem aż tam, gdzie życie duchowe Konopnickiej, jeszcze przed

wyjazdem za granicę, widzieliśmy rozdzielone na za-  
pełniony elementem społecznym dzień i na wonną  
samotnem marzeniem noc. Pamiętamy, że czujne jej  
ucho dosłuchać się chciało w bezszumnem morzu  
najgłębszych tajemnic świata. Ale odpowiedź ciszy  
nie tak prędko miała jej być dana. Zresztą zbyt śpiesz-  
nie powracał gwar życiowy, wracało słońce, oświet-  
lające nędzne, głodne wioski, — trzeba było tłumić  
głosy własnej piersi i iść w ruch, na pracę. Teraz  
już słońce minęło najbardziej rozpalony zenit, zmierzch  
„przejrzysty, zmierzch liljowy obłąkitnia świat”. Świat-  
ło nie jest już tak natrętnie jaskrawe, owszem, jakby  
stonowało się nieco, staje się mniej promienne, a bardziej  
duchowe. I w tych warunkach dokonywa się ślub  
rozdzielonych dawniej pierwiastków — słońca i ciszy.  
W tem świetle złagodzonem, a błogostawieństwie sie-  
jącem widzieliśmy przed chwilą cały krajobraz polski.  
Tory ze wszystkich twórczych okolic ducha zbiegają  
się w tej popołudniowej godzinie, w tem słodkiem,  
bez zadrzenia powietrzu. Nad wszystkimi drogami ra-  
dości, męki, troski, jakie przemierzyła, nad skowron-  
kowem gniazdem i nad orlą wyżyną, nad całym świa-  
tem jej ducha kładzie się bramantiowska kopuła  
ciszy. A cisza to jest, która mówi. Już nie nasze py-  
tania wzbijają się przez nią od ziemi, nie budząc  
echa ni protestu w pustym przestworze, ale ku nam  
z wysoka, niby manna niebieska dla ducha, spływają  
prawdy wieczne. Jesteśmy w okresie syntezy, która  
u Konopnickiej odpowiada okresowi wykładów pa-  
ryskich u Mickiewicza, pism mistycznych u Słowac-  
kiego, Przedświtu i Psalmów u Krasińskiego i okre-

sowi „Nad głębinami” u Asnyka. Z wyjątkiem ostatniego przykładu są to wszystko okresy mistyczne. Czyżby takim był i okres mowy ciszy dla Konopnickiej?

Dotychczasowa krytyka nie wymówiła tego wyrazu w zastosowaniu do niej, owszem nieraz odżegnywała się od niego. Feldman pisze: „nic bardziej obcego jej naturze, jak mistycyzm. Od Słowackiego przejęła nie ideę, lecz formę skrzącą, frazeologję typową”. W rzeczy samej wpływ Słowackiego, zogniskowany najmocniej u początków drogi Konopnickiej, był wpływem głównie „W Szwajcarii” i wierszy drobniejszych. Ani po jednej ani po drugiej stronie o mistycyzmie wtedy nie było mowy. Później działanie zrzędo. Konopnicka stała się sobą. Do tego, co nazywam jej mistycyzmem, doszła własnym krokiem; czy się spotkała, już za bramą rzeczywistości, ze swoim mistrzem młodych lat—zobaczmy. Mniemam, że zdanie owo Feldman powiedział w okresie, kiedy poetka jeszcze nie zebrała wszystkich pęków światła w tę jedną cichą więź,—stąd niedopatrzył. Zaznaczenie mistycyzmu znalazłam w przelotnym sądzie Tetmajera, rzuconym w drodze ku Wyspiańskiemu. „Śmiem twierdzić, że nie byłoby mistycyzmu i prorocत्व Konopnickiej, gdyby nie było mistycyzmu i prorostw Mickiewicza i Słowackiego”. Nie staję do dyskusji z tem zdaniem, które radabym odparła, idzie mi w tej chwili tylko o to, że padł tu wyraz „mistycyzm”, i to bez zawaroowań, bez wahania.

Aby jednak nie stawiać sprawy zbyt lekko i dla możliwych zarzutów grunt mieć jasny, cały i z jednego punktu widoczny, postawię moje własne i najbar-

dziej ogólne obrysowanie mistycyzmu. Niech potem na jego tle „Księgi ducha” Konopnickiej szarmonizują się albo, kontrastując, odskoczą.

\* \* \*

Mistycyzm jest przepołowieniem bytu i zajęciem pozycji tylko na jednej jego półkuli — półkuli ducha. Druga — materja, staje się mniej lub więcej niebytem, majakiem, może tem, czem była dla Arystotelesa w stosunku do formy: *hyle ápeiron*. Jest tylko narzędziem ducha, prawie można powiedzieć, narzędziem gimnastycznym: na niej ćwiczy się, zaprawia, rozbujać próbuje, by skoczyć w nieskończoność i już — w dzisiejszej swojej postaci — tu nie powrócić.

Mistycyzm nihiluje zupełnie stronę kosmiczną bytu: przyrodę. Słońca, gwiazdy, o ile mu są potrzebne, to zawsze tylko jako schody, progi czy korytarze dla chodów ducha. W Upaniszadach są ciemnymi lub jasnymi przystankami dla dusz, idących „drogą ojców” albo „drogą bogów”. To też duch ustosunkować się nie ma do czego. Istnieje gwoli sobie i prawdzie swojej. Celem bytu, treścią jego i początkiem (w takim świecie może istnieć tylko przyczyna celowa) jest on sam. A duch, oderwany od wszelkiego poza sobą podłoża, ma jedną tylko treść i jeden cel — własną doskonałość. Wobec tego historją świata mistycznego jest doskonalenie się ducha. Jest to ewolucjonizm, ale zupełnie specjalny. Z przyrodniczem rozumieniem rozwoju punktów stycznych jest mało. Chronologicznie zresztą ewolucjonizm mistyczny jest najstarszy na ziemi, o tysiąco-

lecia przerasta wiekiem młodziutkiego, narodzonego w zeszłym wieku naukowego swego „brata”. I teoria czysto naukowa może brać rozwój pod kątem ducha, uznać go jako szczytowy punkt i cel, a nawet jako drogę ku wyższemu jeszcze i mniej z materją skutym formom bytu, może postawić moralność jako znak naczelny, pod którego wodzą, albo ku któremu wszystko zmierza, niemniej z tego stanowiska nie podobna nie liczyć się z istnieniem świata przyrodniczego i nie cofać wstecz, genetycznie, przyczynowo, po uzasadnienia, aż do samych, jeszcze pod poziomem ducha leżących załączków zjawisk. Mistycyzm, przeciwnie, ducha stawia odrazu jako gwiazdę stałą, — część procesu przedduchową bagatelizuje, albo bierze naskroś teleologicznie. Rzecz prosta: dla większości tych systemów duch sam był twórcą świata, twórcą materji, istniał „przed początkiem”, nie może więc być zagłuszony przez procesy innogatunkowe, które jedynie gwoli jemu mogą mieć pewne uzasadnienie.

Ze stanowiska duchowego, moralnego celu świata, wymagana jest palingeneza. Dramat, bieg świata, jest dramatem, biegiem ducha. Krótki epizod życiowy, a potem albo nicość, albo nawet chrześcijańska sztywna, bezrucha nieśmiertelność nie odpowiadają żądaniu. Cały sznur dziejowy jest tu bowiem nieruchomy, drga tylko znikomo maleńki wycinek. Tymczasem duch musi trwać i działać tak długo jak świat: póty przedstawienia, póki aktora. W poglądzie chrześcijańskim centrem, jądrem życia duszy jest, mimo wszystko, epizod ziemski: przed nim duszy nie było, ciąg dalszy będzie tylko jego konsekwencją, skostnie-

niem wiecznym w tonacji tego epizodu. Teoria doskonalenia się, ewolucji, musi ten punkt wyciągnąć w linię. Nie idzie o ziemski krótki fragment i jego moralny wynik, nagrodę lub karę, lecz o wyjście poza niego, o nowe punkty, o plastyczność materiału budowlanego świata. Przy metempsychozie życia następne są wprawdzie również konsekwencją prostą życia obecnego, ale jądrem nie jest to życie, tylko materiał, sam duch, który przechodzi niejako przez sfery o różnych oświeceniach i wyprobowuje się w nich, szlachetniejąc. Grób nabiera zupełnie nowego znaczenia w tym poglądzie. Dla chrześcijanina jest w najlepszym razie poczekalnią, skąd wyjdzie na sąd ostateczny, t.j. tylko dla oceny krótkiego, dawno przebitego motylego dnia (widać stąd raz jeszcze, jak dalece esencją poglądu jest ziemski urywek, nie zaświatowa wieczność). Dla mistyka grób jest integralną, organiczną częścią procesu wznoszenia się, ogniwem między-aktowem, a więc przygotowaniem się pod nowe życie, które bez tej przerwy nie mogłoby dojść do ponownego kształtu i głosu. Jest tedy przewcielanie się warunkiem *sine qua non* rozwoju duchowego, o ile idzie nam o duchy rzeczywiste, indywidualne, nie o ducha jako gatunek, bo ten rozwija się i trwa mimo zamierania pokoleń, jak rzeka trwa, chociaż ciągle inne krople w niej płyną. To jest właśnie stanowisko nauki, kiedy twierdzi, że duch ludzki się rozwija. Ale tu kończy się odpowiedzialność, kończy osobowość, pozostaje tylko fikcja: pojęty ogólnie „duch ludzkości”. Otóż nie o niego idzie mistykowi, ale o duchy poszczególne,



imiennie, ciągle też same i dlatego mistycyzm jest teorią indywidualistyczną. Historję bytu piszą imienni aktorzy i ich osobiste zasługi lub winy. Rozwój uzależniony jest od wartości osobniczej, odpowiedzialność jest olbrzymia. Takim będzie świat, jakim ja go uczynię przez wysokość moją czy niskość, a ja jestem wieczna. Bo świat to tylko suma moralnego życia duchów.

Ponieważ idzie o wartość etyczną, idzie o wolę. Mistycyzm jest poglądem woluntarystycznym, polega na czynie <sup>1)</sup>. I znów uderza różnica z chrześcijaństwem, gdzie czyn stoi na placówce życia, tu zaś czyn jest jakby naciąganiem i rozluźnianiem strun w organach całego bytu, jako takiego. Z tego stanowiska w niektórych systemach mistycznych, uznających istnienie zła, materja, która, jakem określiła, jest zazwyczaj narzędziem woli, staje się nieraz zasadzką na wolę—szatanem.

Z powiedzianego wyżej już się sam uwypuklił stosunek mistycyzmu do religji, jako podłoża, na którego tle jedynie mógł się zakrzewić. Z jakiejbądź religijnej roli wybujał, jest zawsze wyrazem wzrostu, swobody, przez akcent leżący na jednostce, przez podniesienie ważności i odpowiedzialności osobistej, jest rozluźnieniem kamienności dogmatycznej, niejako zmiękczeniem, rozpuszczeniem twardego ciała

<sup>1)</sup> Nie zmienia faktu, że np. u braminów zasadą była ataraksja, bezczyn, opanowanie czynu. Jest to też sprawa mocy woli, tylko *in minus*, jakby zwierciadło wklęsłe obok wypukłego. Oś jest ta sama.

dogmatu w cieplejszym rozczyńnię życia podmiotowego. Ten stosunek mistyków do oficjalnej wiary aż zbyt dobrze jest znany, a także z ich stanowiska wpływający bezpośredni stosunek do Boga.

Duch stworzył świat,—to temat. W różnych mistycyzmach różne są warjanty. Od ogniska głównego odpryskują iskry — chwilowo (braminizm), to z niego emanują, tworząc sznur ogniw, który w ten sposób łączy bez przerwy sam szczyt z samem dnem (Plotyn); niemniej, zasadniczo, jest jedność centra-Boga i ducha w światowej wędrówce. Stąd możliwe są momenty zlania bądź w ciągu życiowej drogi, przed końcem odsłony, t. j. epizodu ziemskiego poszczególnych dusz, bądź też przed końcem po wiekach zlanie, przy zapadaniu kurtyny bytu.

W tym punkcie może się mistycyzm pozornie zbliżyć do panteizmu, choć na całej rozciągłości swojej się z nim rozbiega przez pierwiastek indywidualny, pierwiastek rozwoju, szerzej: ciągłego ruchu, którego zamknięta w sobie całość, kosmos panteistów, nie potrzebuje, lub zgoła nie znosi.

Powstając na tle panujących religij jako moment odezwania się melodji podmiotowej, tłumionej przez wrogą występom i falowaniom linję uświęconego kanonu, mistycyzm jest zawsze daty względnie późniejszej, co ma jednak poza stroną osobistą i inną jeszcze przyczynę. Religja każda w chwili narodzin jest naiwną, najwcześniejszą kosmogonją. Korzenie ma w dwu wartościach: mitologicznej, to jest—w najbardziej dziecięcej i naiwnej postaci—naukowej i w etycznej. Choćby nawet oczyściła się możliwie w ciągu

swojej kariery wiekowej i przepisała część wiana swego do rubryk rodzącej się nauki, przecie resztę, mniej lub więcej zasobną, swoich pierwotnych ciężarów, swoich dogmatycznych i naiwnych objaśnień przyrodniczych, zawsze ciągnie za sobą.

Ma swoją teorię początku świata, żywiołów pozaludzkich, i poza-duchowych<sup>1)</sup>. Otóż tę całą stronę, nasyconą już w religii, mistycyzm odrzuca dla swojego jedynowładztwa czy jedynoistnienia ducha. Niepodobna nam jednak pomyśleć religii, któraby od jego stanowiska zaczynała, nie spełniłaby bowiem celu swego istnienia, nie zaspokoiła duszy człowieka pierwotnego. Sam Bóg początkowo jest w znacznej mierze objaśnieniem kosmogonicznem, kształtem mitologicznym, więcej niż etycznym drogoscazem. Z czasem dopiero staje się duchem, t. j. wartością duchową. I w tym punkcie: postawienia wartości duchowej u szczytu świata, zrodzić się dopiero zdolen mistycyzm, który zresztą wyjść może poza Boga, obejść Go na korzyść duchów, których On w najlepszym razie jest, jak spomniałam, punktem wyjściowym i powrotnym, albo sumą. Są gradacje mistycyzmów: od w tej chwili określonego, najbliższego panteizmowi, do coraz bardziej prawowiernie religijnych, aż wreszcie do tak bliskich urzędowej wiary, że tylko ze stanowiska strażników dogmatu dzieli je od religii cieniutka kreseczka schyzmy. Taki był mistycyzm Towiańskiego. Krok nieodzowny zrobić musiał: przeciagnąć ducha

---

<sup>2)</sup> Niech nas nie łudzi pierwotny hylozoizm, wszechożycieństwo, które jest raczej przodkiem panteizmu.

poza jednokrotne życie i wsunąć go w kolumny, cisnące lub podciągające ku górze, tam, gdzie w katolicyzmie jest indyferentna pośmiertność. Słowacki poszedł dużo dalej, stawiając już całą przyrodę pod znakiem ducha, tworząc swoją naukę mistyczną, swój system świata, czego u Towiańskiego śladu nie było. Mistrz nie wyszedł poza człowieka i jego etyczne interesy, uczeń pod światło tej zawsze u szczytu zawieszanej lampy podsunął najszersze ogarnąć się dające krajobrazy światów, z pod i z ponad człowieka. Jest to mistycyzm o najszerszych ramionach.

## II.

Wracamy do Konopnickiej. Niech ona teraz sama nam powie parę zdań o tym kierunku myślowym.

Rozumie mistycyzm bardzo prosto, a tak, jak go widzi, jest on przede wszystkim konieczną barwą poetyckiego brania świata. Sama twórczość już jest faktem leżącym wewnątrz jego granic.

„Każdy poeta jest mniej lub więcej mistykiem, a to świadomie albo nieświadomie. Już sam akt poetyckiej twórczości, sama poetycka inspiracja daje mniej lub więcej silnie odczuwać coś, jakby odrywa nie się od ziemi, coś, jakby dech, jakby wicher z za świata, rzucający go w pęd i lot, poza warunki rzeczywistości, poza tryb i sposób powszechnego bytu. Otóż gdy taki każdy poszczególny moment przynosi z sobą czucie niewidzialnych, więc wydających się cudownymi węzłów z zaświatem, suma aktów takich

musi wytworzyć w duchu poety żywiołowy niejako pierwiastek mistycyzmu, polegający na silnem, bo narastającym przez wielokrotność swą czuciu węzłów owych”<sup>1)</sup>.

Zdanie to wyrwało się być może z własnych tajni twórczych, tembardziej, że, jak pamiętamy, zaliczała siebie do poetów wieszczących, do bardów, a „każdy bard mistykiem być musi” twierdziła z zapalem w studjum o Sarrazinie. A teraz szersze jeszcze zatoczenie tego samego kręgu.

„Mistycyzm? zapewne. Ale przecież są duchy, które tam żyły, żyją i żyć będą. To już nie jest kraina tak całkiem nieznaną, żebyśmy, wymówiwszy jej nazwę, mieli prawo sądzić, jako wszystko o niej powiedziane zostało, co do powiedzenia było. Mistycyzm to za dni naszych prawie, że szosta część świata. Tam wcale nie jest tak mglisto, jak się to komu здаwać może. Tam są światła wielkie, wieczne światła”... A dalej nieco: „Bo każdy duch ma swój osobny, swój indywidualny mistycyzm, i to są właśnie te „złote schody”, na których dusze harfiane stoją tam, gdzie wznieść się miały siłę”.

I jej właśnie osobny, indywidualny mistycyzm ma tę cechę, że zaczyna się prawie niewidocznie, jak okolica nieraz wznosi się, faluje i niepostrzeżenie prawie jesteśmy przeniesieni z równiny na wyniosłe podgórze. Niema omal linii granicznej między nową prawdą ducha a życiem przeżywanem. Ten mistycyzm nie jest owiedziony żadnym wyraźnym konturem, ani

---

<sup>1)</sup> Mickiewicz, jego życie i duch.

od dołu, t.j. od podstawy życiowej, ani od góry, t.j. roztapia się dość mglisto na wyżynach filozoficznych, jest przejrzysty, lekki, obłoczny, nie ciemny, jak ona sama zapewniła, przylega doskonale do wypadków. Ma szatę codzienną i dumny jest z tego.

„Mistycyzm nie leży ani w rzeczach, ani w stosunkach życiowych, ani choćby też w największym oddaleniu od ziemi i tego, co ziemskie. On leży w duszy samego poety i z niej promieniając na zjawiska, użycza im swego zaziemskiego światła. Zaprawdę Dante jako człowiek do piekieł szedł, owszem, w codziennej, pospolitej, dobrze wszystkim znanej odzieży florentczyka swego wieku. A przecież woń mistycyzmu owiewa ślady jego od pierwszego kroku i towarzyszy mu skroś najrealniejszych obrazów mąk potępieńczych, a to mimo całej aktualności pojęć, faktów, nazwisk osób, którymi posługiwał się przy tem altissimo poeta”<sup>1)</sup>).

Jak nie widzimy dokładnie obrysu mistycyzmu Konopnickiej, tak nie wiemy, jaki podmuch i skąd go przyniósł. Podobno zetknęła się kiedyś z Bławatską,

---

1) Mogłabym jako skromny odpowiednik do wysokiej dantejskiej prawdy zacytować przykład prostej mistyki ludowej, tak jak wyszła z pod twórczej ręki Konopnickiej. B. Górski pisze w swoim studjum o panu Balcerze: „Tak zwana mistyka Horodzieja, jeśli tak można stan jego uczuć religijnych określić, zawiera w sobie dużo zdrowego realizmu w odniesieniu do spraw ziemskich. Nie żyje on bynajmniej wiecznie w jakichś nadobłocznych sferach, przeciwnie, bierze osobisty udział czynny we wszystkich troskach i zabiegach swojej gromady“ i t. d.

brak mi jednak o tem jakichkolwiek szczegółów. Twórczo duch jej wystawiony był o wiele silniej na światło starożytności klasycznej, aniżeli na dalsze, nadgangesowe, jednak promień, łączący go ze starem gniazdem arjów, był krótszy, niż częściej naciągany, ale mniej oparty o dno jej istoty promień do Grecji i Romy. Ech induskich w jej dziele jest niepostrzeżenie mało, raz, w *Imaginie*, wzmianka o Yamie, w „*Ciszy*” o wozie Jagarnauta i w cyklu „*Lex*” wspaniały fragment o prawie Manu w sąsiedztwie urywków z innych kultur. Przypuszczam też, że w te strony zaglądała rzadko; jest dziś w samem sercu Europy szeroki i spławny kanał, ułatwiający komunikację z Indjami — teozofja. Z niego, wcale nie ze źródła, mogła zaczerpnąć wody do swojej poetyckiej amfory. Zresztą nie trzeba nawet przypuszczać trwałszego wystawienia się na to działanie; przy znanej nam pobudliwości Konopnickiej wystarczy dotknięcie w jednym punkcie, dalszy ciąg był już samodzielnem dopracowaniem się jej ducha. Jest charakterystyczne dla niej właśnie, że wszystkie nachylenia i kąty były u niej zupełnie osobiste, własne, jest w niej nawet, powiedzmy, pewna niekarność myślowa, nigdy żaden system ani teoria, jak już widzieliśmy, nie wypełniły dokładnie jej wnętrza. Zato tuż pod ręką, we wszystkich niedociągnięciach i przeskoczeniach, leży jej prosta, przejrzysta psyche.

\* \* \*

Zapuszczając się w mistyczny gaj jej duszy, szukamy w nim, rzecz prosta, najpierw owej central-

nej drogi, jaką zaznaczyłam w teoretycznym przedstawieniu: zasadniczego podziału na materję i ducha w nierównych swoich rolach. Czy spotkamy go tutaj? A jakże, — na scenie naszej staną dwaj aktorzy: duch i proch. Idąc dotychczas tak ściśle wzdłuż kroków Konopnickiej, nie widzieliśmy tego rozłupania; dualizm obu okresów, choć różny każdorazowo, znaczył i tu i tam inny rozkrój. Czyby dzisiejsze przecięcie było nowe? Otóż nie, istniało ono na czasowo pierwszym etapie jej twórczości, ale obwiedzione wtedy wąsko granicą jednego tylko zagadnienia — miłości. W te okolice jej ducha nie zajrzeliśmy jeszcze; z logiki naszej pracy składa się, że najwygodniej zajść tam teraz załedwie, kiedy już wieczorne tło ogólne wessało w siebie kontury tej specjalnej kwestji. Dla nas jednak będzie to właśnie najkrótsza kładka do przejścia na tamtą stronę.

Mignęły nam już parę razy dwie sielanki: „Romans wiosenny” i „W zielone”, przez swoją niezwykłą zdolność eteryzowania, upowietrzniania wrażeń. Wszystko w nich jest chuchnięte, dmuchnięte, przewiane. Natura bierze najściślejszy udział w akcji, ale przez drobiazgi swoje: światełka, listki, powiewy, motylki. Pierwszy pocałunek—odmaterjalizowany doszczętnie, jest poprostu wydarzeniem przyrody, ale właśnie owej przyrody małego rzędu.

Gajem cichy szum przelata,  
Brzoza wstrząsa szatę białą,  
Pierzcha ptasząt czerń skrzydlata...  
Co się stało? co się stało?



Przysłoniwszy oczy rzęsą,  
Słońce patrzy poprzez liście...  
Szarych mietlic drżące kiście  
Brylantowe rosy trzęsą...  
Rozwichrzyły się srebrzyste  
Pasma lekkich, długich cieni ...  
Na mchy rzucił snop promieni  
Arabeski przezroczyście.

. . . . .  
Zda się, że ta ustroń cicha  
Drży z rozkoszy, płonie, żyje...  
Ach! ktoś szepce... szepce... wzdycha....  
Ach! to komuś serce bije!  
Ach! to wiosny słodki trunek  
Upojenie w piersi sączy...  
Ach! to pierwszy pocałunek  
Rozkochane usta łączy!

Jest w tem nie skrzydłatość, ale skrzydełkowatość,  
która przywodzi na pamięć Erosa i Psyche Canovy

Co Konopnicka mówi — znowu niezbyt trafnie  
(już bo ona nie ma szczęścia do tego poety!)—o mło-  
dzieńczych utworach Asnyka, dałoby się daleko le-  
piej zastosować właśnie do jej wczesnej erotyki.  
Posłuchajmy:

„Pieśń młodości Asnyka jest pieśnią wiosny  
samej. Brzmi ona zrazu i błyska jak wiosenna burza,  
jak dżdże kwietniowe, szumi jak wiosenne potoki,  
huczy i rwie tamy. Z każdej strofy biją wiosenne  
zdroje duszy, każda strofa jest uderzeniem wiosen-  
nego serca. Miłość i tęskność stroiły lutnię jego,

miłość i tęskność wypełniały życie aż po wręby tej misternej czary, którą było serce poety.... Poeta jest w tej pieśni swojej tak bliski przyrody, że całą ówczesną treść swej duszy wypowiedzieć może elementarnym językiem przyrody, światłem, zmiernikiem, barwą, wonią. Pieśń jego kwitnie prosto. Wiosenna treść znajduje sobie też wiosenną formę, formę tak doskonałą, jak doskonałym jest związek kielicha róży z jej duszą, z jej aromatem” i t. d.

Ta wiosenność, to pisanie wyznań na listku róży, to jedna strona miłości—ale Konopnickiej. Jest i strona druga. To miłosna tęsknota, poryw, szumność pewna. Pierwsza wywołuje zespół kwiatów, ptasząt, motyli, druga żwawem skrzydłem unosi serca rozkochane ponad ziemię i nawet ponad przesiąknięte nią powietrze.

Nie kocham jeszcze, a już mi się zdaje,  
Ze nam gdzieś lecieć, rozplynać się trzeba,  
W jakieś czarowne dziedziny i kraje...  
Już mi się marzą słowicze wyraje  
Do tego nieba,  
Które gdzieś czeka, aż nas ukołysz  
W błękitną ciszę.

Konopnicka czyni miłość wyłączną melodją ducha, co więcej ducha niemal bezmiennego. Jest to rozmowa dwu gwiazd dalekich przez powietrzne otchłanie. „Jeżeli kochasz, nie wołaj mnie z sobą! Od ciebie do mnie, odemnie do ciebie wolno przelatać promieniom księżycy, ale my sami trwajmy bez słowa, mnie szczęście inne, pełniejsze, jaskrawsze przeraża” ....

Kocham cię, duchu samotny, daleki  
Od mego cienia,  
Co swym porywom włożyłeś na wieki  
Pieczęć milczenia!  
Ach! gdyby kiedy usta ci otwarły  
Skargi płomienne,  
Ty byłbyś dla mnie jak anioł umarły,  
Jak widmo senne...  
Lecz gdy się bronisz bladością i łzami  
Od żądź wybuchu,  
Gdy taka cisza i jasność jest z nami,  
Kocham cię, duchu!

Ja szczęście jaskrawsze przeraża, on musi  
walczyć z żądź wybuchem, — co to znaczy? czyżby  
już zapomniała o owym eterycznym, bezwinnym po-  
całunku dwu sylfów? Coś się widać zmieniło: grunt  
nie jest pewny. Zaczął się dramat między temi dwo-  
ma bezcielesnemi, zdało się, duchami:

Na piersi twoje  
Spadłam jak gołąb, wichrami zagnany  
W kraj cichy, światłem miesięcznym oblany,  
A pióra moje przejrzystsze się stały,  
Tak byłeś czysty i tak byłeś biały,  
Takąś miał zbroję....

Lecz dziś — nie mogę  
Spać na twych piersiach... Dziś róża w mej  
[dłkoni  
Od twego tchnienia — choć biała — się płoni

I jakieś dziwne latają dziś mary  
U tej z błękitów nad nami kotary,  
Dziś czuję trwogę....

Duch samotny, daleki od jej cienia, przestał już być najbielszym, najcichszym ze wszystkich ludzi... Ale niebo zachmurza się jeszcze bardziej. Nietylko od jego oddechu zapłonila się biała róża, — nietylko on ma odejść z twarzą pociemniałą... I ona także.. Przerazało ją inne szczęście i nie darmo! O! jak jej smutno, że nie jest duchem! Niestety! „W każdym porywie czuje całą istotą, jak szklane kręgi powietrza ją gniotą, że tkwi w materji siłami wszystkimi, jak niewolnica spętana łańcuchem”.

O ziemio, praw swych mścicielko! O ziemio,  
Która na duchach kładziesz swoje piętno...

. . . . .

O ziemio puść mię do światła z twych cieni!...  
Ach, jak mi smutno, że nie jestem duchem!.

Już nie cud słoneczny, już nie duszki, pyłki, wonie, już — prawo ziemi. Jesteśmy dwoisty, chory twór, skrzydlaty może, ale cóż, gdy skrzydła unieść nas nie mogą, oderwać od tej materji, w której tkwimy siłami wszystkimi.. Jeżeli na całej przestrzeni świata w tym samym czasie raniło Konopnicką rozpęknięcie na światło i ciemność, to nie było ono tak bolesne jak to wewnętrzne rozcięcie na materję i ducha, I na co z gwiazdami w ciszy nocnej rozmawiać,

pytania rzucać, szturmować aż do Boga, kiedy materja trzyma nas w swych szponach, trzyma na sznurze, który w nieświadomości mieliśmy za tęczową nitkę marzenia! Miłość jest głosem ziemi, braterstwem z materją. I odtąd już mówi o niej Konopnicka bardzo rzadko. A od kiedy między bardów wchodzi, od kiedy ma ziemi przynosić głosy ducha, struna ta cichnie na długo<sup>1)</sup>. Aż wtem, po latach, odzywa się nagle, gdzieś jej nie czekali zupełnie. To „Faun śpiący”, jeden ze szczytów „Italji”. I jeden z jej zupełnych wyjątków, rzeźba! Kamień, marmur, niedoceniany, omijany szybko we wszystkich muzeach świata, przykuł ją, łzy jej wycisnął. Widać, mimo nieruchomości swojej, postawił jej na oczy jakiś najwewnętrzniejszy węzeł nici duchowych, i mimowolny wykrzyk przed jego obaloną pijacką figurą, to, obok „Sybilli”, najbardziej osobisty głos Konopnickiej we Włoszech, tam—echo jej najgórniejszych, najwyłącznie duchowych szlaków, tu — wyraz owego tragicznego skucia z ziemią.... Ten Faun wydał się jej „postacią najcichszą, najśmiertelniej smutną”. Czemu? Bo w ciele tego półboga, półzwierza tak nieskończenie pokrzywdzony był duch!

Faun zasnął. Już rozkoszą zmęczył się i znudził.  
Wtem, w zwierzu nasyconym—anioł się obudził

<sup>1)</sup> Pomijam tu najpiękniejsze z całej jej erotyki „Listy”, pisane już po minięciu kryzysu, nie są bowiem ilustracją do jej walk i przejść wewnętrznych, są nastrojowo, na „gruncie miłości, odpowiednikiem do ogólnego kolorytu jej ducha w późniejszej fazie.

I przypomniał ojczyznę i załamał ręce,  
Anioł w szale poczęty a zrodzony w męce.

Ja wiem. jak się ta krzywda nazywa i skarga:  
To dwoistość istnienia, co świat cały targa,  
To rozłamanie ducha i myśli i woli!  
Ja wiem, jak się ta krzywda nazywa, jak boli.

I na wieki tak będzie, zostanie na wieki  
Pęd ducha, lecącego w świat lepszy, daleki,  
I ciężar ziemi, skrzydła co łamie w tym  
[pędzie..  
Na wieki tak zostanie. Na wieki tak będzie.

Jakaż przejmująca szczerością spowiedź! Ona,  
której wyraz: „duch” nie schodził z ust śpiewaczych,  
która oddychała powietrzem wyżyn, tak rozrzedzonym,  
że mało kto umiał za nią podążyć, ona przed obrazem  
tego podczłowieka, którego sen zmógł po dniu  
szaleńczej rozkoszy, wyznaje w głos, że ma z nim  
spólne tony duszy, że on jest wyrazem jej wnętrza!

Ciężar ziemi... coś, z czem niższa część naszej  
natury się zrasta. A więc i poza nami ona jest, ta  
nieprzyjaciółka ducha—materja. Dotąd nie narzucała  
się nigdy oczom poetki, teraz oto staje w jej myśli  
i zajmuje owo przynależne sobie pół świata, zalewa  
drogi, dotychczas puste od jej przekleństwa, któremi  
skrzydlatą stopą chadzały myśli w ciche letnie noce.  
Materja.... Dotąd, widzieliśmy, nie po niej stąpały  
nogi Konopnickiej nawet wśród najniższych rozpadlin  
życia, tam, gdzie najciemniej, najzimniej, na samym

dole społecznym. Tam nie było przeciwieństwa z duchem, tronującym u góry, tam nie było materji, tam był tylko duch w stłumieniu. Ale kiedy z głębin własnego „ja” wyszło na światło widmo wrogie, kiedy ziemia uwiesiła się ciężarem u duszy zakochanej, złe chmury zaczęły się zaciągać na cały nieboskłon życiowy. Wróg, zrodzony w państwie Erosa, chorągwie swoje zatknął i w innych okolicach doświadczenia. I oto lud w pewnej chwili stanął także przed poetką jako ciemność ziemi. Nie duch w stłumieniu, ale duch nienarodzony jeszcze w grubej, wrogiej sobie powłoce. To Syzyf. Znowu pod innym kątem dostrzegamy ten tak znamieny dla kolei duszy Konopnickiej utwór. Dwudział między bohaterami jest dwudziałem ducha i materji, ducha i prochu, trzymając się jej poetyckiej terminologii, i stosunek między nimi jest stosunkiem tych dwu pierwiastków bytu. Syzyf, materja, jest zupełnie niewyraźny, ma mętną tylko świadomość własnej istoty, nie zna swojego początku, celu, treści pracy.

Możemy znowu—rozumie się za plecami poetki, jak zawsze w sprawach filizoficznych, — pomyśleć o materji amorfnej Arystotelesa, o jej upośledzeniu, braku, pozbawieniu (*steresis*). Przychodzi Prometeusz, duch, arystotelesowska forma kształtująca i nadaje świadomość temu ciemnemu bytowi. „Kiedys ją rzucił — mówi Syzyf do Prometeusza o otrzymanej iskrze — wiesz, tam, do mojej dziury, zrobiło mi się nagle jasno, ale to tak jasno, żem o kęs nie oślepił na dobre. Potem przywykłem. I zobaczyłem że to, co miałem za głązy, było nędzą moją, a to, co zdało

mi się przepaścią, było krzywdą moją. Padłem tedy i gorzko płakałem”.

Niestety na tym specjalnie przykładzie działanie ducha na materję wydało rezultat tragiczny: powstał daleki przodek ludu z klubów i tawern, o którym mówi Mickiewicz, jednak stosunek dwu pierwiastków heterogenetycznych z których wyższy wchodzi w niższy i z mdłej, nikłej masy czyni kształt zwarty i określony, możemy doskonale uzmysłowić sobie przez podanie iskry i momentalną pod jej wpływem zmianę Syzyfa.

Stosunek ten rzuca nam światło na dalsze strony sprawy. Materja, o ile nie jest w zetknięciu z duchem, drętwieje, zapada w niebyt; po opuszczeniu przez ducha znów właściwie staje się nieistniejącą. Prometeusz, oburzony na Syzyfa, unieruchomił go na dwakroć po tysiąc lat, kiedy pewnie znowu wołą swoją go ożywi. Sam zaś trwa wiecznie, bez względu na to, co się dzieje z materją. Proch jest śmiertelny, duch nie umiera. Jesteśmy na torze drugiej kwestji, przedstawionej w krótkim szkicu — przy mistycznym pojmowaniu śmierci.

Znowu trzeba nam wzdłuż życia Konopnickiej popatrzeć na tę sprawę.

### 3.

Przyznać należy, że od samego początku była, jeżeli nie w jawnem przymierzu, to w cichej zgodzie ze śmiercią. Nie widzimy u niej ani nienawiści ani strachu, który w pewnych okresach tak panicznie



rozszerzał źrenice Kasprowiczowi, niema zasadniczego pesymizmu, uznania świata za wadliwy, dlatego że jesteśmy w nim przechodniami tylko. Brak jeszcze skonsolidowanego poglądu na tę sprawę, brak mistycznej pociechy, ale przy całej miłości życia (błogosławiony, bo on kocha życie — powiada kiedyś), niema wrażenia, jakby się to życie nagle urywało, niby droga doprowadzająca do przepaści. Jest pewne pochylenie się, jak łanu pod podmuchem, jakby podświadomie tkwiła już późniejsza wiara, że przyjdzie odprostowanie. W Imaginie słyszemy pozdrowienie śmierci, które ma w sobie coś z wieczornego rozszemrania na Anioł Pański, kiedy na ziemię padają rosy, a na duszę spokój:

Ave!... o ave, ty cichy aniele!  
Jakkolwiek przyjdiesz i o jakiej porze,  
Zastaniesz w ducha mego kościele  
Mirtowym liściem woniące trójnoże;  
Na mojej lutni brzmi strun tak niewiele,  
Że gdy je zerwę, a nieme położę —  
Ledwo się echo odwróci ciekawe...  
Więc pozdrowiony bądź w swem przyjściu...  
[Ave!

. . . . .  
Wiem, że po polach chodzisz zadumany  
Pomiędzy zboża, pełne chłodnej rosy;  
Wtedy się srebrzą miesięczne tumany  
I milkną szmery wszystkie i odgłosy...  
Dajże mi spocząć — jak te ciche łany!  
I z łez mię otrząś, jak otrząsaszą kłosa,

I tak mię utul, jako polną trawę  
I polne zioła na sen tulisz... Ave!

. To *Ave* scicha już późniejszym uciszeniem jej duszy.

Tak samo wzywająco i przyjaźnie mówiła kiedyś do śmierci Żmichowska, ale sytuacja była inna i głos mocniejszy. Nie był on pozdrowieniem na dalekość: działo się to w czasie burzy morskiej, na walczącej z dziczą fal kruszynie, a śmierć naprawdę szła do okrętu jak żołnierz, szturmujący w połamane mury. Kiedy wszyscy płakali i mówili głośno pacierze, ona jedna o pokładową galerję się wsparła myślała:

„Śmierć, owo uroczyste pozdrowienie Boga, któż ją zna tu na ziemi? Ludzie, widząc cierpienia i męki zgonu, nazywają go śmiercią, a śmierć boleścią. Ludzie się myślą... konanie śmiercią nie jest. Śmierć jest najdoskonalszem połączeniem naszego ducha z Bogiem, naszej części wiedzy z całą wszechwiedzą... Leć, leć, aniele śmierci! rozkruszaj wszystko, co jest przemienne i martwe, niech się rozwija na wolnej niwie życia, to pierwotne i ostateczne tchnienie Boga, życie, ten wyraz, rozwiązujący nieskończone zagadki zdającej się umierać dokoła przyrody. Leć, leć aniele śmierci! połącz twój palec na ustach fałszywego mędrca, co pleśnią grobu okryty i zimny, woła, że wszystko w grobie się kończy, że w lekkie wieko trumny można zabić silną myśl człowieka... Ach szczęśliwy, kto może zdrowem ciałem, spokojnym umysłem patrzeć na zgon swój, umierać i myśleć o śmierci, szczęśliwy,

kto może z głęboką rozważą przyjmować tę chwilę objawienia, to spełnienie najwyższego cudu”.

Jest to odwaga, którą daje poczucie małości wysepki życiowej wobec ogromu pośmiertnego oceanu. Jeszcze większem staje się bohaterstwo, gdy ocean ów okazuje się czarnem i bezkresnem rozlewiskiem nicości. Do niego wyciąga ręce Leopardi, bo umęczoną życiem duszę niebył kusi jak pieszczota i jak nagroda.

„Zbyt jestem dojrzały do śmierci, zbyt wydaje mi się bezsensownem i nieprawdopodobnem, abym, tak jak jestem duchowo umarły, z tak zamkniętą we mnie ze wszech stron baśnią życia, miał trwać jeszcze czterdzieści czy pięćdziesiąt lat, któremi mi grozi natura. Na samą myśl o tem dreszcz mię zdejmuje... Dawniej zazdrościłem głupcom i tym, którzy mają wielkie mniemanie o sobie i chętnie mieniałbym się był z którym z nich. Dziś nie zazdroszczę już ani głupim ani mądrym, ani wielkim ani małym. Zazdroszczę umarłym i tylko z nimibym się mieniał... Jeśli przyjdzie mi śmierć, skonam taki cichy i taki zadowolony, jak gdybym nigdy niczego innego nie spodziewał się i nie pragnął na świecie”<sup>1)</sup>.

Bardzo łagodnie wobec tego wygląda znużenie życiowe Konopnickiej. Jest tylko przelotną chwilą opadnięcia:

Zmęczona jestem i łaknę spocznienia,  
I ciszy łaknę, i pragnę ochłody,

. . . . .

---

<sup>1)</sup> Rozmowa Tristana z przyjacielem.

O daj mi spokój polnego kamienia,  
O życz mi ciszy wiecznej i pogody,  
O nakłoń ku mnie skrzydła twe łaskawe  
I daj mi spocząć na twych piersiach... Avel

Charakterystyczne dla niej jest, że śmierć, pojmowana przede wszystkim jako uciszenie, tem samem spływa się z dziedziną, która najwięcej dla niej mówi w życiu. Początkowo jednak jest tylko stłumieniem ziemskiego rozgwaru, sama nie jest jeszcze „głosem ciszy”. Jest, jak dla Leopardiego, nicością. I jako takiej oglądamy jej obraz w noweli „W dolinie Skawy” na góralskim pogrzebie. Jest to chyba jeden z najwspanialszych wyrazów niebytu, rozwiązania wszelkich związań, rozpląnięcia wszystkich spłynięć, na jaki zdobyła się mowa, organ życia. Tonami wyraził spokójpośmiertny Karłowicz w „Odwiecznych pieśniach” i dlatego dopraszają się zestawienia ze sobą te dwie mistrzowskie cisze.

„Miałem tu rodzice, miałem żonę, dzieci. Tu... w krainie przemian, zwiędnień i przekwitów serca. Miałem. Było to może snem szczęśliwym, może snem cierpień, ale teraz obudziła mię z tego snu śmierć. Teraz już zimną pierś mam i nie czuję ani ran z ukochanej ręki, ani jej pieśszoty. Teraz mi dobrze, spokojnie. Jak spokojnie! Nie drzę z rozkoszy, ale nie drzę i z bólu. Cichy jestem. Jestem, czem byłem—nicością. Do grobu idę, idę do ziemi, rodzicielki prochu i człowieka. Do ziemi, która była matką matki mojej i matką ojca mojego i do której pójda syny moje i dzieci synów moich. Rozwiązały się pęta moje,

i te, co łańcuchem mi były i te, które były róż wieńcem. Wolno mi już nie kochać, nie czuć trwogi, gniewu, pogardy, zazdrości. Wolno mi nie być niewolnikiem miłości ani nienawiści, wolno mi nie dręczyć siebie i innych ...Miłem sercem żegnam was... sercem uleczonem z życia. Ognisko wzruszeń wygaszone, źródło porywów wyschłe, rozlatane jaskółki myśli moich powróciły do gniazda swego, do wystygłego mózgu mej czaszki.... Opadły ramiona moje, wyciągnięte do uścisków bratnich, rozprostowały się dłonie, które zaciskałem około tego, co było, tak jak ja, nicością; stopy moje wypoczywają z dróg pilnych, o których nie wiedziałem, że do grobu wiodą... Bezbronny jestem, nie łaknący ani sądu, ani pomsty, ani sprawiedliwości. Pomiędzy niebem a ziemią rozwiany jestem jako tchnienie wiatru i mniej jeszcze. Bo i wiatru tchnienie zakolysze stepem, gdy nań uderzy ze wschodu lub zachodu, ale dech życia mego nie poruszył ani jednej trawki, a większa jest nicość moja niż ślad prochu, który po nim zostaje. Gdy słońce jutrzejsze szukać mnie będzie, nie znajdzie, a księżyc nie obaczy, iż byłem, a już nie jestem. Starta jest istność moja i wymieciona jest droga po mnie aż do źdźbła trumiennej słomy. Byłem, a jakobym nie był... Troskałem się „około wiela”, aleć jednego tylko było mi potrzeba — grobu. Ten ci jest dom wieczny i podścielisko pokoleń, które przeminęły i które przyjsć mają... Acz lepszem byłoby, iżby nie przychodziły, bo to, „co się żywot mieni, męka i wojna jest”... Ale przyjdą i przeminą. O śmierci, ty jesteś życiem świata!... Ale i śmierć zaś rozwiązana

będzie, a gdy jej usta nie znajdą w prochu ani jednej iskry do zdmuchnięcia—wtedy nastanie mir i wieczna cisza”.

Jednak nie miał na zawsze zostać takim dla Konopnickiej krajobraz pośmiertności, bezruchu, bezbarwy, bezszelestu. Pod wielkim dzwonem próżni, pod który weszliśmy, zaczyna się coś ruszać, coś kielkuje.

Z podgórza tatrzańskiego przenosimy się nad morze. Myśl o śmierci wyrzała ku nam już za pierwszym pobytym na Lido, ale była to ta sama śmierć-pustka, co nad biedną trumną góralską. Jak tu słońce i księżyc, tak tam morze przyjść miało i pytać u brzegów o tych, których oczy biegły wczoraj po jego topielach. „Lecz imiona pątników jednodniowych ziemi zakryte były przed prędkim wichrem zapomnienia”. Wiedzieliśmy już wtedy, że ten smutek i ta myśl się nie ostoją, ale przed ich odmienieniem musiało się w duszy poetki odmienić samo morze, musiało zmyć siłą swoją ciasne granice ludzkości, w jakich mu kiedyś kazała kołować, musiało wogóle zmyć wszystkie granice, wszystkie szranki, horyzonty, zawady. Musiało rozlać się tak nieogarnione, żeby ludzkie rachuby i miary były jak odpryski piany na najśłabszej z jego fal, — musiało stać się nieskończonością.

I mamy ją już dzisiaj, ale może w pierwszej chwili wyda nam się inna nieco, niżbyśmy czekali. Urodzona nad najpotężniejszym, najbardziej rozgłosnym i najbardziej wieczyście żywym z elementów świata — nieskończoność Konopnickiej nie ma w sobie

potęgi, szumu, majestatu w zwycięskiej swojej fanfarze. Jest wielkiem oratorjum, ale w którym ani jeden ton nie brzmi *forte*, jest jak daleka muzyka sfer, w którą wsłuchiwać się trzeba, aby ją pochwycić, chociaż jej pierścienie dookoła owijają duszę. Jest cicha i łagodna, niema w niej przepaści ani niebezpieczeństw; szum dzikich bałwanów jest kołysanką wieczystą dla córy nieskończoności — duszy. Dziwimy się, spomniawszy, że początkowo nawet łagodna polska przyroda bywała wroga i bez czucia. A nieokiełzany żywioł, który nas nie karmi i nie dopuszcza do serca swojego, zdarł w jej oczach wszystkie drobne chropowatości życiowego terenu i rzucił gwiazdami kutą drogę, aż tam, skąd idą jego fale — w nieskończoność, daleko poza śmierć.

Więc stoję tutaj na wieczności drodze,  
Pod światłem wielkich gwiazd, co lśnią jak  
[ćwieki,

I woźnik ten już pochwycił za wodze,  
Co mię ma powieść w gościniec daleki;  
Jestem tu jeszcze, ale już przechodzę,  
Już zapomnienia wołają mnie rzeki,  
I wszystko jest już gotowe i pilne,  
Duch utęskniony i darnie mogilne.

Tak mówi w cudownych swoich „Listach z nad morza”. Co w niej było z ziemi, oddała ziemi, strącone jest już gniazdo i zrąbane drzewo, a pola burzami zorane. Trzeba przestąpić koniecznie próg uciszenia, aby dostać się do zespołu głosów wszech-

świata: wsłuchiwanie się w nie przed laty z pełnego szlaku życiowego było pomyłką, nieporozumieniem; za to po drugiej stronie progu jest prawdziwe życie, jest pełnia głosu i ruchu. Droga—to znaczy wieczny ruch, dążenie, cel, nie koniec ruchu i celu, o jakim mówił umarły góral na podkarpaciu. Inny, jeszcze piękniejszy list z nad morza powiada:

Nad wielkiem morzem jestem postawiona,  
Bym zasłyszała choć jeden dźwięk boży  
Strun uwiązanych od zorzy do zorzy,  
Z dźwięków miljona...  
I iżby mi się echa jego śniły  
Aż do mogiły.

Nad wielkiem morzem jestem postawiona,  
Iżbym dojrzała choć jedną z barw tęczy,  
Co się rozpała na światów przełęczy  
Od słońc miljona.....  
I iżby duch mój w tym pałał kolorze  
Po nowe zorze.

Nad wielkiem morzem jestem postawiona,  
Iżbym zaczęła dech nieskończoności,  
Co głęb bezdenną wygładza i mości  
Dla fal miljona.....  
I iżby cichość objęła me życie  
W owym błękanie.

Nad wielkiem morzem jestem postawiona,  
Iżbym dojrzała stąd oblicze Boga,  
A iżby przeznał duch, jaka mu droga,



Skroś dróg miljona.  
A zaś odejdę, niosąc to widzenie,  
Przez życia cienie.

\* \* \*

4.

Wchodzimy za nią w jej nowy świat mistyczny. Na szósty ład naszej epoki, gdzie nie jest ani tak ciemno, ani tak mglisto, gdzie dla niej teraz świecą wielkie światła, które jej wzeszły jak żeglarzowi gwiazda zaranna. Pod jakąś zorzaną bramą, nad wiecznym morzem wchodzimy w ciszę, która wyrównywa wszystko: życie i śmierć, radość i ból, wielkość i małość, słońce i noc. Widzimy ją tam samą, bez ludzi; wie, że za nią nadpłyną wkrótce żórawianym sznurkiem, ale na razie odłącza się, idzie, poprzez rozwidnioną jej teraz śmierć, rozmawiać z ciszą. Schodzi z dotychczasowej agory, aby osiąść na Tebaidzie ducha \*).

Rysuje się znamieny kontrast między nią, dążącą w mistycyzm, a wielkimi romantykami naszymi. Oni przeszli zorzaną bramę po życiu ducha mniej lub więcej osobistem, Słowacki zupełnie wyraźnie po wyłącznym malowaniu królewskich snów swej duszy, Mickiewicz po kataklizmie pierwiastka indywidualnego w Konradzie. Jego mistyka ma zdecydowa-

\*) Pod łuk mistycyzmu podciągam trzy zbiory jej poezji: Z Mojej Biblii, Głosy ciszy i Z ksiąg ducha, które są niejako stopniowaniem nastroju. Pełny pogład mistycyzmu daje dopiero zbiór trzeci.

nie charakter służby ogółu, w jej mgłach kąpie się i dla niego i dla Słowackiego obraz spółżycia ludzkiego. U Konopnickiej jest wprost nawspak. Życie społeczne dotychczasowe było życiem realnego świata, mistyka przesączyła się w chwilach samotnego przebywania duszy i z niego uczyniła swoje królestwo. I treścią jej będzie prawo ducha, postawione silnie na jednostce. Zbiorowość to dopiero objaw wtórny, bu-dulcem jest naciągnięta na strunę wieczystych przemian indywidualna dusza.

Pierwszą, zasadniczą, jedyną właściwie literą tego prawodawstwa jest rozwój, dążenie wzwyż. W okresie warszawskim nazywało się to, językiem pozytywistów, postępek, który miał utoczyć masę społeczną w kształt jaknajudańszy, dzięki energii, rzucanej na zewnątrz. Dziś rozwój zasadniczo trzyma się linii samej duszy i z nią razem odbywa przemiany poza kres jednego życia. Dawniej była miłość światła, które miało się złąć i oświetlić krajobrazy ziemskie, dziś światło jest zasadą ruchu wzwyż dusz przeradzających się, wszystko zewnętrzne przesunęło się do wewnątrz. Cisza, z leżącej na przestworzach nocnych, stała się *wewnętrzznem* pociszeniem, cel świetlisty stanął gdzieś o wiele wyżej niż harmonja ziemskich stosunków, idealne stosunki na agorze będą prostym wynikiem spełniania się świetlistej misji pojedynczych dusz; raczej odwrotnie: ruch dusz ku społeczeństwu jest warunkiem ich rośnięcia, jest w oczach Konopnickiej owem zaprawianiem się w pochodzie, które wskazywałam jako mistyczną więź duchów z zewnętrżnością.

Cisza zatem naszej poetki jest pracowitą ciszą, śmierć nie jest snem i odpocznieniem, ale czekaniem na apel z nowej placówki. Nieskończoność, jaką w duszy zbudziło morze, pozornie sprzeczna z niem, mówi jednak o tej samej, co ono, prawdzie: o wiecznym, niestrudzonym ruchu, o biciu falami do zamkniętych wrót czasu, o uderzaniu o brzegi życia i cofaniu się raz po raz na jakieś bezkresne głębie.

Na chwilę obróćmy się ku poecie, do którego od Konopnickiej było zawsze bardzo daleko, a teraz robi się jeszcze dalej — ku Tetmajerowi. We Włoszech widzieliśmy ich przez chwilę obok siebie i tam on nas uderzył większym życiem, gorącym bujnością instynktów i ruchu. Zmęczył się, dogasł prędko, przychodzi, jak ona, nad morze i tu, gdzie jej, mniej pozornie życiowej, otwierają się całe wielkie światy do przemierzenia, a ona czuje w sobie moc do marszu przez wieczność, on błaga tylko morze o nieskończoność bezczucia, o to, co dostało się w udziale spracowanemu góralowi z nad Skawy — o nicość:

O ciche, ciche morze! Gdyby w twe odmęty  
Można paść i znicestwić w twoich wód  
[ogromie!  
Nie chciałbym istnieć więcej, nawet nieświa-  
[domie,  
Gdy przejdę przeznaczeniem szlak życia wy-  
[tknięty.

Poznanie krew zamienia w proch, piołun i męty,  
Truciznę w każdym duszy zaszczepia atomie,

Nieprzyjaciel straszliwy, pełznący kryjomie,  
Nigdy niewyczerpany i zawsze zawzięty.

Tam, w tych przepaściach wodnych, przepaść  
[jak żwir z brzegu,  
Nic nie czuć, nic nie pragnąć, wszystko zrzu-  
[cić z siebie,  
Na zawsze się wymazać z ciał i dusz szeregu.

Tak — nic nie chcę... Na wieki niechaj mię  
[pogrzebie  
Jakiś odmęt, niech zginę tak i znicestwieję,  
Jak nicestwieją w życiu wiary i nadzieje.

Wsunęłam tylko tę kartkę, by tem dobitniej przy  
jego ściemnieniu zobaczyć jej pojaśnienie. Tak jak on  
gaśnie egoizm, który nie znał nigdy ogniska przycią-  
gania poza sobą, a wyczerpał już wszystkie drogi  
dośrodkowe. Tak jak ona rozkwieca się altruizm, kiedy  
po długim i bezradnem krążeniu w bezdrożach, zna-  
lazł ziele życiodajne i może ofiarować światu jako  
środek wszechzbawienia. Pieśń jej teraz przerzuca się  
do innej tonacji. Ona sama wie o tem — sama radoś-  
nie nam o tem donosi...

...O nowym ranku świata  
Rzucam tę czarną lutnię,  
Co gra i śpiewa smutnie:  
— Bo oto z krańca mórz,  
Z brzaskiem dnia, z świtem słońca,  
Cała promieniejąca  
Od jutrenkowych zórz,  
Nowa mi pieśń, wiosenne ptaszę już nadlata.

O nowym ranku świata  
Wiążę me struny złote,  
Nie na ból, na tęsknotę,  
Na serca stary żal...  
W błękity je bez mety,  
Z planety na planety  
W najdalszą rzucam dal...  
Od słońc do słońc strun moich złoci się  
[już krata!

Przyćmiijmy trochę to wrażenie. Światło mistycznych krain Konopnickiej nie jest promiennością, jest raczej cichem sianiem się blasku, nie dlatego że, jakbyśmy w pierwszej chwili mogli sądzić, na drodze promienia staje co czas pewien rogatka śmierci, grób,—ten jest pokonany,—dlatego raczej, że poetka zaciąga na przestwory nie słońce Italji, ale łagodny ton, obejmujący piastową chatę. Za długo żyła wśród cieniów społecznych i narodowych, aby bez reszty mogły zejść z jej duszy. Zetknięcie pierwsze z myślą mistyczną dała jej zagranica, refleksje nadmorskie, literatury obce. Jednak pojaśnienie duszy, jakie stąd przyszło, skierowało się na Polskę i krajowy odcinek twórczości. Widzieliśmy tę zmianę, choć nie oparliśmy jej wtedy o to tło — była to różnica nastroju między pierwszym a drugim okresem twórczym. I mistyka, jeżeli idzie o jej poetycki wyraz, o językową, a nawet wyobrażeniową szatę, trzyma się, właśnie przez atmosferę swoją, nie z chramem piękna, lecz z piastowością, choć stoimy teraz nieporównanie wyżej. Zagranicą echo tego nastroju nadleciało raz w Avignonie

na cmentarzu („I złudą jest...”) i raz we Włoszech. Sybilla — bo o niej mowa — to poprostu konspekt mistycznego programu swojej autorki. Widzieliśmy ją wtedy twarzą w twarz z obrazami oficjalnej wiary, w silnym kontraście, który w tej chwili powinien znaleźć możliwe umotywowanie.

Jest tam już wyraźny rzut metampsychozy. Zaznaczałam, że nie wiem skąd, od kogo i kiedy przyleciała Konopnicka w piersi iskrę mistyczną, ale są pewne przypuszczenia, bardzo ogólnej zresztą natury, które możemy postawić bez wielkiego ryzyka, zawsze pod naczelnym biograficznym znakiem zapytania. Takim jest naprzykład znane twierdzenie, wsparte o kilka miejsc w Upaniszadach, że teoria przewcieliń narodziła się w Indjach ze zjawiska nierówności społecznej. Uwarstwienia życiowe dałyby się w ten sposób wytłumaczyć przez przeciągnięcie ich przyczyny wstecz, poza życie; los ziemski, przynależność do uprzywilejowanych lub pokrzywdzonych, byłaby wynikiem poprzednich żyć, karą lub nagrodą. Nie jest niemożliwe, że ta właśnie nitka Arjadny powiodła Konopnicką na zaświat. Wewnątrz kopuły niebieskiej nie znalazła przecie rozwiązania, dowodził tego długi sznur jej pytań. Teraz miałaby teoretycznie zasypaną „przepaść, która braci dzieli”. Suali, znany badacz filozofii indusów, rozszerza jeszcze kwestję. Rozważana w granicach życia indywidualnego nieunikniona konieczność cierpienia może doprowadzić albo do skrajnego materjalizmu, albo do niepocieszanej rozpacz, ale jeżeli ją przeniesiemy na nieskończony szereg istnień, jeżeli ją uzależnimy od pewnej przyczyny, a duszy da-

my możność usunięcia tejże, wtedy przestanie ona być ślepem i brutalnem przeznaczeniem i stanie się atrybutem istnienia, faktem, który może się skończyć\*). O ile byłyby pewne zastrzeżenia przeciw przeszczerpianiu za łatwo pierwszej myśli na karty Konopnickiej, druga mogłaby doskonale wchodzić w jej długie godziny dumań nad morzem. Ale jest jeszcze trzecia, ta, o której mówi Sybilla, a która najpewniejsza już jest przez to samo, że styka się dość blisko z własnymi wypowiedziami poetki. To jej stosunek do religji. Dlaczego wytworzyła sobie swoją osobistą wiarę? W jakim punkcie uchyliła się od tej, którą jej wpojono i która, jeżeli nie inaczej (nawet napewno nie inaczej), to obrazowo i przez urok tradycji trwała w jej sercu. Zbyt zżyta była z ludem, za dużo i za blisko widziała obok siebie religji, aby nie skojarzyć z nią pewnych dziedzin wiejskiego swego, szerzej nawet, polskiego życia. W takim kręgu wzrosła, wylała się potem za niego myślą, ale osad pewien został; sądzą, że jest to wszystko powierzchowne dosyć i formalne, niemniej dużo mamy jej „Modlitw”, jest pewna nawet próba mszy i pacierze dla polskiego dziecka. A jednak miejsce rozejścia się stoi zupełnie wyraźnie przed okiem. I my już je dawno znamy. Słyszeliśmy jej pierwszy głos, nabrzmiały bólem, kiedy przejrzała, że Bóg nie jako ojciec i nie uczuciem panuje nad światem. Od tej myśli, zasadniczej i bolesnej dla siebie, nigdy się nie oddali. Nielitość

\*) *Introduzione allo studio della filosofia indiana.* Cytuje Deussen. Przekład polski.

Boga nie tai się na jej późnych kartach. Zna ją nawet prosty kowal wiejski, pan Balcer z Podlasia. „I nad kim Ty praw dochodzisz, Boże?“, żali się po stracie swojej Jelenki. W Słowie o Bohdanie Zaleskim mówi poetka o księgach Mojżesza, „tych jedy-nych księgach, które tłumaczą nam Boga“, a „obywają się bez słowa miłość, i które z żelazną logiką uznając Stwórcę panem a nie ojcem, przecinają odrazu wszelkie pretensje rodu ludzkiego do praw sy-nostwa, a stan jego cywilny z niezachwianą pewnością na prochu zimnym palcem Mojżesza piszą“. W cyklu grottgerowskim Wojny „zobaczyła nagle rękę bożą, pięciu palcami rozwartą na chmurach, lecz nie ojcowską i błogosławioną, tylko groźb pełną i krwi i czerwoną“.

Pierwszą cechą, w której objawia się zmiana zupełna charakteru poetki, jest cierpliwość. Dawniej widzieliśmy żądzę natychmiastowych ziszczeń, natychmiastowego słońca. Dziś, wobec wieczności, nieprze-mienności, bezruchu, czas, element zmienny, ruchomy, traci wartość, teraz już naprawdę dusza jej żyje „w nieskończonem dziś świata“. Bezlitość boża przybrała nową fizjonomję: nie jest obojętnością, jest wyniesieniem ponad czasowe miary. Sprawiedliwość jest i spełni się, łuk jest napięty, czy strzała zeń wypadnie dziś, jutro, czy za wieki—niema znaczenia. My nie doczekamy się sądu, to i co? My widzimy, że On poi wilki i jastrzębie, a patrzy jako rwą jagnięta w dwoje, mówi jej Biblja. Ale we wzroku, który to obejmuje, niema ani rozpacz, ani zwątpienia.



Jam ten, co patrzy bez błysku i gromu  
Na znieważony cichego próg domu,  
Na głowy zwiędłe śród krzywdy i sromu...

Jam ten, co słońcem ozłaca blask mieczy,  
Co kłamiącemu moc bożą — nie przeczy;  
A niech się uczy ze mnie syn człowieczy!

Co znaczy: niech się uczy na tło wieczności  
rzucąć krzywdy swoje i pragnienia. Ze stanowiska  
narodowego, dla Polski, oddanej pozornie na pastwę  
boskiej i ludzkiej niepamięci, „Moja Biblija” jest wy-  
rocznią nadziei, jest hartowaniem duchów w wy-  
trwanie:

Kto krzywdę płodzi, niech jeszcze ją płodzi,  
A który płacze, ten jeszcze niech płacze,  
Noc się przesila i dzień już przychodzi,—  
— Obaczę!

Kto ucisk mnoży, niech jeszcze go mnoży,  
A który milczy, niech chowa swą ciszę,  
Rychło się błękit nad światem otworzy —  
— Usłyszę!

Kto cięży ziemi, niech jeszcze jej cięży,  
Kto pomsty żąda, niech wstrzyma swą żądzę,  
Rychło się szala u wagi natęży,  
— Rozsądzę!

Zdaje się jednak nie wiedzieć o tem ów w wiel-  
kopański spokój odziany Bóg, że nim się szala natę-  
ży, pęknie tysiąc serc, którym za przecierpiane krzywdy

późny sąd żadną nie będzie nagrodą. Ze stanowiska jednostkowego jest to więc i teraz nie dobroć, ale wysokość. Stanowisko nie jest mistyczne przez to, że człowiek pozostaje w niem jeszcze bierny: mamy nie tylko czekać, ale spokojnie patrzeć na zbrodnie. Nawiązać do systemu dałaby się jedynie myśl, że obecnie jesteśmy w rozdzieleniu z Bogiem, który był z nami, gdy tworzył i będzie, gdy się noc przesili. Już w pełni twórczości mistycznej, „w Księgach ducha“, Konopnicka da wyraz temu samemu przekonaniu:

...Sam sobie bramą i sam sobie drogą,  
Raz tylko wyszedłem z Boga!  
Jeden On tylko dech swój dał  
Dla wszystkich dusz i wszystkich ciał,  
Raz tylko palce tworzące  
Umaczał w glinie  
W zaraniu dnia.

poczem nastąpiło odczepienie. Zaczyna się wyłączna inicjatywa ducha.

5

„W złotej kolebce wiecznych zórz duch się poczyna”, wcześniej niż świat, niż słońca, które od głównego ogniska światła nieprędko się oderwą. Duch zatem, ściślej duchy, części Boga, są pierwszemi bytami i bujają swobodnie w nieskończoności, po polach przyszłego świata, wypromieniając z siebie myśli, które krążą wokoło nich jako jasności niebieskie, ja-

ko mary-odbicia twórców swoich w zwierciadlanych wodach wszechżywota. „Aż raz powiały mary tak urocze”, że duchy same, przejęte niepowstrzymaną pożogą, rzuciły się na nie, zwarły z niemi, a tak powstał związek z materją, z prochem. Dlaczego materja, czy coś, z czego miała wyjść materja, było tak urocze, dlaczego duchy, które były „wszechwiedzące i wszechsilne“, zapałały taką żądzą, dlaczego wpadły we własną pułapkę — niewiadomo. Jest to jakby analogja do upadku człowieka, który wiele systemów mistycznych wciąga w księgi swojej wiary, nawet Słowacki w liście do Rembowskiemu, choć go nie zna w Genesis. Ale tu materja jest wytworem ducha samego, nie jest mu nasunięta z zewnątrz, wypromieniowała z niego jako własna myśl. Z chwilą jednak, gdy duch, wolny dotąd i nieograniczony, poczuł głód granic i wyrzekł „ja”, z chwilą, gdy wszedł w ślub z prochem, zaczął się dramat. Związek od razu okazał się nieszczęśliwy, pierwiastki skute ze sobą były tak dalece różnorodne, że spóżyście dla ducha stało się męką, to też od pierwszego dnia pracuje, aby się rozczepić, otrząsnąć z siebie pył i wrócić do dawnego bytowania. Ptak wleciał w klatkę sam, radośnie i ze skrzydeł biciem, ale wyrwać mu się niepodobna. Musi ciężką zacząć pracę wyzwolenczą i ta praca właśnie, ten trud więźnia, dążącego do wolności, to treść świata — to dzieje.

Przez połączenie ducha z prochem stanęły światy, stanęła przyroda, córa zatem ducha niejako, ale córa jego błędu. I w każdym z nas, dziś rodzącym się poszczególnym człowieku, który już trafia na gotową

scenę dramatyczną: na przyrodę i walczącego w niej jej rodzica, powtarza się ten sam proces namiętnego przywierania do prochu, który równie miłośnie rwie się do ducha, aby przy starciu się poczuć,—już za późno—straszłą pomyłką swoją.\*) Życie całe jest grzechem, błędem, walką, na tej odrazu podstawie, że jest złączeniem się tego, co złączone być nie powinno. Ale duch, choć zbratał się z rzeczą znikomą, o krótkim trwaniu, i musi dzielić jej wąskie losy, sam natury swojej unicestwić nie mógł, nie mógł znieść tego, co stanowiło główną istotę odprysku Boga: nieśmiertelności. Skucie trwa tyle, ile wymierzzone żyć prochowi, poczem nędzny osypuje się, a ptak na nowo uderza w skrzydła. Staje znów przed nim przestwór bez dna i granic, ale staje na krótko. Związek z ograniczonym tworem był spadkiem tak raptownym, tak nieskończenie głębokim, że wznieść się do dawnej wyży w ramie krótkiego życia niepodobna. Proces rozłożony jest na takich żyć setki czy tysiące, to też duch, zwolniony znowu, jak ptak po krótkim wyrwaniu się na swobodę, sam staje u bram swojej klatki. I tak jeszcze i jeszcze. Wieki idą a on przechodzi sznury żyć, zaś między nimi krótkie odpoczynki szczęśliwego oddechu. A musi każde życie następne być o cząsteczkę chociaż wyższe od poprzedniego, jeżeli stać się ma zadość prawdzie i prawu: powrotowi z wędrówek do źródła. To też duch ma wytycz-

---

\*) „Wiedz, synu Bharaty, że kiedy zapładnia się jakakolwiek istota, dzieje się to przez połączenie Materji z Ideą“.  
(Bhagavadgita)

ne wielkie i trzymać się ich musi i siły kłaść wszystkie, aby się utrzymać na bijącej przez tysiące lat fali: musi iść „zaciosami w słońce”. Widzimy tu narreszcie w całej jasności rolę śmierci, owego wielkiego okna na nieskończoność. Staje się ona obecnie uwrotem przy płużeniu skib wieczności i to jest właśnie, co Konopnicka nazywa „trwałością odrodzeń w grobie”. Myśli nie wracają już jak „rozlatane jaskółki do gniazda swego, do wyschłego mózgu czaszki”, ale duch zrzuca ciało jak łachman i radośnie się od niego odwraca.

Bliższe tego stanowiska niż pośmiertność-nicość, jaką poznaliśmy nad Skawą, były „nad łez ziemią światy słoneczne”, które widziała umierająca Hypatja, tylko że tam nie stanęła jakóbowa drabina żywotów i nie było nakazu powrotowego.

Cóż robi porzucony proch? Idzie w grób i czeka. Bo i on, raz pchnięty w bieg, nie staje. I on ma cele, których sam wprowadzie świadomie nie spełnia, ale do których jest niesiony na barkach siły świadomej: ducha. Poszedł do ziemi, bo w niej ma swój kres, ale przyjdzie do niej i ten, który ma na niej misję swoją. W wiecznym kołowaniu spadnie wypoczęty po poprzednim żywocie duch jakowyś, szukający cielesnej odzieży. I spotka się ze zrzuconym przez poprzednika, a czekającym zewłokiem i znowu na kawałek drogi się połączą. Konopnicka rozumie krążenie materji tak bardzo prosto, że jej nie proszkuje wcale na atomy: cały kompleks, jako taki, jako pewne indywiduum, trwa, spotkany raz, zostaje w swojej niezmienionej postaci. Gdy tylko nadbieży ptak ducha, proch „roz-

rywa kraty mogiłnych leż i bije w dzwony zmartwychwstania”. Ciało, które dziś nazywam mojem, mogło już żyć jako ciało innego człowieka. Wygląda to tak, jak gdyby w wielkim teatrze ducha kostjumy były przechowywane, aktor wędrowny przeniósł się na inną scenę, ale występujący w jego roli następca wdzieje to samo ubranie. Nie o nie przecież idzie, tylko o grę i o aktora.

Przymierzając pogląd Konopnickiej do tła induskiego, widzimy parę wyraźnych odstępień. W ojczyźnie tej nauki proces rozwoju świata odbywa się więcej w Bogu. Atman i Brahma, duch i Bóg, ukazwane są z naciskiem w swojej tożsamości (Upaniszady), świat jest w Bogu, Bóg jest stroną najbardziej istotną w zjawisku, (Bhagavadgita), duch spina się wielokrotnie z Bogiem przez ofiary, w których wyraża się najgłębsza prawda świata i samego Boga. U Konopnickiej człowiek jest samodzielny najzupełniej. Bóg przyjdzie tylko na końcu sprawdzić jego przyrost, natnie pień, aby przekonać się, czy nie stwardniał, czy krąży w nim „wieczystej wiosny źródło”.

Drugą cechą charakterystyczną jest silne rozpołowienie na ducha i proch, jakoby dwa równoległe wyciągnięte sznury, w czym jest zresztą poetka naturalną dziedziczką myśli filozoficznej Europy. U indusów linja padała bardziej podmiotowo między zmysły a duszę. Rdzeniem bytu, zasadą i prawdą jego jest Jednia, a wiedza, jaką zdobywa sobie dusza, jest świadomością tej Jedni. Przeciwnie zmysły, otumaniowane i błędzące w mrokach, znają wielość—pozorną. To też podział główny jest na Jednię i wielość. To co

dają zmysły, jest „Maya”, jest złudzeniem, jakby gazową zasłoną, zawisłą przed przedmiotami, a łamiącą w kilkoro promień między okiem a zjawiskiem. Dlatego indusi nie mają do czynienia z twardym oporem, jakim dla nas jest świat zewnętrzny — materja. My musimy ją rozmiękczać, niejako, duchem, doprowadzać do stanu lotnego, pojęciowo czy mistycznie, jeżeli chcemy ją ominąć, oni zaczynają od tego, na czem my kończymy: od zwiewności i złudy, twardnieje materja tylko dla tego, kto, żyjąc zmysłami, odcięty od ducha, traci z oczu jej prawdziwe znaczenie i czyni z niej swoją jedyną rzeczywistość.

To też Konopnicka, jeżeli możemy dociągnąć jej poetyckie *credo* na teren myśli poważnej i na każdym punkcie odpowiedzialnej, prędeż byłaby jakimś refleksem platonizmu, ze swoim poczuciem więzienia cielesnego dla duszy, ze świadomością jej ojczyzny szczęśliwej i świetlanej, z której schodzi na czas pewien między cienie, do której tęskni i gdzie, wyzwolona, powraca. Rozcięcie „Ksiąg Ducha” wnika między świat idei a rzeczywistość.

Duch-tworzyciel, kiedyś, przed wiekami, w pierwszej chwili, „gdy uczuł granic głód”, wszedł w kategorię i pierwsze jego rozjęcie skrzydeł w materji stworzyło „bliźniaczy twór: czasy—przestrzenie”. Są to więc wytwory ducha i więcej: znamiona jego, jako wcielonogo. „Wieczność to nie jest ocean lat, to skrzydeł ducha bicie, a co przestrzenią mędrcomie zwą, to duch, rozprężon w sobie”.

Dość dziwnie uderza nas ten „duch przestrzenny”, zwłaszcza gdy przystaliśmy w stosunku do nie-

go na Bergsona. Trudno bowiem od Konopnickiej robić krok myślowy aż tak wysoko, żeby szukać u niej dwu form kantowskich, stojących także na bezwzględnej warcie naszej podmiotowości. Możeby zgodziło się jej zdanie z prawdą pewną Upaniszad, gdzie też „w mieście Brahmana znajduje się domek — drobny kwiat lotosu, w nim zaś przestrzeń maleńka“, i zaraz dalej: „Jak wielką jest ta cała przestrzeń (zewnątrzna), tak samo wielka jest przestrzeń wewnątrz serca. W niej zawarte są niebo i ziemia, ogień i wicher, słońce i księżyc, błyskawice i gwiazdy. I cokolwiek człowiek tu ma i czego nie ma, wszystko to się w niej zawiera“\*\*).

Że jednak moje dalekie potrącenie o Platona i Kanta, jeżeli przyjmujemy rodową zgodność poglądów Konopnickiej z filozofją indyjską, nie jest majaczeniem ani odskakiwaniem w pustkę, niech zaświadczy jeden z największych indjanistów współczesnych, Deussen. W odczycie „O filozofji Wedanty\*\*“) i jej stosunku do metafizyki europejskiej“ między innymi twierdzi:

„...sposprzeżesz rzeczywistość, różną bardzo od rzeczywistości empirycznej, rzeczywistość bez czasu, bez przestrzeni, bez zmian... i przekonasz się, że to, co leży poza tą jedynie prawdziwą rzeczywistością, jest czystym pozorem, *maya*, snem. Ta była droga, którą poszli myśliciele indyjscy, a na podob-

---

\*) Upaniszady, przekład polski Stanisława Fr. Michalskiego-Iwieńskiego.

\*\*\*) Wedanta, dosłownie: koniec Wed.



nej drodze, wskazanej przez Parmenidesa, doszedł Platon do tej samej prawdy, kiedy poznał i nauczał, że świat ten jest światem cieni i że rzeczywistość nie leży w tych cieniach, lecz poza nimi. Zdziwiająca jest ta zgoda Platona i Wedanty, jednakowoż oba systemy uchwyciły wielką prawdę metafizyczną za pomocą intuicji, twierdzenie ich jest słuszne, ale żaden z nich nie jest w stanie dowieść go i pod tym względem są niedoskonałe. I tu wiele światła i pomocy myślicielowi indyjskiemu przynosi filozofja Kanta, który poszedł zupełnie inną drogą, nie wedantyjską i platońską drogą intuicji, ale drogą rozumowania oderwanego i naukowego dowodu. Tak więc Kant i wielki uczeń jego, Schopenhauer\*), dali podkład naukowy dla filozofji... Wedanty. Uderza nas ta zgodność metafizyki indyjskiej, greckiej i niemieckiej—świat to złuda, powiada Śankara\*\*) — jest światem cieni, nie rzeczywistością, mówi Platon,—jest tylko zjawiskiem, a nie rzeczą samą w sobie, twierdzi Kant. Mamy tutaj tę samą naukę w trzech różnych stronach świata, ale dowodów naukowych na nią nie daje ani Śankara, ani Platon, podał je tylko Kant''\*\*\*).

Wracamy z wielkich szlaków myślowych do naszej poetyckiej przędzy. Konopnicka już przez to

---

\*) Kant o filozofji indyjskiej nie mówi i związku swojego z nią nie zna, zbieżność jest przypadkowa Zato Schopenhauer z wraca się zachwycony ku ludziom, których pokrewieństwo z systemem swoim pełen dumy wyczuwa.

\*\*) Komentator Wedanty.

\*\*\*) Deussen: „Zarys filozofji induskiej“ Przekład polski.

na tym wielkim torze stanąć nie może, że rozłupując byt ducha na dwie fazy, nie podkreśla prawdy jednej, uludy drugiej. Ona nie może życia uznać za oman, zbyt wrosła w nie jest kochającym sercem. Dla niej raczej ta druga strona, nieskończona, jest komentarzem dla strony przeżywanej. Rozróżnienie jest nie metafizyczne: na rzeczywistość i Mayę, na byt i niebyt, ale uczuciowe: na szczęście i cierpienie. Jest tęsknota z doliny łez do wiecznego słońca, kwestja prawdziwości wszakże w grę nie wchodzi. Zagadnięta z tej strony Konopnicka może zdziwienie pokonałaby prostą uwagą: jakże może być złudą, nie prawdą, ból? Szło mi tylko o pochwylenie rysu, że ona zaznaczyła istnienie ducha, niejako absolutnego, i ducha, ujętego w kategorie. Z tych, mimo poddania przestrzeni duchowi, skazana jest w swojej filozofji na operowanie niemal wyłącznie wartościami czasowymi. Ma też parę przepięknych poetyckich pochwyceń „wielkiego bezbrzeżnego morza, które jako pianę wyrzuca w przestworza z głębin swych wieki, dzieje i narody“.

I powstał Czas, wszechbyków król,  
Bez łez, bez snu, bez litości...  
A z nim wstał zrodzeń i śmierci ból,  
Ból — skończoności!..  
I osiadł pusty życia tron  
I ujął berła moc,  
I rzucił on  
Na nierozbłyśłe jeszcze w brzask przestrzenie  
Piór ducha promienie:

I nazwał dzień i nazwał noc,  
I zrodził świat—  
Ojciec i kat.

Gdyby Konopnicka trzymała się własnego zdania, że „przestrzeń to duch rozprężon w sobie“, możeby rozwinęła stanowisko swoje w system, który, jedyńy, zdanie to czyni zrozumiałem, — w panteizm. Utożsamianie siebie samego z innymi istotami jest rzeczywiście w pewnym znaczeniu wyjściem poza siebie, rozciągnięciem własnego „ja“ na zewnątrz, poza granice jednostkowe. „Ja“ jest wtedy tak szerokie jak świat, ma nieobjęte ramiona. W zestawieniu z „przestrzennością“ panteizmu mistycyzm jest jednowymiarowy, jest struną, drgającą jedynie w czasie. Sama znajomość natury Konopnickiej mówi już nam zgóry, na której z dwu dróg ułoży się jej duch. Są wprawdzie wiersze o barwie prawie czysto panteistycznej. Tak np. wygląda „Z naturą pracuj“:

Z naturą pracuj, duchu mój,  
Chcesz li być gońcem  
Wolności!  
Do dzieł jej, do jej trudów własny przyłącz znój,  
Dom swój z niej uczyn, warsztat swój,  
A nie gospodę, gdziebyś chadzał w gości.  
Pałaj z różą,  
Pałaj z słońcem,  
Z pączkiem rozrywaj więzy przyszłości osło-  
[nek i td.

Jeszcze wyraźniejszy jest inny ustęp:

W przestrzeniach nieskończonych  
Nie mogę stracić siebie,  
I jestem w każdej gwiazdzie  
Na rozgwieżdżonem niebie,  
I jestem w każdej trawce,  
Co z ziemi się dobywa,  
I w każdej kropli rosy,  
Co w noc miesięczną spływa.

Wiersz „Nic darmo“ mógłby już być rzucony gdzieś  
na marginesie Genesis Słowackiego — przypadkiem:

Nic darmo mi nie dano  
We wschodu mego rano,  
Wszystkie moje promienie  
Wyprządłem poprzez cienie,  
Wyprządłem poprzez nocę.  
I wszystkie moje moce,  
Na ziemi i na niebie,  
Dobyłem sam ze siebie.

Wszelki kształt mój  
To wieków znój,  
To zrodzeń praca, śmierci bój.  
Co światła mam, to cudem  
I prometejskim trudem  
W żywotów mych tysiącu  
Po skrze odkradłem słońcu  
O najranniejszej z zórz.  
Jutrzenkom koral róż,  
A lilje tajem rwał w ogrodach nocy  
Ze srebrnych gwiazd.  
Niema barwy, niema dźwięku,

Od puszczy wierzchołów do słowiczych gniazd,  
Któregobym przez wieki,  
Skroś chłodu grobów, skroś życiowej spieki,  
Nie wypracował wśród bólu i jęku.

Mam jednak wrażenie, jakoby tak brzmiące wiersze nieco wyłamywały się z ogólnej tonacji. Płyną na fali chwil, nie skute z resztą ogniwem konieczności. Samo uprzytomnienie sobie, czem jest natura, jak i w jakim stosunku do nas powstała, już od razu podważa cenę pracy z nią. Czy wogóle widzimy przechodzenie ducha przez jej formy, czy współpraca jest zarazem wykazaniem, że możemy istnieć w postaciach innych niż ludzkie? Sprawa—tembardziej w zestawieniu z indusami — zaznaczona jest bardzo chwiejnie. Że Konopnicka wogóle od panteizmu raczej stroniła dowodzi charakterystyczne jej zdanie, które, jakkolwiek padło prawie mimochodem i bez związku ze sprawą bytową, jest niejako reflektorem, z bocznej dróżki rzucającym światło na trakt główny.

Zwiedzając, prawdopodobnie w Monachjum, pracownię malarzy, podchwyciła dwa, zdaniem jej, zasadnicze typy twórców, które uogólnia w krótkim zestawieniu: „Jeden jest, gdy artysta przerasta człowieka, drugi, gdy nie może zapomnieć o człowieku. W pierwszej pracowni artysta zaciera się i ginie, w drugiej wypełnia i rozpiera niemal ściany wybujałą indywidualnością swoją. W pierwszej jest artysta ofiarnikiem tylko, często nawet ofiarą, w drugiej bóstwem samem. W pierwszej panuje mistycyzm, w drugiej panteizm. W pierwszej czuć mirrę, w drugiej haszysz”.

Zdanie nie ma logicznej wytrzymałości. Dlaczego panteizm ma być haszyszem, a przede wszystkim, dlaczego ma się w nim rozpierać indywidualność, kiedy on jest właśnie zniesieniem granic indywidualnych na rzecz całości? Wobec tego przytoczony przed chwilą wiersz „W przestrzeniach nieskończonych”, w których nie może się poetka ani stracić, ani tembardziej znaleźć „i szuka się po ziemi i szuka się po niebie”, przestaje dla nas momentalnie być ilustracją panteizmu.

Inny jest świat, inna jest droga, idąca zaciosami w słońce:

Gdyś raz zapłakał nad cierpiącym światem  
I bólu ziemi był bratem,  
Już ci otwarty  
Przez cieniów warty  
Raj nadziei, błękitnym okwitniony kwiatem.

Albo jeszcze wyraźniej:

Ileś łez wylał, płacząc nie nad sobą,  
Ale nad światów żalobą,  
Tyle za czasem rosy  
Spuszczą niebiosy  
Na wyschłe prochy twych kości,  
Iżbyś wskrzesnął i znowu oddychał, w jasności.

Inaczej być nie może. Duch jest twórcą bólu; skoro tylko spoił się z prochem, kiedyś u początku bytu, natychmiast powstał ten „piąty żywioł świata”, jak go nazwał jej Prometeusz. Duch więc jeden może odrobić swoje dzieło. Usuwając objaw, usuwamy

tu przyczynę, łagodząc cierpienie czyjeś, tem samem rozluźniamy w nim związek z prochem, zbliżamy go do przyszłych wyzwolin. Gdy ból przeniknie w sferę, gdzie czynność ducha już nie sięga, niema na niego sposobu—zostanie wieczyście.

Nie daj, by słońce jedną łzę wypiło,  
Nim ją otrzesz z oczu brata,  
Bo tylko miłość jest siłą,  
Co zgładzić może ból świata,  
Lecz łaza, co w ziemię wsiąknie, lub w słońca  
[promienie,  
Odradza się nieskończenie!

Pogląd ten jednak wyrasta z szerszego podłoża. Nie pojedyncze dusze mają odbywać swoje szczeblowania ku słońcu, aby, uleczone z bytu ziemskiego, na zawsze w źródłisku swoim roztopić się mogły, ale całe, jeżeli tak się da nazwać, tworzywo duchowe władowane w materję musi razem ukończyć proces powrotowy i dopiero dla całości wszędzie dzień zbawienia. Przyspieszeniem tedy akcji jest pomaganie w niej innym. Duchy nie są odosobnione, nie pustka zalega między drabinami ich wznoszeń, lecz, jak się niemal po Mickiewiczowsku wyraża Konopnicka, „palna sfera ducha“; od nas zależy, czy wypełnimy ją tchem miłości czy nienawiści, siłą postępową czy wsteczną. „Jeśli ze wspólności życia wyjść nie mogę, nie mogę wyjść z dóbr wspólności”. Skucie jest tak silne, że wznoszenie się moje nie może być wynikiem najtroskliwszego choćby hodowania kwiatów własnej duszy,

do mnie samej jest droga tylko przez innych; podnosząc bliźnich moich, zbliżam siebie ku świetlnym kresom.

Gdy rzeknę: jam bez winy,  
Wypełzną złe gadziny,  
Oślinią mię ich śliny.

Trąd świata moim trądem,  
A czy morzem czy lądem,  
Nie rozminę się z sądem.

Dopóki brat mój krzywy,  
Nie będę sprawiedliwy,  
Ni ja ni żaden żywy.

Winy jeden nie dźwiga,  
Ludzkość jest jak łądyga,  
Z której czarny kwiat śmiga.

Olbrzymi korzeń winy  
Płacze ludzkie rośliny  
W bór niezbitej gęstwiny.

Chcę-li czystą mieć duszę,  
Z siekierą w bór ten muszę,  
Aż korzeń złego ruszę.

Wiersz ten, o dźwięku zarezerwowanym dla obrazów Sądów Ostatecznych, mówi nam o jednym: o niezmiernem obecnie wydłużeniu trwania pochody, o ciężkiem, prawie niewidocznem posuwaniu się olbrzymiej, gniotącej masy, o sunięciu się samego boru. Żadne wyrwanie się jaskółką pojedynczego, gotowego już



ducha nie pomoże, musi wracać na czarne gałęzie  
Ale my wiemy, że Konopnicka już się dziś nie spieszy,  
skorzystała z nauki Boga ze swej Biblii.

Przypomnijmy sobie teraz jej młodych żołnierzy,  
których przed naszymi oczyma wysyłała do Polski.  
Bo oni stąd idą, z tej atmosfery, z tego zrosłego ko-  
rzeniami win boru, w którym „świętym ten jedynie,  
kto w wspólnej świata winie na krzyżu krwią opłynie”.  
I żołnierz idei to ten właśnie, który przejrzał bezwzględ-  
ną spólność dóbr i życia i dobrowolnie poddaje się  
krwawej ofierze krzyża za winy cudze. Skroś mro-  
ków i omdlenia, skroś burzy i zawiei,—tak mówi nam  
ten młody zapaśnik—bez wodza i bez roty, bez chwały,  
bez korzyści, sam niosąc sztandar mój, w bój idę wszech-  
tęsknoty, w bój idę wszechpragnienia, w bój idę  
wszechnadziei, co gdy się ziści, nie dla mnie się zi-  
ści: w śmiertelny duchów bój.

Na śmierć, na skon  
Młodość mą niosę,  
Pod żeńca kosę,  
Jak złoty plon,  
Ciężki od ros ..  
Idę cichy, płonący,  
Idę w mrokach żarzący,  
Na wielkie bojowisko,  
Gdzie duchów wszechognisko  
Płonie, świeci, rozbłyska.  
Lecę—iskra ogniska —  
Na całopalny stos.

„Idź, żołnierzu!—żegna go na tę krzyżową drogę poetka. Nie pytaj, gdzie cię wiodą zorze przez rubinowe wrota i gdzie się gwiazda twoja wytli modro-złota. Idź tylko!”

Gdy ostatnia bitwa już wygrana,  
Znajdziesz się na tej świetlającej ścieżynie,  
Tak poufale chodząc między globy, światy,  
Jak ninie,  
Gdyś majowego rana  
Dzieckiem po łąkach chodził między kwiaty.

Widzimy teraz jak wygląda Tebaida Konopniczej. Oddaliła się od ludzi, jak czyni budda indyjski, aby rozmyślać o ludziach i aby do nich z nową prawdą życia i zbawienia powrócić. Nie umiała myśleć jej utrzymać się samotnie, zeszała z „agory”, ale ściany celi cenobity przebiła szybko rozręskniona ku bliźnim. Może nie na agorę już wróciła, ale na „stratopedon”, na pewnego swoistego rodzaju bojowisko, gdzie się walczy nie o dziś, nie o jutro, ale o najdalszą, pożyciową i zaziemską wieczność.

Wszakże jeśli zestawiałam ją z odchodzącymi w samotną głąb lasów buddami induskimi, to muszę—właśnie w tym punkcie—jak najostrzej odciąć od nich jej naukę. Indusi byli pod tym względem krańcowymi indywidualistami. Każda dusza o własną doskonałość tylko dbała, oddalała się od ludzi, aby własne drogi poprzez życie skracać. I mógł mędrzec po jednym nawet wcieleniu do szczytowego rozpląnięcia się w Brahmie dojść, bez względu na to, że tragedia rodu ziemskiego będzie się jeszcze wlokła przezlat

tysiące. Każdy o własnych stał siłach, a tyle było bram w wieczność, ile dusz \*). Odsunięcie się od ludzi i inny jeszcze miało skutek: mniej lub więcej zdecydowane wyplątanie się z ruchu, z życia, z czynu. Yogin nie działa, — rozmyśla, patrzy w prawdę, graży się w jej niedostępnej dla innych jasności \*\*). U Kopnickiej pogląd mistyczny jest wzmożeniem czynu, jest aktywnością, ale o rzucie poza-życiowym, a nawet wobec życia w dzisiejszej, doczesnej postaci negatywnym. Bo jakże po wiekach wyglądać będzie planeta nasza, deptak trudów ludzkich i walk? Poetka ma kiedyś wspaniałe widzenie czasów już stojących na krawędzi ziszczeń:

Ziemió! Ty będziesz tak chłostana duchem  
I siedmiu wichrami jego,  
Które na ciebie nawałnicą puści,  
Że musisz dźwignąć się wszechmocnym ruchem  
Z prastarych orbit czeluści,  
Coraz wyższemi kręgi wstępując bez końca  
Do najwyższego,  
Do kręgu słońca!

Już teraz fale podmywają jej brzegi, nadlata burza duchów, „jedne w piorunach, inne jako łabędzie w gasnących zórz pozłocie“, i kiedy wieki przeminą,

---

\*) „Mędrcy, oddani poznaniu, wyrzekają się owoców swych czynów; zwolnieni od więzów nowych narodzin, idą w miejsca wyzbyte cierpienia“. Bhagavadgita, przekład Stan. Fr. Michalskiego-Iwieńskiego. †

\*\*), „Mnie żaden czyn nie splami, owoców czynu żadnego nie pragnę. Kto mnie jako takiego pozna, ten nie wiąże się swemi czynami“ (mówi wzniosły do Ardżuny). Bhagavadgita, przekład Stan. Fr. Michalskiego-Iwieńskiego.

ziemia, nowa Atlantyda, musi im ulec. Nad nią będzie myśli morze:

Aż kiedy się wyzwoli cały zaczyn śmierci  
Na żywota płomienisko,  
Buchniesz jak krater rozerwan na ćwierci,  
Jak kometowe mietlisko,  
A z popiołów i z kurzawy,  
Z dymów i płomieni bicia,  
Zpośród gorejącej lawy,  
Co się rzuci łożyskiem nigdy niewidzianem,  
Dobędzie się zawierucha  
Nowego życia, nowego ducha,  
I posiew gwiazd upadnie nasiewanym łąnem...  
I uświeżona będziesz i kwitnąca  
Pod nową jutrzzenką słońca!

Widzenie iście sybillińskie. Wychodzi w niem Konopnicka teraz już poza Odę Mickiewicza; tamta chciała tylko bryłę świata pchnąć na nowe tory, iżby zielone przypomniała lata, Konopnicka chce ją oddać pod rządy nieśmiertelnych, oczyszczonych duchów, co w konsekwencji doszłoby do zupełnego odmaterjalizowania, zeteryzowania ziemi, zamiany jej samej na ducha. Jednej rzeczy tylko nie rozumiemy: w jaki sposób do tego bicia twardej skorupy przyłożyć się mogą, i to skutecznie nad wyraz, leżące w niej prochy:

Ziemiol Ty będziesz tak podminowana  
Prochami, co leżą w tobie,  
Jak podścielisko wulkana!

Przecież prochy, opuszczone przez anioła-ducha,  
czekają same na wskreszenie własne, na nowego piel-

grzyma, który w nich iskrę zapali. One nie mogą rozrzedzać materji ziemskiej, gdy same są sierocą i bierną materją.

Ale nie dręczmy poetki. Wizja końcowa ziemi daje nam światło na rozwiązanie innej myśli, która po drodze mogła się wydać niejasna: „Z przyrodą pracuj, duchu mój, chcesz-li być gońcem wolności”. Nie panteizm to był—widzimy teraz dokładnie—to przyspieszenie owej godziny, gdy ziemia przewycięży sama siebie. Cel jest zawsze jednaki, Konopnicka jest sobie wierna. W ostatecznej wizji uduchowionej ziemi zbiegają się w najbardziej wykończonym i w najwyższym swoim wyglądzie jej heljotropizm z antropomorfizmem. Przeciągnięte przez mistyczne przeszczerzenie takim oto zakwitły kwiatem. I można powiedzieć, że jej ostatniem widzeniem, obietnicą najwyższą, jak dla Dantego w Empireum, jest ta róża mistyczna: ziemia, jutrenkowa, zorzana, odmuchnięta z grzechu, odwiana ze śmierci, stojąca w słońcu ducha i wieczystej szczęśliwości.

Przejrzeliśmy jej ewolucjonizm, który idealnie odpowiada żądaniom teorii rozwojowej mistycznej. Inicjatywa, siła motoryczna, jest po stronie ducha i duch doskonali własną cnotą nawet globy. Drugi to biegun ewolucjonizmu naukowego, zatem drugi biegun prawdy, oprawionej poetycko w „Nad głębiami“ Asnyka. I jeżeli zestawimy jeszcze raz Konopnicką z Ludwiką Ackermann, z którą już zbliżyłam ją—kontrastowo—przy kwestjach społecznych, to i tu zarysuje się odległość stanowisk. Ackermannowa znowu znajduje się w okolicach Asnyka; jej dwa dja-

logi człowieka z przyrodą wyrosły silnie z wiary w ewolucję: idącą naprzód widzi naturę i to tak dalece, że człowiek będzie pominięty, zdeptany w drodze ku wyższemu, doskonalszemu, bardziej ukochanemu tworowi. Rozwój przejdzie po człowieku, i on da się, bo musi się dać prześcignąć. Jest tylko na nieznanych drogach stworzenia stacją przejściową, którą się mija, jak się już wiele podobnych minęło. Tu w marszu jest cały świat, jest nawet z wielkiem dla nas okrucieństwem\*). U Konopnickiej stoi, a raczej stałby, gdyby nie my, gdyby nie nasza dobra wola, gdyby nie nasza miłość słońca, która jest rękojmią, że pchać go będziemy.

Tu napraszałoby się pewne uogólnienie. Po połowę wieku XIX Europa duchowo widniała pod znakiem nauk humanistycznych. W filozofji romantycznej niemieckiej przyroda utożsamia się i podchodzi pod ducha, we Francji utopje społeczne stoją w świetle, nie krytycznie i naukowo, ale luźnie i poetycko rozumianej ludzkości i jej dziejów. Historjofija romantyczna stawia pojęcie ewolucji ducha i ta ogarnia cały byt, przerzuca się na przyrodę. Myśl przyrodnicza, opóźniona, idzie w takt historii, obleka się w tytuły i drapuje jako filozofja przyrody, ale właściwie jest w przebraniu filozofją ducha. Gdy muzyka romantyczna przycicha, badanie przyrodnicze skupia

---

\*) Ewolucjonizm Ackermannowej podpada zupełnie pod moje określenie rozwoju rozumianego naukowo we wstępie teoretycznym do mistycyzmu. Stanowisko jej Konopnickiej na tem tle uwypuklają się najdobitniej.

się przed dalszą, samodzielną już drogą, na gruncie, który—według Rickerta—stanowi niejako metodologicznie wyspę historyczną na polach badań przyrodniczych: w biologii (od Lamarcka — po Darwina). Tak więc historyzm zapładnia przyrodoznawstwo w punkcie, który mu jest najbardziej powinowaty, a zatem najdostępniejszy. W drugiej połowie XIX wieku karta się odwraca. Berło biorą nauki przyrodnicze i kto wie, czy właśnie nie dzięki temu zapłodnieniu przez historję, stwarzają ewolucjonizm przyrodniczy, a nauki humanistyczne w ich cieniu gasną. I w tych warunkach ton idący od przyrodników ma niejako swój odwet. Na gruncie historii rodzi się socjologja, znowu według Rickerta, dziedzina świata historycznego, gdzie zaszczepia się metoda, właściwa innemu odłamowi wiedzy: przyrodnicza. Do nauki o społeczeństwie, o ludzkości, przystępujemy jak do zjawiska przyrody, tak jak poprzednio do zjawisk przyrody przystępowaliśmy jak do dziejów. Może dziś, w rodzącym się zwrocie, którego pierwszą jaskółką jest Bergson (o ile prąd się rozwinie, nie pójdzie w piaski, dzięki nowym, nieprzewidzianym wartościom ducha, jakie mogła skrzesać wojna), zobaczymy rozdzielenie mocną linią demarkacyjną dwu królestw i dwu metod nie do zlania.

W naszej poezji ewolucjonizm był rówieśnikiem romantyzmu. Leżał w tonacjach utopijnych i mistycznych i na tym gruncie zdobył się na genialną niejednokrotnie intuicję. Zgodnie z ogólną powierzchnią, która nachylić się miała ku przyrodoznawstwu, są w Genesis Słowackiego miejsca niejako przepowia-

dające Darwina. Przyszedł okres następny, królowania pojęć przyrodniczych, i pierwszym, który przeciągnął ich prawdę, już nietylko na społeczeństwo jako organizm, ale na wszelkie aspiracje ducha, na jednostki narodowe, którym z tego stanowiska stawał horoskopy żywotności i odzycia, był Asnyk.

Jakże teraz wygląda Konopnicka? Jej ewolucjonizm jest stanowczo ewolucjonizmem humanistycznym i utopijnym. Nie łącząc się wpływem ani naśladownictwem, poza koniecznymi miejscami zetknięcia wszystkich mistycyzmów, z nauką Słowackiego, jest jednak co do materiału swego budowlanego jego towarzyszem. Przejścia myśli europejskiej przez pas pozytywistyczny wcale na nim nie znać, lubo punkt wyjściowy Konopnickiej samej leżał w tym pasie.

Jest to ewolucjonizm społeczny, i może tem, co mówi nam o nowszych czasach powstania „Ksiąg ducha”, jest traktowanie jednostki jako czegoś związanego nierozzerwalnie z ogółem, niemal czegoś wtórnego w stosunku do jego masy, społeczeństwo ukazane jest jako ciało żywe i pewnym nienaruszalnym prawom podległe. Niemniej — wbrew materializmowi dziejowemu, którego wyznawczynią Konopnicka nigdy nie była i być nie mogła — inicjatywa leży w ręku jednostki, i losy masy, tempo jej ruchu, zawisły od indywidualnej dobrej woli. Jest to więc z drugiej strony i ewolucjonizm etyczny. A skoro tak, uderza nas znowu pewien rys w nim, zwłaszcza na podłożonym tle induskiem i bliskiej Konopnickiej teozofji: słabe zaznaczenie kierunku wstecznego: spadków. Naucza wprowadzić w „Głosach ciszy“ ducha, aby nie opłaki-



wał „swych upadków, swojej winy, bo to są stopnie drabiny, po której wznieść się potrzeba z prochu ziemi do słońc nieba”, ale zamykamy księgę z wrażeniem, że towarzyszyliśmy tylko ruchowi postępowemu, nawet spólna „szata obelżywa grzechu”, która leżała na najniewinniejszych z winy przestępnych, przez spólność życia mogła tamować kroki, nie cofała ich. U indusów kara spycha nieraz aż pod próg człowieczeństwa, u Konopnickiej, poza paru małemi napomknieniami, nie widzieliśmy przejścia ram ludzkich, a już w żadnym razie ze stemplem pokuty. Ta zasadnicza struna wielu melodyj mistycznych u niej jest głucha. O pokucie po niedalekich w tej chwili drogach idący Bruno ślicznie mówi, że jest łabędziem pomiędzy cnotami, bo nie śmie z rumieńcem swoim i winą podlecieć wysoko, niesie się cicho, a jednak, chcąc ominąć znieawidzoną ziemię, grąży się w wody, które są łzami pokajania. Sądzę, że Konopnickiej serce nie pozwoliło w nieszczęściu widzieć zasłużonej kary, nie chciała i nie mogła szukać w niem sprawiedliwości i dlatego odrazu zastrzegłam się, przytaczając nierówność społeczną jako domniemane źródło teorii palingenezy induskiej, że nie wydaje mi się, jakobyśmy tu byli u bram wchodowych Ksiąg Ducha. Wolą postawić swoją teorię spólności, ciężką, bolesną, długą, ale nie raniącą nikogo. I dlatego miała prawo zamknąć „Głosy ciszy” słowami, które postawimy jako motto nad całym jej systemem:

Słodka to mądrość, której jęk człowieczy  
W niczem nie przeczy..  
I która, z życiem w wiosennej pogodzie,  
Śmierć stawia w zgodzie.

## Rozdział IV. ŚRÓD DUCHÓW TWÓRCZYCH.

### 1.

„Krytyk z zawodu jest to człowiek nie posiadający właściwości twórczych. Ten brak, ten niedobór twórczego uzdolnienia, ta, że tak powiem, impotencja twórcza, nie pozwala mu wejść w naturę samego aktu twórczości i trzyma go zawsze na zewnątrz tajemnic takiego aktu. Musi on zamykać przed krytykiem wszystkie arkana twórczości, całą Eleuzis poetyckiej Psyche. Krytyk z zawodu nie wejdzie nigdy do wnętrza świątyni twórczego genjuszu. Będzie on, owszem, zawsze zmuszony stać w przedsionku tej świątyni i patrzeć przez szpary owego „velum”, które się między duchem twórczym a światem zewnętrznym rozciąga. A kiedy nam powiedzie zechce, co przez szpary owe zobaczył, uczyni to zawsze w wyrazach i znakach, będących miarą własnego jego ducha i umysłu i niczego więcej”.

Słowa, które tu tak zdecydowanie rzuca Konopnicka, leżą w granicach kwestji ogromnie doniosłej: zagadnienia krytyki literackiej, czy artystycznej wogóle. Jak i komu dane jest przedrzeć się poza *velum* twór-

cze? Konopnicka ciągnie dalej: „Twórczość wielkiego poety, twórczość geniuszu nie jest otwartą równiną, nad którą jasne słońce każdemu jednakowego dnia użyczy. To jest szyb głęboki, szyb kopalni, do którego badacz z własną u piersi uczepioną latarką zejść musi i tyle tylko w nim widzi, ile mu to światło, od piersi jego bijące, pokazać zdoła. Szczęśliwy, jeżeli nie sam tylko cień odbity na ścianach szybu ogląda”.

Nie może zatem być widza aktu twórczego. Czy wobec tego krytyka prawdziwa nie ogranicza się do wypowiedzi samych poetów? Konopnicka i tu jest sceptyczką. „Poeta — powiada — twórcą jest tylko w momencie tworzenia. Ale jest to moment takiego zespolenia i takiego utożsamienia, takiego przeniknięcia się wzajem twórczego ducha i stającego się dzieła, że poeta tak samo w momencie tym nie może stanąć nazewnątrz dzieła, aby rozpatrywać motywy jego, jak nie może stanąć nazewnątrz samego siebie i rozpatrywać motywy twórczości swojej. Jest to zatem moment, w którym żaden twórca ani o dziele swoim ani o samym akcie tworzenia sądu wydać nie może. Moment ten wszakże przemija. Ale gdy przeminął, poeta, chociażby usiłował nawet, nie może stawić się wobec swego dzieła jako tworzący je twórca. On może stawić się względem dzieła tylko jako komentator jego. Ustał pęd twórczy, piorun już w serce nie bije, błyskawice ugasły w mózgu, wicher natchnienia ucichł. Dzieło się stało”.

Zupełne tedy bezdroże,—do dzieła dojścia nie-ma. Zdania te, brane *à la lettre*, zaprzeczałyby po prostu racji bytu krytyce. Ale choćbyśmy nawet

złagodzili ton bezwzględny, zostanie kwestja, którą jednym cięciem miecza przeciąć trudno. Kwestja jest zawiła i dotąd nie wykarczowano dla niej dróg przez gęstwę psychologii. Czem jest i jaką drogą iść winna krytyka literacka? Jeżeli w. XIX był areną wielkiego bankructwa, przesilenia się i odzycia na nowo filozofji, to coś podobnego, tylko w ramach specjalniejszych, o mniej doniosłem poznawczo i wogóle dla ducha ludzkiego znaczeniu, dokonywa się w dziedzictwie krytyków. Czy w zasadzie posiada rację bytu krytyka i jaką okolicą wytknąć ma szlaki od badacza do autora? Co mówi Konopnicka, że naukowe badanie nas nie doprowadzi, jest słuszne; zanadto niespółmierne są myśl analistyczna, nawet i syntetyczna w pewnej mierze, w każdym razie myśl, intelekt, z tą najbardziej tajemniczą dziedziną istoty ludzkiej—z natchnieniem. Przymierzanie, dostawianie jest eksperymentem, z którego albo wyjdzie ze szwankiem niedostępna strona twórcza, albo obie drogi natychmiast się rozejdą i rezultatu nie dadzą. Zostaje zatem rada druga: intuicja. Ale ta bez hamulca myśli chodzi samopas, niepewna i bez sprawdzianu. Słusznie ostrzega Konopnicka, że światło, które rzuca czy krytyk, czy intuicyjny komentator dzieła cudzego, jest więcej czy mniej światłem jego własnej latarki, nie światłem duszy twórczej. I pod tysiącem pocisków, jakie godzą w chcącą jednak zdobyć sobie pozycję wśród nauk krytykę literacką, nie udało jej się, zamiast dwudroża, umościć jednej, ale niezawodnej drogi. Trzeba wybierać. Jest teoria, stawiająca zupełny obiektywizm, możliwe znihilowanie badającego,

który znika poza preparatem metodycznym, poza miarami, wagami i cyrkłami, sądząc, że gdy dwie jednostki wchodzą w grę, zniesienie jednej tem plastyczniej wysuwa drugą, że więc wtedy zostaje sam czysty autor, widny przez sieć linii pomocniczych, kątów geometrycznych i t. d. Inni, przeciwnie, uważając, że analiza chemiczna może rozłożyć kwiat, ale zyskujemy wtedy tylko wzór wyrażony cyframi, nic więcej, obstają przy twierdzeniu, że krytyka jako nauka wylegitymować się nie da. Jeżeli ma istnieć, to tylko jako sztuka wtórnej niejako formacji, sztuka nad sztuką i o sztuce, i właśnie strona impresyjna jest tu zasadnicza, usuwać jej nie wolno, krytyk jest tak samo twórcą, tylko z innych pokładów wytryska jego natchnienie, nie buduje z surowców, z widzeń, czy bezpośrednich wrażeń własnych, ale z gotowych dzieł piękna. Jest to roślina, która rośnie nie na nagim gruncie, ale szczepiona jest na gałęziach innych roślin. Nie wchodzę w sprawę, która droga słuszna i że wogóle uderzający jest fakt, iż jedna i ta sama prowincja ducha może być w tak różny sposób administrowana. Raz staje badanie ścisłe, niemal przyrodnicze, niemal wiwisekcja ducha, drugi raz przestrzeń dla natchnienia, gdzie może najwyższą wartością i gruntem zainteresowania jest skojarzenie, stop dwu indywidualności ludzkich: zapładniającej i zapłodnionej. A jako taka, jako twórczość *sui generis*, ma być krytyka literacka przyczynkiem psychologicznym o wielkiej cenie. Idzie mi w tej chwili tylko o Konopnicką wobec tego zagadnienia.

Nie wiem, czy ona sama brała tak głęboko swój własny unicestwiający wyrok; mam wrażenie, że jej niechęć do „krytyka z zawodu”, jej poczucie wyższości wobec człowieka o niedoborze twórczym, jest poniekąd aktem samoobrony poetyckiej od natręctwa i pewności siebie badaczy, którzy do serca twórczego przystępują zbyt często, jakgdyby stąpali po własnym domu, a uczyniwszy „velum” zbyt łatwo przejrzystym, ukazują z za niego faktycznie swoją własną, często naprawdę nie znaczoną natchnieniem ani intuicją twarz. Ona oczywiście badaczką zbrojną w narzędzia metody nie będzie, nietylko jednak dlatego, że tego nie uznaje, ale dlatego, że jej na to nie stać, że nie może. Pójdzie na stronę drugą. A nawet pójdzie krokiem lekkim, szybkim, może trochę za lekkim czasem. Dziwne, po takim surowem zawarowaniu się teoretycznym! Ale ją na wszystkich drogach legitymuje fakt, że sama jest poetką, że zatem misterja, niedostępne krytykowi z zawodu, dla niej nie są zamkiem zamkniętym na siedem pieczęci, owszem, ona jest siostrą z ducha tych, do których się zbliża z piórem swoim i jej krytyka będzie siostrzaną rozmową z duchami. Ona najwięcej powołana jest, aby stanąć między twórcą a ogółem, jako właśnie siostra, pokazująca ogółowi i opowiadająca o braciach swoich. Krytyka literacka Konopnickiej jest zatem zupełnie krańcowym przykładem krytyki impresyjnej, na skrajnym flanku pod tym względem stojącym objawem. Może w literaturze polskiej jest to najwymowniejszy przykład tego stanowiska i jedyny na tym gruncie stosunek, jaki istnieje np. do

Mickiewicza. Bo może nikt nie śmiałyby się zbliżyć do największego w Polsce ducha inaczej jak z najsumienniejszym, mimo kultu i uniesienia, głosem, na najpracowitszych studjach wyćwiczonym. Ona tylko ma odwagę, ale, przynajmy, i prawo mówić jak z tego samego, co i on, idąca rodu. Jest to przychodzenie do twórców nie od zewnątrz, ale od wewnątrz. Taki Klaczko np., „krytyk z zawodu”, z którym Konopnicka przeszła razem przez Rzym odrodzeniowy, spotyka się z dziełem już gotowem i cofa się od punktu swojego spotkania, czy punktu porozumienia z artystą, w kierunku odwrotnym niż szedł proces twórczy malarza, spieszy mu naprzeciw, na skrzyżowanie się z nim, ku centrum, ryjąc się w tajemnicę, im jest intuicyjny, udarowany więcej, tem dostaje się głębiej i szczęśliwiej. Konopnicka odwrotnie; idzie niejako równolegle z twórcą (widzimy to najlepiej w jej przeżywaniu Improwizacji), od zarodzi, od pomysłu, wzdłuż tworzenia, jakby brzegiem w kierunku biegu rzeki, aż do zewnętrzności, po gotowe dzieło. Ona przebywa w duszy twórcy, w jego burzach, wicherach i w jego pogodzie. Dlatego pod jej piórem krytyka staje się dramatem, powieścią, ma akcję swoją. U Klaczki tego nie widzimy, choć i on dużo bardziej od innych krytyków składa sąd z tonów raczej niż z pojęć i dlatego wprowadza dialogi. Ma jednak swój konieczny, określony naturą i zawodem kres. Konopnicka idzie dalej. Zestawmy u obojga scenę zorganizowanych przez Juliusza II zbiorowych odwiedzin u Michała Anioła, malującego w Sykstyнії. Uniego jest to historyczna relacja,

u niej nowela. I stworzenie Adama, u niego interesujące i pięknie napisane sprawozdanie krytyka, u niej urasta do dzwonu, niosącego jedną z najgłębszych tragedij w życiu dziejowem ludzkości.

To też, kwalifikując bezstronnie, nie możemy nazwać krytyki Konopnickiej krytyką w znaczeniu, do jakiegośmy przywykli: jest to jej własna twórczość, tylko na tematy innych duchów. Przypatrując się tej serji utworów, przypatrujemy się znowu jej samej i zyskujemy nowy a nieraz cenny materiał dla poznania rozmaitych punktów jej duszy. Widzimy ją tu jakgdyby nie w codziennym stroju, ale w rolach. Koncepcja jest jej podsunięta, ekspresja jest własna, i to najbardziej charakterystycznie własna. Warjanty bywają niekiedy niezwyklej piękności, choć, przyznajemy szczerze, motywu się czasem trudno dosłuchać, znikł pod gęstemi kwiatami z jej ręki. To też przeważnie piękno które nas tu owiewa, to piękno nie jej autorów, to piękno Konopnickiej z błyskawicznemi perspektywami na łąki cudzego ducha.

Zacznę od pewnego uogólnienia, którego poszczególnie krytyki będą sprawdzeniami. Konopnicka rusza w drogę razem ze swoim autorem, i jeżeli on jest kimś większym od niej, chodzi blisko, jest sateelitką, ale właściwie nie dotrzymuje kroku. Przy duchach równych sobie indywidualność jej rośnie. A najszczęśliwiej jest, gdy towarzysza przerasta. Wtedy to akord z nim jest najgłębszy i najciekawszy. Co do swojej fizjonomji zewnętrznej krytyka jej jest uderzająco żywa, toczy się jakby miała rytm i to bardzo wartki. Rysem, może nieco ujemnym, bywa zbyt ni



przybór słów, jest to zwykły jej pęd, który specjalnie temu rodzajowi twórczości odbiera w pewnej mierze powagę, a kładąc zbytni akcent na pierwiastek opowiadaniowy, nadaje ową spomnianą cechę belletrystyczności. Co mówi o Sarrazynie, zastosujemy do niej: „Pałają się słowa, galopują, pędzą, a wdzięk ich żywości, ich kalejdoskopowość, jeśli tak powieździeć można, polot wyobraźni, wybuchliwy zapał, oto najprzedniejsza może siła autora. Z nienasyconym głodem pióra i serca rzuca się na swój przedmiot”.

Posłuchamy kilku jej akordów.

## 2.

Może być jedno z najpiękniejszych, wprost cudowne jako napisanie, ale pod względem krytycznym chybione, bo leżące całe w tonacji jej a nie jego, jest studjum o Asnyku. Konopnicka Asnyka nie rozumie. Może nie dlatego, iżby, bezwzględnie mierzone, ją przerastał. Owszem, ona zapewne większa była od niego rozjęciem skrzydeł, niosących przestrzeleniami, głębokością i żwawością poetyckiego oddechu, ale nie dorastała doń klarowną, nieopyloną żadnym nalotem myślą, kiedy całą epokę brał w siebie i przez ból piersi własnej doszukiwał się w niej ościenia prawdy, kiedy aż na skałę praw kosmicznych ją rzucił, aby wyrwać Sfinksowi bolesne „dlaczego?” Otóż dla nas, którzy to wiemy, każde zdanie Konopnickiej jest zaprzeczeniem naszemu pogładowi. Odrazu w owej wiośnianości, którą mu przypisywała,

widzieliśmy, że słówkiem nietknięta była cała tragedia młodości poety. A potem: „Na harfach Wenedów pieśń jego strojona była, na harfach Wenedów, którzy w bój bez wiary idąc, ludu natchnąć siłą, która zwycięstwo daje, nie mogli“. Zdanie jest śliczne, ale zupełnie nie do zastosowania. Nie rozumiejąc jego tragedji, nie ma wyjaśnienia, dlaczego zmoczył się świat młodego trubadura wiosny. Skąd—pyta — przyszło organowe misterjum myśli? Ależ wszystko raczej, niż „misterjum“! Jakże logicznymi, pozytywistycznymi linjami czyściutko wyciągnięty rysunek świata miałby być misterjum? Pociemniał Asnyk dla Konopnickiej, a on właśnie w życiu i w poezji z mroków i męki wyszedł wtedy na jaśnie i stanął w bladym, nie iskrzącym, ale i nie drżącym świetle wieczności.

I tutaj to, na krawędzi wieczności, nie dosięga go ona, lubo w zasadzie lot poetycki ma szybszy i w krytyce sądzi, że to jej właśnie trzeba obejrzeć się w tej chwili za wolniej idącym. „Poezja jego—powiada — jest wyrazem wzlotu, nie pędu“. Cenna nam ta uwaga jako bardzo osobista. „Służbę ideału pełni jak wyznawca, nie jak prorok, nie jak męczennik... Pieśń jego wiedząca była, mądra była, rozumiała konieczność i logikę faktów, ale widząca nie była...“ Nie był Asnyk dla niej „celebransem“ bardyjskiego ołtarza „Jest panem swoich natchnień, niewolnikiem ich nie bywa nigdy... Pożąda wyżyn, ale nie szturmuje do nich. Pożąda dobra i sprawiedliwości, ale ich nie wydziera losom. Złorzeczy złemu ale go nie druzgoce własną, pękającą od tego uderzenia piersią“... Odwróćmy te wszystkie twierdzenia,

a zobaczymy ją, Konopnicką, jeżeli niezupełnie taką, jaką my ją widzimy, to napewno taką, jaką widziała i za jaką w twórczości miała się sama.

Zupełnie przeciwieństwo stanowi studjum o Zaleskim. Tu wyraźnie ona jego przerasta kręgiem ducha i dlatego oplata go obręczami własnych światel i własnej myślowej kultury. Autor mniejszy jest dla niej zawsze świecącym jądrem mgławicy, a dokoła tego jądra jej własny blask kładzie się szeroką sferą natchnień, pieści go, obtula swoją poezją, jak obłok srebrny obtula szczyt górski, wnikając w całą jego rzeźbę, we wszystkie falowania i załamy.

Mówiąc o Zaleskim, prześwietnie chwytą krytyczka organiczne zrośnięcie się stepu i jego śpiewaka, zlanie się głosu wichru w burzanach z dumą kozacką, które właściwie są dwoma obliczami, ludzkiem i przyrodzonym, tego samego zjawiska. Ukraina go zrodziła, nie byłoby go, gdyby nie ona, on jest zato jakby przedłużeniem ziemi swej rodzinnej w sferę ducha. Ukraina nie miałaby duszy, gdyby nie on. „Cała czynna inicjatywa jest właśnie po stronie stepu, który chce mieć śpiewaka swojego”. I znów, co czytamy o krytykowanym autorze, przystaje, już tu nie na odwrót, jak przy Asnyku, ale najprościej i najdokładniej do samej krytyczki:

„Ma swoją wybitną indywidualność, nie psychofizyczną, ale psychoetnograficzną, że się tak wyrażę. Mówić można o wszystkim, ale śpiewać tylko o tem, co serce płomieniem miłości swojej wypełnić jest zdolne. A właśnie granice przesięgania płomienia tego są światem, są ojczyzną, twórczością poety. Ilekroć

rzuci się on poza nie dla jakichkolwiek względów, ekspatrjuje pieśń swoją”.

Niech to zdanie będzie rekapitulacją wszystkiego, co mówiłam o podziale na chram piękna i piastową chatę, i niech przypieczętuje uwagi moje o „Italji”.

A zwłaszcza termin jeden da się dosłownie przenieść na nią. Ona miała wprawdzie indywidualność „psychofizyczną“, ale miała obok niej i „psychoetnograficzną“, zaznaczoną bardzo wybitnie. Dlatego to określił ją Antoni Potocki jako „poetkę-laszke“, co wypuklej i niemal spółbrzmiaćco z jej własnymi słowami scharakteryzował p. Grzymała Siedlecki w przedmowie do Imaginy, mówiąc o jej talencie i wyczućciu specjalnie językowem: „Nietrudno dostrzec jakimi sokami syci się ten dar, co wspomaga i doskonaleni wrodzoną fenomenalność stylu plemiennego. Soki owe nazwać by można patryjotyzmem biologicznym. Ludzie tacy, jak Konopnicka, nietylko komórki mózgowe, ale, zda się, całą żywotność mają utkaną z materji narodowej. Nietylko ich wyniki myślenia, nietylko nawet ich uczucia, ale każdy, rzekłbyś, odruch ich żyje strumieniem etnicznej odrębności własnego narodu... Poza patryjotyzmem moralnym natura obdarza ich patryjotyzmem biologicznym, który odbija się w każdym ich geście, jak patryjotyzm tamten odbija się w myśli“.

Ale w ramach tegoż studjum o Zaleskim natrafiamy jeszcze na inną myśl, którą w tej chwili radabym zastosować do jego autorki:

„Plastyka Bohdana ma w sobie coś muzycznego. Ma rytm i ton linji, jaki tylko przyroda z dzieł

swoich dobywa. Ton jest półtonem raczej. Nigdy nie zabrmi surowem, twardem, bezwzględnie odgraniczeniem się od wielkiej, przepływnie szarmonizowanej całości. Linja określa zjawisko w najwyższym stopniu zmienne, rozlotne, jednochwilowe, ledwie że rozbudzone, a tuż wsiąkające w ogromne tło wiecznego stawania się“.

Ta plastyka, więcej akustyczna niż optyczna, to bardziej opiewanie niż malowanie krajobrazu, to jeden z naczelných rysów naszej poetki. A taki właśnie przypisuje ton Orzeszkowej w stosunku do puszcy w „Ad astra“. Ona wyczuwa, że dla autorki „Nad Niemnem“ powieść ta jest tak samo pieśnią nad pieśniami, jak dla niej były „Głosy ciszy“ i „Z ksiąg ducha“, że jest to najtajniejsze *credo* duszy, która na życie patrzy ze skrawka wieczności i w półświatle nieśmiertelnych spraw ducha. Dostrzega tę samą ofiarę, jakiej uczyła swoich żołnierzy, ale tu jeszcze wydartą krwawo własnemu szczęściu. „Prawo ofiary, najwyższe z praw świata“, „kocham więc powinnam“ — prostota haseł tych a głębia pokrytych niemi walk i łamań duszy, wysokoskrzydlny erotyzm i ideał w grze w jednym sercu — wszystko to wypełnia po brzegi uniesieniem entuzjastyczną duszę Konopnickiej. A jednak Seweryna jeszcze od niej większa i mocniejsza. Ją zabolalo serce przed Faunem śpiącym, ona miała te struny w sobie, u Zdrojowskiej nie zadźwiękły one nigdy, a gdyby nawet stało się, jej melodia serca jest tak stłumiona dla świata, że niczyje oko nie wedrze się w te tajnie. Konopnicką zniewala, wciąż przykuwa postawienie sprawy erotycznej w tej

powieści. Jeżeli zwykle jej rola krytyczna była rolą muzyka wobec tekstów poety, opiewaniem wierszy, to tu przeciwnie, Orzeszkowa poddała jej pieśń serca, a ona chłonie ją w siebie jak zdrowiodajny powiew. Jako dzieło ducha jest dla niej „Ad astra” ołtarzem, jednym z tych najsilniejszych wrażeń, których kilka widzieliśmy w jej życiu, a nad których błogosławionem wspomnieniem raz na zawsze kładła napis: *ecce anima!*

Niemało charakterystyczne jest, że cała jej pobudliwość artystyczna zamyka się w pewnej nienaruszonej ramie czasowej, nie wykracza poza pewien moment. Żegnając odlatujące wielkie orły ducha, żegna w nich kawał własnego serca poetyckiego, własnej wrażliwości na piękno życia, którem żyła, a którego współczesność nie zastępuje — nie ma czem. Młodszych od siebie w literaturze wcale nie zna, zna dawniejszych i niektórych rówieśnych, tych właśnie, którzy odpływają na czarną rzekę minioności. Do młodszych zwraca się tylko raz z napomnieniem, aby pieśń ich była słowem ducha, nie pieśnią-rozrywką. Że pod jej okiem wyrosły kwiaty nowe, zdaje się nie dostrzegać. W całej krytyce, w studjach i wierszach, poświęconych niezawsze pierwszorzędnym „braciom - pieśniarzom”, o Wyspiańskim, Kasproviczu, o Żeromskim, o Sieroszewskim, o największych, słowa nie znajdujemy. Jakby ich nie było zupełnie. Raz jedyny tylko, użyty w „Rocie” zwrot: „A kiedy zagrzmi złoty róg” dowodzi, że obito się o jej duszę to, czem tak silnie oddychała artystycznie i narodowo Polska w ostatnim dziesięcioleciu jej życia.

Zagranicą ze społecznych odczuła i oddała doskonale Adę Negri, za ideowe pewnie boje, szkoda jednak, że tak zupełnie, ale to zupełnie nie zrozumiała Carducciego, który chyba wszyskciem jest raczej niż dekadentem, śpiewakiem dla zabawy, i który tak gorąco i tak pięknie pisał o Polsce. Jest to, obok Asnyka, największa jej pomyłka odczuciowa, tem tu przykrzejsza, że wyrosła z niedoceniaenia. Mówi o nim zresztą mimochodem tylko: „Giosue Carducci, bóstwo studentów, duch o ciemnych skrzydłach, sławiony, może nawet przesławiony Carducci“ i t. d. Sądzi, że w kilka lekko rzuconych zdań o Odach barbarzyńskich (w znaczeniu barbarzyństwa), o kainizmie, zmieści się ta dusza ogromna, mocarna, tytaniczna, a już przedewszystkiem nie „dusza o ciemnych skrzydłach“, bo buchająca napewno bardziej gorejącem słońcem niż sama Konopnicka. Na jego heljotropizm jest zupełnie ślepa, jak i na pewną równoległość dróg obojga. I on przyszłość narodową opiera na przedłużeniu zasypanej i skrzywionej przez czasy drogi plemiennej i rasowej. Co ona wielbiła w piastowej chacie, tem dla niego drogie było piękno Hellady, powaga Romy, bohaterstwo świata klasycznego i jego święte marmurowe pamiątki. Marzył o wskrzeszeniu słonecznego pogaństwa dusz, które zdrowe soki ciągnęło z wiecznie młodej ziemi. I w imię tej swojej miłości i tęsknoty walczył przeciw średniowieczu, gotycyzmowi i romantyzmowi, przeciw chrześcijaństwu, które odrywa od ziemi, które jest chorobą na zdrowo rosnącym drzewie i sztucznie paczy jego ku słońcu rwące pędy.

Jeżeli dla wskrzeszenia swego ideału Konopnicka wzywa ofiarnika wstępującego pod mistyczne zorze, on nowy ład, nowe szczęście ludzkości zawierzyć chce mocarzom, którzy oddychali aromatem pierwotnej ziemi i z niej wzięli tężyznę ramion. Armje są różne, ale walczą o cel jeden: wolność, braterstwo ludów, równość i szczęście wszystkich istot żywych, o słońce dla wszystkich duchów\*).

Niezrozumienie Carducciego nie jest tak dalece charakterystyczne dla Konopnickiej jak wyniesienie nadmierne innego człowieka, który przy tamtym, przy purpuracie ducha i głosu, wygląda wątłe i anemicznie. To Rostand. Poetka nasza rozpląnięta pisze o jego Bergeracu, tłumaczy go, widzi rewelację w tym „redivivie“ baroku. Dlaczego? Jeżeli określenie trafia, to przez niechęć do jego przeciwieństwa. Na tle modernizmów, dekadentyzmów owoczesnych, tak jej wstrętnych, pojawiła się oto komedja, w której powietrze jest czyste, przejrzyste, historyczne i o subtelnej woni. To jej wystarczyło. Awersja do strony przeciwnej była tak wielka, że kontrastu nie trzeba było okupywać wielkim wkładem ani talentu ani głębi myślowej.

„Otwarto okno i wywietrzono scenę z woni, która uchodziła za subtelną mieszaninę mirry i kadzidła,

\*) Mimo niezrozumienia Carducciego przez Konopnicką i wielkiego rodzajowego oddalenia ich natur twórczych, nie wahałabym się nazwać właśnie tych dwojga największemi talentami ostatnich dziesięciu lat zeszłego stulecia z przeciągnięciem na początek naszego. Mają oni największy w Europie owych lat rozmach duszy, choć on niejako w rzutach miecza poetyckiego, ona w falach serca.



a była kombinacją zapachów alkowy i apteki. Świeży wiatr powiał i odświeżył świat z zaduchu zakurzonej wylęgarni, gdzie hodowano zrodzone bez pory genjusze.... Serce znów bije w piersi a nie w głowie, nikt nie patrzy uszami, a nie słucha okiem. Nikt też, przytknąwszy nos do bagna, nie mówi, że pachnie. Śmierć po dawnemu kosi jak tęgi, pilny żeniec, nie mizdrząc się do ludzi, a ludzie padają jak kłosa, nie wdzięcząc się do śmierci“.

Oto tło ciemne, na którym wszystko odbija jasnością. I tu szukamy wyjaśnienia trochę niemiłego faktu, że ona, ptak o wielkim locie, zatrzymuje się z lubością na tak wiotkiej gałązce jak dusza Rostanda, że przyleciawszy z nadbrzeża nieskończoności, roztacza odświętny pean nad dziełem o stemplu jednodniowego trwania i chwilowych dogodzeń. Dalej, jeżeli nieszczerość modernizmu tak ją gniewała serdecznie, to nie wiem, czy właśnie wiek XVII zdolen był tak bardzo dać jej odetchnienie. Nie pachniały w nim może apteka i alkowa, ale duszące i gęste perfumy po tłumnych salonach, serce, nie ręczę, czy tak samo nie biło bardziej w głowie niż w piersi, a już bezsprzecznie wielkimi zakosami i zakrętami szła droga od duszy do duszy, w meandry, w esy floresy znały się trakty porozumiewawcze między sercami, linja prosta, oskarżona o gminność, została banitką na całe dwa stulecia. A jak róży nawet nie przystało pachnieć przyrodzonym zapachem, tylko ją poetycko skrapiano perfumą, tak serce nie mogło uderzać naturalnym rytmem, ale ujęto bicie jego w figury meuetowe,—ani o włos dalej niż jest nakaz. I chyba

nie mogła Konopnicka, ona zawsze tak nieomylna co do serca, brać za uczucie tego, co było sentymentem-obowiązkiem, nie mogła dać się złudzić amorkom, zdobiącym ściany salonów i wachlarze dam, jakoby wiek i dusze stały pod rządem uczucia.

3.

Zobaczymy teraz jak nasza poetka przebywa z cieniami olbrzymów. Dwaj są, w których duchy wchodzi śmieie i szczęśliwie: Michał Anioł i Mickiewicz. W pewnej mierze sprzeciwia się to mojemu twierdzeniu, że wobec większych od siebie krytyka jej i natchnienie opada. Ale i tu mogę dać jakby uogólnienie wstępne. Z olbrzymami tymi, z wyjątkiem pięknej książki „Mickiewicz, jego życie i duch”, która jest niejako rozmową we dwoje, Konopnicka styka się przez pośredników, i to w obu wypadkach mniejszych od siebie. Do romantyków polskich po łchodzi przez Sarrazina, do Michała Anioła spieszy, jak wiemy, z Klaczką. I właśnie takie towarzystwo działa na nią bardzo dodatnio, zachęcająco, nawet zapalająco, wytwarza w niej pewną emulację, jakgdyby duma kazała jej mierzyć się i przerosnąć.

Zawieszona między Klaczką, t. j. duszą o powierzchni gładkiej i utoczonej wielką kulturą, o zasklepionych wyrównaną myślą głębiach, o spojrzeniu jasnym, śmigłem, ale nie łamiącym zwykłych perspektyw ludzkich, a przepaścistym, wulkanicznym i broczącym krwią męki duchowej Michałem Aniołem, Konopnicka czuje się znacznie bliżej odrodzeniowego genjusza aniżeli jego dzisiejszego „bel esprit”, sub-

telnego i idealnie przez rozmowy nic myśli snującego widza. I z prozy jej może karty pisane pod pchnięciem Klaczki przed duchem Michała Anioła uważałabym za szczytowe co do lotu i namaszczenia tonu. Jako przygrywka niech nam posłuży sąd o Pietà.

„Jeśli to ciało (Chrystusa) było zapatrzeniem się na apollinijską piękność młodzieńczego, promiennego boga starej sztuki, to ból zakłęty w tej grupie, to męka, to rzewność nieskończona była niezawodnie zapatrzeniem się w głębię własnej piersi. To było dobyte na jaw wieków i na oczy świata takich tajemniczych głębin uczuciowych, których istnienia sam mistrz nie domyślał się w sobie i ledwo, że wierzyć mógł, że są w nim, że topnieją w łyżę i w żar, tak były zawsze zamknięte... Z własnej, posępnej, przepaścistej duszy, z duszy najtkliwszej, najrzewniejszej, najtopliwszej z dusz, które się w wewnętrznych łzach topić są zdolne, z tej duszy wy dobył wzór i wyraz bólu—Matki”.

W świetle gigantycznego ducha Michała Anioła patrzy Konopnicka bez zmrużenia w twarz Bóstwa. Jest to ten sam Bóg, którego znamy z jej Biblii, który będzie grał na cierpliwości cnoty, miasto karać krzywdę i ucisk mnożących. Zczasem — dziś nie ma jeszcze areny. Na razie stwarza dopiero przyszłego szerzyciela czy ofiarę ucisku—człowieka. Nie przez miłość dźwiga go z gliny: tworzy przez nadmiar, przez zgęszczenie wewnętrznej mocy, „przez gwałt swego bóstwa”, jak powiada Konopnicka. Wyrzucanie z siebie światów przypomina Konradowe przed improwizacją zbieranie się niezorganizowanych jeszcze pierwiastków burzo-

wych, tylko że tam zestrzelą się one w pioran miłości, tu będą wyłącznie ekspansją siły. Różni te dwa akty ciepłota atmosfery duchowej: gwałt nagiej potęgi i gwałt krwi serca.

Jednak Konopnicka w tej chwili, patrząc w sklepienie Sistiney, inne ma myśli. Idzie jej nie o wykazanie w tak rozumianym Bogu pewnego minusu uczuciowego, jaki musiałyby nasunąć zestawienie Go z jedną z najwyższych chwil człowieczeństwa w bazylijskiej celi, ale raczej o Jego zbogacenie, rozrost, który zawdzięcza duchowi Buonarottiego. Dotąd Bóg u malarzy wcześniejszych, a nawet równiejących Michałowi Aniołowi, dzierżył spokojny królewską władzę na niebiosach. Bóle, burze, ruchy nawet wszelkie gasły, zbliżając się do jego wysokości, jak u Dantego leżała wokół Niego atmosfera jaśnienia i krystalicznej ciszy. Nieskończoność była spokojna jak zamarżnięte morze i inna być nie mogła. Ruch, bodajby jednej drobnej fali, już ją pomniejszał, zbliżał ku człowiekowi, wginał w obręcz czasu. Przyszedł Michał Anioł i władnie przerzucił ból i mękę, niepokój i ruch aż na niebo. Ciche berło zamieniło się w wichrami giętą różgę. A przeto chyba, że on sam, twórcyeltytan, tak tylko mógł czuć tworzenie, jak mu ono rozpierało olbrzymią a wrzącą pierś. Widzieliśmy jak Rafaelowski Bóg przed wzrok Ezechjela, mimo piorunowego ruchu, spływa klasyczny, bo ucieleśnił go genjusz pogody, dla którego realizowanie wizyj nie było bólem. Michał Anioł nie mógł tworzenia rozumieć inaczej niż jako gwałtu. „I my odtąd—powiada Konopnicka—będziemy chcieli tylko tego Boga, który

cierpi gwałt Bóstwa swego, tego Stwórcę, który cierpi gwałt swych potęg, póty, póki ich piorunową mocą nie wyzwoli z siebie, w naturze, we wszechświecie”.

Jej natura osobiście takiego tworzenia i twórcy nie wymaga, to też patrzyliśmy, na jakie drogi błękitne odpłynął jej „Mistrz” w „Księgach ducha”. Ona raczej spółczuje temu Bóstwu o piorunowem wnętrzu. W swoich społecznych ku Niemu podlotach rozbijała się boleśnie o spokojne Jego królowanie, to też bliższy jej tęsknocie i ludzkiemu czysto stanowisku jest ten Bóg Michałaniołowy, potężny, olbrzymi, ale cierpiący, niemal tragiczny, władca tem samem krewny poddanym, kłęb niejako ludzkich uczuć, iskra wnętrza człowieczego, rzucona na niebiosy i tam rozgorzała w nieobjęte słońce.\*)

A teraz stosunek sykstyńskiego Boga do człowieka w interpretacji Konopnickiej:

„Z ziemi wzięty” jeszcze leży na niej, jeszcze się nie oderwał od jej macierzystego łona, jeszcze tkwi w niej przewagą materji, jeszcze drzemie w prastarej, doskonałej z nią jedności. Nagle ruch, drgnienie, dech od nieba do ziemi: To Bóg, to Jehowa tchnie w tę glinę dech żywota. A glina porusza się, dźwiga, żyje... Bo to nietylko akt stworzenia pierwszego człowieka. To jest nawiązanie magnetycznego węzła między nim a Bóstwem. To jest inscenizacja nadzwyczajnego dramatu, nadzwyczajnej tragedji raczej, jaka się odtąd odbywać będzie mię

---

\*) Przypomnijmy sobie w czasach warszawskich jeszcze chwilę przypuszczenia, że i Bóg ma noce bezsenne, kiedy duma na gwiazdach wsparty.

dzy człowiekiem a Bogiem. To jest nadanie tego *glebae adscripti* całym królestwem zaziemskich tęsknot, zaziemskich wizyj, zaziemskich nadziei... Nie znam potężniejszej koncepcji ducha ludzkiego, szukającego wyrazu na początku swoje, i fresk ten, stworzenie Adama, to ołtarz, przed którym modlić się mogą wszystkie religje świata i wszystkie filozofje świata. Wdzięk Ewy, rozpacz wygnania, pomsta potopu nie mogą zatrzeć tej wizji, tych dwu rąk wyciągniętych ku sobie, rąk, z których jedna nie chce posunąć się dalej, a druga nie może... Mnie się zdaje, że jeżeli Bóg żałował czego z owych pierwszych momentów swego dzieła, to właśnie tego, że jeszcze trochę, jeszcze odrobinę dalej nie posunął palca swego ku palcowi Adama. Wszyscy prorocy, Sybille i t.d. na sklepieniu widzieli palec ten znacznie bliższym sobie, niż go widział Adam. I w nich to właśnie Bóg naprawiał to, co sobie o człowieku, o tym w pół-podniesionym z ziemi ku nadziemi powiedzieć musiał: „Skrzywdziłem tę glinę”.

4.

Ze wyścig z Sarrazinem był dla Konopnickiej łatwy, rozumiemy, ale też wyzyskuje ona sytuację jak najpełniej. Im on mniej jest w mocy pojąć jakiś punkt czy dzieło genjuszów naszych, tem ona niedobór jego bogatszą i piękniejszą szatą okrywa. Jakież wspaniałe np. owo dwa razy już potrącone preludjum do Improwizacyj:

„Myśli ulatują dopiero z duszy, nietknięte jeszcze kształtem ani brzmieniem. Czucie zaczyna dopiero

krążyć po swoich niewidzialnych cieśniach... Intellek chodzi jakby po zaułkach duszy ostrem, natężonem światłem, bystry, czujny, niemal chłodny. Przegląda, opatruje swe bronie, swe moce... Zwolna, majestaticznie, szerokimi rzutami apostrof wznosi się orzeł na potężnych skrzydłach... Wielkie, niewyśpiewane, niezrodzone pieśni, te pieśni, których żaden śmiertelny nigdy nie usłyszy, odrywają się od twórczego ducha. Nazewnątrz niego toczą się, pałają, dźwięczą..“

Zapewne, że tak pisać i tak czuć nie jest dane każdemu „krytykowi z zawodu”. Tak przeżywa to ktoś, w czyjej głębi tak samo odrywają się od kosmicznej mgławicy kawały miazgi twórczej pod przyszełe globy, kto z własnego doświadczenia zna mękę ich dorywania się do kształtu i dźwięku. Albo jakie proste a jak w całej mierze obejmujące określenie Pana Tadeusza:

„Kawał ojczyzny, wyczarowany z serca poetytułacza.. To, co było przytulone do piersi poety, jak relikwia, wzięta z rodzinnego domu, okazało się szerokim obrazem życia narodowego, pierwszorzędných historycznych zdarzeń. Okazało się, że kometa, która stała nad soplicowskim dworem, obróciwszy na północ swą ognistą głowę, trzy czwarte Europy nią zakryła”.

Sarrazin nie zrozumiał Beniowskiego. Konopnicka znowu w swoim sprostowaniu daje parę krótkich taktów pięknej melodji własnej:

„Bo gdyby znał, pytam się, czy mógłby nie drzeć cały od szalonej wibracji tych dwu razem u serca poety naciągniętych strun, z których każda gra

z osobna pieśń swoją, jakąś ogromną fugę, w której razem grzmi organ i flet spiewa razem, w której trąby i bębny wrą a jęczy wiolonczela, pieśń, która pędzi na złamanie karku przez kraje wojny, miłości, rozterki, przez kraje wzgardy, uniesień, goryczy, wprost na przepadłe, na zerwane i na właśnie nie mogące być skończonym”.

Prawdopodobnie niepowodzenie Sarrazina co do Beniowskiego było ostrogą dla Konopnickiej, aby samej zmierzyć się z ową fugą dwu melodyj, ale z tego potężnego wyścigu dwu strumieni rozpalonej lawy wyniosła tym razem dość suche jak na nią, bezdźwięczne i matowe studjum, nie rzucające żadnego błysku ani na jej ani na Słowackiego duszę. Nie chcę brać zbyt skrupulatnie własnej uwagi, że może w tej chwili brakło jej trampoliny, bezpośredniego punktu odbicia, że zaczynała nie od kogoś, ale od siebie samej.

W krytyce Sarrazina zato ciekawe jest i zupełnie swoiste jej zestawienie Konrada z Anhellim:

„W potężnej, namiętnej, ale nieskomplikowanej duszy Mickiewicza odegrał się jeden tylko dramat: Konrada. On go tworzył i przeżywał razem. Pojedyncze sceny dramatu tego rzucone są na całej przestrzeni Mickiewiczowskiego dzieła, prometejska treść całości jest ta sama. I osoby są te same: ojczyzna i duch poety. Bez względu na różność miejsc i różność czasów wielki ów dramat ma w sobie doskonałą jedność, o jakiej świat klasyczny pojęcia mieć nie mógł, jedność miłości, natchnienia i czynu. A to począwszy od bazylijskiej celi aż do owej mszy po-



lowej w Burgas, przy obozowym ołtarzu z bębnow i lawet uczynionym, w której było ostatnie podniesienie kielicha męki i ofiary. Zaczem zapadła zasłona. Ale dramaty Słowackiego odgrywają się czas długi poza nim, gdzieś na rubieży wieków, na rubieży ludów, na rubieży wyobraźni i rzeczywistości. Jedyń ich jedność stanowi genjusz poety”.

A dalej tak:

„Cierpi Konrad i cierpi Anhelli. Wszakże Anhelli ma przed sobą cały niezmierny obszar narodowego cierpienia, wielkie przestrzenie ziemi mogli i ziemi wygnania. Ma więc możność rozłożenia ciężaru swej męki, tak że żaden z jej momentów nie może być dla niego momentem śmiertelnym. Przechodzi on cały obszar dantejski zwolna, prawie że qeznamiętnie. Zdawać by się mogło, że nie cierpi sam, lecz tylko na cierpienie patrzy z niebieską ciszą rozpaczy. Te wielkie, śnieżne przestrzenie pochłaniają coś z żarów tej męki, z płomienia buntu. Konrad przeciwnie. On wszystkie cierpienia ma razem wbite w jedno własne serce. Jest to piekielny i męczeński nabój, którego całą siłę czuł Konrad, wołając „strzele!”. Ale na ową siłę napięcia oddziaływała nie sama przestrzeń tylko. Oddziaływał czas także. Anhelli miał ten czas przed sobą, długi, ślepy czas, którego chwile padają jak krople roztopionego ołowiu na żywe serce, ale między jedną kroplą a drugą jest jakaś przerwa męki, jakaś cisza. Ale Konrad ten czas zostawił daleko za sobą. On wie, że „dziś jego moc się przesili”, że bicie jego serca liczy minuty wieczności, że ta piorunowość przesilającego momentu

jest jednym więcej dociśnięciem korby w napięciu śmiertelnego łuku. Więcej jeszcze. Anhelli nie był sam. On spotykał w swej drodze tłumy skarżących się i płaczących ludzi, którzy też część ciężaru męki na sobie dźwigali. Anhellego wiódł Szaman. A kiedy odszedł na północ, była z Anhellim Ellenai, która go rzucić nie chciała. Otaczała go przytem natura, jakakolwiek ona była, wśród niej przecież żył i oddychał, na nią patrzył. Były śniegi, były gwiazdy sine, były łuny polarne, były reny. Ale Konrad jest sam. A nie tylko jest sam, ale „poza granicami świata”. Było to więc straszne sam na sam z męką, z rozpaczą, z żarem pożądań i z — Bogiem”.

Co nas w tej chwili obchodzi Sarrazin i jego dla nas, polaków, conajmniej płytkie, bo ze słuchu brane i tylko wierzchami duszy i twórczości polskiej ciągnięte studjum? Czujemy, że Konopnicka prowadzi nas szeroką gwiaździstą drogą poezji i to gdzieś bardzo blisko samego serca Polski, jej idei, jej prawdy, jej tajemnicy. Weźmy jeszcze jedno zdanie, ciekawe ze względu na samą poetkę:

„Bóg sam pożałuje tego, co uczynił ze mną— mówi Anhelli, a jakiś dreszcz wieczności czuć w tem łowie. Bo gdyby tak naprawdę Bóg miał pożałować tego, co uczynił? . Więc jakaś pomyłka, jakaś krzywda, jakaś wina? Otóż ten żal, ta możliwość żalu w uczuciu Boga, to jest przecie okropne poprostu! To mrozem idzie aż do szpiku kości. To sięga przez wieki, przez światy, przez wszystkie atrybucje Bóstwa, aż do samej zatajonej istoty Jego i jakiś straszny tra-

gizm w niej odkrywa. Tragizm rzeczy, które się stały, a które odstać się nie mogą”.

Tak jakby Konopnicka nie pamiętała, ogarnięta dreszczem trwogi, że sama kiedyś, patrząc na sklepienie Sykstyny, zauważyła ów zamało wysunięty ku glinie palec boży. Nikt jej tam tej myśli nie podał, ona sama tak tę chwilę odczuła i pewna jest, że Bóg żałować będzie, iż palca bardziej nie wysunął. Tu, z Anhellim, jest przecie późna bardzo pomyłka, w stosunku do jednego narodu, do jednego może tylko ofiarnika, a tam na samym początku, przy *in-troit* całych dziejów, przy najpierwszem, najszerszem zakresie planu. Nie można zupełnie zestawiać tych dwu błędów i dalekonośności ich skutków: pierwszy mieści już w sobie, rzecz prosta, i drugi.

Może być tylko, że wtedy, pod dyktandem duchowem Michała Anioła, w podziwie dla Bóstwa, czującego gwałt swojej potęgi, taka omyłka nie była rażącą dysharmonją. Z chwilą, gdy Bóg ruszony jest ze sztywnego tronowania, już są w Nim myśli, są posunięcia i cofnięcia (bo czemże myśl jest innem?), już niema konieczności. Z chwilą, gdy Bóg jest dramatyczny i cierpiący, musi być w Nim samym źródło tego cierpienia. Konieczność, automatyczność niejako, ustaje, inaczej wróciłibyśmy do pokonanego bezruchu. Zresztą jej Bóg, który pyta, kto tam w Jego ciche noce do gwiazd kołacze, albo gorzej jeszcze, który w jej Biblii mniema, że do Jego nieba pukają namiestne Jego i setniki, a otworzyć musi złotym kluczem prostym, polnym rzeszom, przecie ten Bóg też się przeliczył, też się dziwi, też nie ma wszechwiedzy. Niedobrze

więc odczuwam, dlaczego w tej chwili tak się prze-  
raziła poetka.

Uderzające jest, że duch, któremu najwięcej  
zawdzięcza Konopnicka, niekiedy wprost jako spadko-  
bierczyni jego tonu, nie otworzył się jej zwycięskim  
wniknięciom, których stanowczo w kilku momentach  
dokonała ku dnu duszy i dzieł Mickiewicza. Jako kry-  
tyczka,—a pamiętajmy, że nawet jej *sui generis* krytyka  
wymaga rozdzielenia świadomości własnej na widow-  
nię i scenę, na odczucie i swój do niego stosunek—  
nie zbliżyła się Konopnicka do Słowackiego z żadnej  
nam wszystkim nieznannej lub niedostępnej strony.  
Ani w cząstce duszy swojej nie przeszedł on do na-  
szej ogólnonarodowej własności poprzez nią. Dała  
o nim parę zdań bardzo pięknych, bardzo poetycz-  
nych, zdań-perał, i tyle. A z nich najpierwsze jest  
to, które układa się u stóp Króla Ducha, gdyż deszcz  
jego skier czerwonych padł na tak jej drogą mistycz-  
ną ziemię. Zapomnijmy o Sarrazinie i posłuchajmy  
muzyki jej duszy:

„Słowacki pierwszy... oznajmił, że nie jesteśmy  
już niewolnikami Ducha, ale rycerstwem jego”. Nie-  
wolnik na rycerza pasował się, rzecz prosta, w jej  
oczach, kiedy, zamiast wiary, ściskającej go nakazami  
i głoszącej *a priori* jego los, zaledwie się na ziemi  
ukazał, od owej niezapomnianej sceny zetknięcia się dwu  
palców, — przejrzał prawdę, że dola będzie jego  
dziełem własnym i że zgóry w ramy żadne ściskać go  
nie wolno. I dalej: „Król Duch, Duch Polski, gwał-  
townik królestwa bożego, kat gliny wiążącej w sobie  
nieśmiertelne siły, wódz drużyny pasowanej męką na

dziejowe życie. Pomysł olbrzymi, ognisko natchnienia rozpalone szeroko, niebosiężne, przy którego krwawej, przeraźliwej łunie uczyniły się widne pierwsze wiązania ojczyzny i narodu. Król Duch — tors niewykończony, zamachem śmierci rozbity, po którego boskich linjach długo my jeszcze—Winckelmany ślepe— w oczarowaniu będziemy wodzili drżącą i niepewną dłońią, odgadując skroś ich nieśmiertelnego piękna straszliwą potęgę ducha, który się w nich przed nami zawarł i zataił”.

Powiadają, że Krasińskiego Konopnicka nie rozumiała. Rzecz pewna, że jego duch dał jej najmniej, że przestawała z nim najrzadziej. Jednak w tem samem studjum o Sarrazinie wypowiada o nim bystry sąd: „Świadkiem oddalonym i samotnym, świadkiem nieobojętnym, owszem, rzucającym ostrzegawcze hasła tym, którzy walczyli, jest właśnie Krasiński”. Doskonale! Konopnicka nie daje się złapać na jego słowa o czynie, które oszołomiły tylu krytyków; przeciwnie, wyczuwa niezbitcie dalekość, odsunięcie od czynu, odległość od walczących. „Nietylko przez wyjątkowe położenie swoje, ale i z natury umysłowości swojej jest Krasiński w epoce swojej wielkim samotnikiem. Jest samotnikiem, czuwającym na wysokiej strażnicy ducha, wpatrzonym w tragiczne falowanie życia i ostrzegającym uspionych, że morze wzbiera, że wały swe toczy, że za chwilę śmiertelnym gwałtem o brzegi uderzy”.

To wycucie daje Konopnickiej jej nieomylny instykt społeczny, który trafia zawsze do ludzi czynu i do budowniczych przyszłości. Jest ona tu bar-

dzo bliska prawdy, choć może jeszcze na krok przed nią przystaje, tj. że Krasiński ostrzega a nie prowadzi, bo czuje lęk przed pewną kategorią zjawisk. On nie śpiewał nigdy Ody do młodości jak Filareci, nie potrzebował pędu jak Farys, nie wyzywał jak Konrad, nie rzucał się na morze jak zdobywca, bo się morza bał, czuł, że przyływ go zaleje. Jest to ta sama ocena w załączku, którą Słowacki imperatorsko zamknął w rękawicy: „A ty zląkł się, syn szlachecki!”

Najwyższe, najgłębsze, znaczone najczulszem oddaniem, splecione z kultu i z miłości, z dziecięcego przywiązania, które patrzy bardzo w górę i z siostrzanej tkliwości, która przedmiotu kochanego szuka tuż koło siebie, wzruszające tedy i wielkie jest uczucie Konopnickiej dla Mickiewicza.

„Ślimaki my, że po takich pieśniach śmiemy pełzać dokoła samolubnego, bezcelowego istnienia naszego i nazywamy to pełzanie pieśnią naszą, my, którym także znaczył się lot górny. I krety my, że widzimy wszystkie nędzy życia, oprócz tej jednej właśnie, prócz nędzy bezcelowości jego. Nie zostanie nic po nas, tylko ta grudka rozkopanej ziemi, którąśmy ślepo ryli na mogiłę życia. Przepadną, przebrzmiają nasze pieśni piękne i nasze pieśni wymuskane, strojone jak zalotnice, szukające komuby się sprzedać. Przepadną, zginą nasze kwilenia i wzdychania, bo nie umiemy westchnąć do żadnej prawdziwej wielkości życia, do żadnego prawdziwego szczęścia. Przepadną, w bagno wsiąkną wszystkie nasze płacze, bo niema w całym ich zdroju ani jednej łyżki wielkiej, męskiej czy niewieściej, nad samymi sobą!”

Oto wymierzenie odrazu różnicy wysokości życia i ducha między nami a Filaretami, bo o nich to właśnie mowa. Ale gdyby się zapytać poetki, co jest tą świętą wielkością, tą wysokością, odpowiedziałaby, że nie wzbijanie się ponad życie, ale zbogacenie jego brzmienia w sobie. Mówiąc o Mickiewiczu jako o genjuszu, rozumie przez to wewnętrzne w duszy wzmoczenie ludzkości. My, tłum, istoty przeciętne, jesteśmy jakby zrutynizowani, zmaszynowani, zamało mamy czucia, by niem cały rozmiar życiowy wypełnić, musimy oszczędzać, ekonomizować, posługując się schematami. Genjusz natomiast w żadnej chwili życia nie jest skrótem, jest pełnią. To co go różni od nas, to nie jakaś siła piorunowa, rzucająca się nań z zewnątrz (niech nas nie łudzi pozorne brzmienie przytoczonej cytaty o poecie w chwili natchnienia), to nie cud, który dorzuca się do gotowej już całości, i który, gdyby odszedł, genjusz zrównałby się z nami. To nie stojąca każdemu na oku korona drzewa ludzkiego, wierzchowie, gałązki, kwiaty, o indywidualnym, znikomym bycie, to sam najgłębszy i najtajniej ukryty korzeń rośliny, to co gdzieś nisko pod ziemią jest nam wszystkim wspólne, czem się cała ludzkość zrasta ze sobą. Tylko że z nas nikt spuścić się nie może tak głęboko, dno zwykłej istoty człowieczej leży znacznie wyżej; u genjusza, jak Mickiewicz, żywe są i pulsujące te pokłady, które dla nas giną już w pasie nieświadomości i drętwy. To też u niego jest niejako czuwanie przy innych śnie. Bo wszystko w nim, każdy wyraz, każdy ruch bije z tych właśnie pokładów, i dlatego ogarnia

zawsze całą istotę ludzką, jest powszechny i niezmiernie prosty, bo spólny. Każdy z nas ma to w sobie i mieć musi, ale nie dojdzie tam, musiałby młotem uderzyć o głucho dno jednostkowej świadomości swojej; poznaje siebie, dociera do siebie tylko przez zwierciadło genjusza. I jest jeszcze genjusz duszą o powierzchni wulkanicznej i gdy w samym środku jego globu poruszają się tajne żywioły, płomień ich rozrywa skorupę i ognistym słupem bije w niebiosy.

Nie ulega wątpliwości, że ze wszystkich genjuszów ziemi Konopnicka najgoręcej czuła Mickiewicza i Michała Anioła, przez to, że w obu uderzył ją ten kierunek natchnienia wyraźnie odśrodkowy, owa wybuchowość z tragicznie niskiego dna natury, owa powierzchnia najbardziej i najboleśniej ludzka nad głębią wichrów i bałwanów.

Patrząc na dzieła Mickiewicza, dzieli je na dwie kategorie. Pierwsze, których łańcuch zaczyna Grażyna, mają za herb rodziny piękno, drugie są ogniwami całozyciowego konradowego dramatu.

„Jako utwór poetycki Grażyna stoi w jednym z dwu wybitnie różnych szeregów dzieł Mickiewicza. Stoi w szeregu dzieł, stworzonych, że tak powiem, nazewnątrzą duszy poety. Jak inne pokrewne jej dzieła, ma pewną właściwą sobie, mniej więcej doskonałą linię rysunkową, posiada świetność barw wyobraźni poety, ma i piękne światła i tajemnicze cienie, któremi posługiwał się poeta w dziełach szeregu tego z właściwym sobie mistrzostwem, co wszystko razem wzbudza w nas podziw i napełnia nas estetyczną rozkoszą. Ale po drugiej stronie stoją dzieła



jakby nawewnątrz ducha jego poczęte i wichrem natchnienia wyrzucone z piersi. Nie mają one częstokroć tych barw, tych światła, co pierwsze. Nie mają nadewszystko linii. Zwichrzone, na pozór bezładne, uderzają na nas jakąś ogromną, pierwszorzędną, żywiołową siłą, zaledwie osłonioną w słowa, — siłą potężnych twórczych bezpośrednich natchnień, która to siła porywa nas, udziela się nam, zespala z nami i we własną pierś naszą tchnie swoje płomienie. Te dzieła to potężne hymny ducha nieśmiertelnego i tworzącego nieśmiertelność. W pierwszych poeta daje nam skarby swoje, w drugich samego siebie”.

W dziełach pierwszego szeregu Mickiewicz jest, według Konopnickiej, poetą, w drugich wieszczem. Datą narodzin wieszczka jest Oda do młodości. Odzie poświęcone jest studjum osobne, które uważam za słabsze, gdyż Konopnicka stara się tu o analizę, a ona analityczką być nie umie. Najpierw czyni z Ody okruch, kruszynę, i tę kruszynę dopiero rozbiera, czem sobie niepotrzebnie sama utrudnia zadanie, kiedy zwykle, nawet dla syntezy, gdzie tego wygoda nie wymaga, jądro, plazmę środkową, dla własnych robót warjacyjnych powiększała. Ody właściwie niedoceniła. Czyni ją wiosenną, stojącą na uboczu i przyświecającą przy pracy ludziom spokojnym. Nie jest Marsyljanką, pieśnią bojową, „nie wyczuliby w niej bratniego dźwięku ludzie odgrywający na arenie świata jakieś tragiczne role”. Jest pieśnią zapału, ale zarazem jest pieśnią pogody. To wszystko, co o niej powiedzieć można.

Ciekawsze jest umieszczenie Ody w biograficznym porządku trzech lotów, jakich dokonał jej twórca. Pierwszym i młodzieńczym była właśnie ona, drugi to Farys, „syn pędu”, który leci przez step bez celu, poto tylko, aby biec i zmęczyć się. „Jakoż popędził Farys nieśmiertelną drogą samego poety, unosząc z sobą w tym biegu nadmierny pęd natchnień jego. Popędził bez celu, dla samej rozkoszy zużycia sił, które mu się stały męką, popędził w jednej z chwil, w których poeta woła: „Potrzeba mi lotu!”. Trzecim biegiem będzie bieg Konradowy.

Przesuwając się poprzez dzieła, rzuci Konopnicka, to tu to tam, takie właśnie zdanie zdobywcze, wcinające się w ducha uwielbianego, a przynajmniej wypuklające te miejsca, które dla naszych oczu były płaszczyzną. Takim naprzykład zdaniem dużej ceny jest słynna obrona Wallenroda: „To nie apoteoza zdrady, to jej tragizm”. Albo takie o Tadeuszu: „Nie mamy w naszej literaturze, a i w innych, poza opowieścią Franceski w Boskiej Komedji, szukałibyśmy daremnie tak skoncentrowanego, tak pełnego dramatycznej siły obrazu miłości, jak ten, który stworzył Mickiewicz w spowiedzi Robaka”. Albo związane a plastyczne, takie które zostanie w pamięci, ujęcie stosunku Towiańskiego do Mickiewicza. „Towiański wszedł z doktryną swoją do ducha poety, tak jak wchodzi górnik z zapaloną lampą do zamkniętego już oddawna szybu. Buchnęło płomieniem powietrze szybu od płomienia lampy. Górnik uszedł a szyb gorzał”.

Głównie jednak Mickiewicz dla niej, to Mickie-

wicz Dziadów, utworu, w którym właśnie najmniej daje skarbów swoich, a najwięcej samego siebie. Dziady wileńskie przymierza odrazu do Boskiej Komedji: „Poeta tej miary, potęgi wprost dantejskiej, już po pierwszych szerokich, też dantejskich rysach, pozwolił odlać się w niektórych momentach w formy, które materja ta widocznie rozpiera”. Mówiąc o stosunkach filareckich, Konopnicka je młodym swoim duchem spółprzeżywa, a w dramat z Marylą wchodzi ogromnie subtelnem, prawdziwie kobiecem spojrzeniem. Przez wszystkie wileńskie fermenty przeciąga własną nić, stając w ostrym sprzeciwie z krytyką zawodową, jako siła odkrywczą. Polemika jest jednak zbyt drobniawa, abym ją tu przeniosła.

Z Improwizacją styka się często, a przychodząc do niej w studjum swoim od ciepło odczutyh i ciepłem słowem malowanych czasów rzymskich, widzi przede wszystkim olbrzymie osobiste *crescendo*, wzbieranie mocy pod tę niesłychaną godzinę. Jawi się ona przede wszystkim jako najwyższa tragedia miłości. Nie odczuwa jej Konopnicka jako objawu zarejestrowanego w dziejach ducha między wyrazy zatargu, buntu, wyzwania, ona widzi tylko z jednej strony wulkan twórczy, jaki opisała w Sarrazinie, z drugiej kochające serce, oblane najkosztowniejszą krwią.

„Kochać tak, tak miłować i czuć i pożądać, a nie mieć sposobu na to, aby ten objęty ramionami i przyciśnięty do łona przedmiot miłości mógł być dźwignięty i szczęśliwy, oto najwyższa, bo wyższa od prometejskiej kolizja”.

Prometeusza bierze poetka wyraźnie od zewnątrz,

od fabuły, od czynu, od faktu, od ludzi, widać to po jej własnym Prometeuszu i niewielkim stopniu napięcia jego męki, w której świadomość sprawiedliwości czynu daje mu moc i odporność. Konrada zaś bierze od wewnątrz, od jego przeżyć i przeboleń, a nie od widoku, od ważności i kategorii samego czynu. „Taka walka i takie wyzwanie, jakkolwiek się rozstrzygnie, jakkolwiek się skończy, przegrana może być tylko dla ducha, co do niej stanął. Ale dla tych, w których sprawie stanął, wygrana być musi”.

---

#### ZAKOŃCZENIE.

Droga nasza wzdłuż biegu ducha Konopnickiej skończona. Linją krętą może,—bo prosta droga przy hoku większych duchów jest dla mniejszych uciążliwa i trudna,—skracaniem jej czasem, czasem oddaleniem się, aby się zanurzyć chwilowo w gąszcz zagadnień ogólnych, pozornie nawet tracąc z oczu jej postać, ale tylko pozornie,—przeszliśmy te lat zgórá trzy dziesiątki wielkiego wieszczego trudu. Czy wynieśliśmy światółko jakoweś, czy zbliży się przez nie rozumieniu naszemu jej poetycka postać? Trudno było obejść się bez wszelkiego materiału osobistego, bez jej własnych słów, mówionych bez kontroli, w chwilach swobody, nie twórczej służby. Ani o jeden wyraz, ani o jedną kreseczkę mój materiał rozporządzalny nie przerastał tego, co jest własnością ogółu: samych dzieł. A wobec nich pozostawiona byłam sama sobie.

Mało znalazłam myśli cudzych, na których czułabym potrzebę wsparcia się z przekonaniem, że trafiłam na granit. Są przyczynki, są rzeczy mniej lub więcej osobiste, są luźne, często za łatwe stosunki z jej duszą. Stałam trochę pod lękiem jej własnego ostrzeżenia o górniku, który wchodzi do szybu twórczości poety ze światłem własnej, u piersi uczeptionej latarki.

Jedną tylko miałam myśl przewodnią i tej pragnęłabym bardzo, aby w książce stało się zadość. Może z żadnym poetą w Polsce nie załatwiono się tak schematycznie jak z Konopnicką. „Była poetką nędzy społecznej, orędowniczką ludu”. Na tem tle krzewiły się sądy partyjne, ideowe zapały, albo stronicza krytyka, i zadanie wobec jej duszy było skończone. Jej „społecznictwo” starałam się rozciągnąć do stanowiska wyższego, wywikłać z lokalnych i czasowych kwalifikacyj i przedstawić jako pewne stanowisko filozoficzne wobec bytu samego, które człowieka jako takiego czyni ośrodkiem spraw świata. Ale ten punkt widzenia nie wyklucza rysu, który dla natury jej talentu uważam za podstawowy i najbardziej uderzający. Jest nim ogromna rozwartość jej ducha. Nietyle głębia — owszem, jej wdarcia głębsze były przeważnie z pochodzenia intuicjami—ile tylko ta ogromna wrodzona roztworzystość. W szeroki horyzont, właśnie przez brak głębszych, myślowych przerznięć i załamania, wszelki materiał, choćby najróżnolitszy, wchodzi zgodnie. Jej świat to jakby krajobraz widziany z pewnej wysokości, taki jaki bywa np. dla lotnika: optycznie się spłaszczają, wieże, które dla patrzącego

z dołu, bodą niebo, tu niejako wysysają się w otoczenie, niema iglic, stromości, kolców. W ramionach szerokiego kąta stoją: i liryka najgłębsza, i epos w stylu większym\*), i epos o złotym uśmiechu, i mistyczny błękit, i wysoki patos, i prostota sielska, obok klasycznych kształtów, obok szerokiej i mocnej społecznej fali i koło czysto teoretycznych usiłowań literackich w krytyce. A każdy z tych punktów ma swoją wagę, nie jest tylko mdłym przepływaniem nad różnymi widokami.

Najpierw epos.

Pan Balcer ma niewątpliwie swoją dziejową pozycję w historii tego rodzaju twórczego. Źródło eposu leży na wysokościach między bogami i nie spływa długo na doliny ludzkie. Najniższym punktem dotyku epopei pierwotnej jest heros i to bez względu na strefę poetyckiego kwitnienia, czy będzie nią podzwrotnikowy Indostan, czy lodowata Islandja, czy ulubienica słońca, Hellada. Głos bogów, herojów—tylkość synów bożych — i królów, szczytów ludzkości, to jedyna mowa epopei. Tworzy je lud, ale sam siebie poetycko ignoruje. Epos chrześcijański schodzi o jeden stopień niżej. U pogan wojownicy walczyli dla spraw swoich ziemskich, ale w walkę wplątani byli sympatją i czynem bogowie. U chrześcijan rola Boga i Jego aniołów zmniejsza się poetycko, zato rycerze walczą w sprawie niebieskiej przeważnie

---

\*) Może charakterystyczne jest dla poezji polskiej, że posiada epopee piór kobiecych. Obok Konopnickiej trzeba wspomnieć Deotymę i jej wielkie poematy historyczne.

i pełni są bożego ducha. Natomiast pochodzenie królów i palatynów przestało być boskie i ku ich wysokości można się wznieść od strony ziemskiej. Nie mogąc postawić akcji na wysokości nieba, epos chrześcijański średniowieczny osiąga ją przez mocny nacisk na oddalenie czasowe, przez zasunięcie w wieki, gdzie tylko tęsknota się wrywa, i dlatego owiany jest poezją minioności, nieodzowną, aby otoczyć aureolą materiału rycerski, to znaczy już naskroś ludzki.

Ta odległość, znana zresztą i starożytnym, staje się obowiązująca już na zawsze. Wyłamuje się z pod niej jeden Dante, który daje poprostu epopeę aktualności. Ale wyłamuje się tylko prawem geniuszu, tak jak tylko tem prawem wsuwa Bóstwo samo w ramy opowieści, zasypanej rzeczywistością, konkretnym i indywidualnym materiałem ludzkim. Obcięcie linii czasowej w Boskiej Komedji ma jednakowoż rekompensatę. Jest nią dalekość, większa niż dwu epok dziejowych i równie niepowrotna: odległość dwu światów, żywego i zagrobowego.

Ogromnem zejściem od górnych namaszczeń do żywej ludzkiej mowy eposu były poematy odrodzeniowe o Morgancie i Orlandzie z arcydziełem Ariosta jako koroną. Codzienny człowiek, dusza życia wrywała się już przez szczeliny oktaf jego, jak morze zatokami, wgłębieniami wrywa się w ląd. Droga dla Byrona i dla Słowackiego stała otworem.

Ale może nigdzie nie widziała ziemia tak ludzkiego, tak naturalnego eposu jak w Słowiańszczyźnie. Rosyjskie byliny, a przedewszystkiem szlachetniejszy od nich tonem poemat serbski, to zupełnie dokument

życiowy, dokument dnia narodu i ludu. Są tam bohaterowie wielcy i ukochani od wieków, Łazarz, Marko, ale nie wynosi ich ponad nas niedościgłość czynów, zbliża ich właśnie ku naszym sercom i ramionom ich los nieszczęsny, tylekroć męczeńska śmierć. To nie ton surm, które są przeważnie głosem narodów chełpiących się sławą spomnień swoich, to raczej rozszerzone skrzyпки ludowe, to łzy, to narodowa tęsknota i cierpienie. Wyjątkowa to tkanina dla natchnień epicznych i tak nieomylnie słowiańska.

I tu, na takim tle, rysuje się największy epos słowiańskiego świata—Pan Tadeusz, też rozszerzona, zorkiestrowana najrzewniejsza nuta serca, nie trąby zwycięskie. A poemat Mickiewicza niezwykle jest i przez to jeszcze, że jak Dantego arcydzieło, jest lepieniem kształtu epicznego wbrew wymaganiom perspektywy, z materiału aktualnego, tu i tam z przeżyć własnych, z ludzkich znajomości osobistych, ze spomnień młodości, prywatnych i politycznych, dwu poetów, dożywotnich wygnańców z opiewanej i tęsknotą wskrzeszanej ojczyzny. Na wielkich schodach od bogów poprzez herojów ku ludziom Pan Tadeusz stanowi ważny etap. Są tu wprawdzie bohaterowie narodowi, Dąbrowski, Kniaziewicz, ale ulotnie, bokiem, centrum akcji zajmuje zwykły, szary śmiertelnik, drobna, historycznie bezimienna szlachta. I już im nie nadaje indygenatu eposowego dantejski widok z jednego na drugi brzeg Acheronu: żyją, a my patrzemy w sam środek ich codziennego życia.

Od Pana Tadeusza został tylko jeden krok do zrobienia, aby stanąć u barjery, u kresu drogi. I te-



go kroku dokonała Konopnicka w Balcerze. Jak był odskok od poprostu ludzkich, ale w chwili narodowego bohaterstwa widzianych i przez to powiększonych rycerzy serbskich do prostej szlachty w Tadeuszu, od historycznego Kosowego Pola do prywatnego dworu w Soplicowie, tak był jeszcze jeden odstęp: od zaścianków szlacheckich do wieśniaczej strzechy, zaczem historia spuszcza się od Olimpu czy Ety, od szczytów Himalajów się zamknie, jesteśmy na samym poziomie, uderzamy o dno. Niżej zstąpić niepodobna, demokratyzacja eposu stała się ciałem.

Balcer jest epopeą bez wydarzeń, bez bohatera nawet. Bo, ściśle określając, bohaterem trzebaby nazwać sam los chłopski, nie żadnego z emigrantów którzy mu ulegają. Jest to epos doli wieśniaczej w pewnym fragmencie, epos odlotu plectwa. Pan Tadeusz pozornie nie stoi stąd daleko, ale pozornie tylko. Bo choć osobiście żaden z bohaterów jego wielkiego czynu narodowego nie dokonywa, małe tony, dusze nie na miarę Fidjasza, zbierają się przecie w jedną potężną melodię roku 12-ego. Idzie się w legjony, w wiosnę, w chwałę. W Balcerze faktycznie niema czynów, jedynym krokiem, i to nie wiemy czy samodzielnym, było wybranie się do Ameryki, potem, dokładnie biorąc, wszystko jest tylko odrabianiem, tylko obroną, i to niejednokrotnie, bardziej bierną niż czynną. Atakująca jest strona druga: przyroda obca, murzyni, niemcy, choroby. Ludzie występujący to jakgdyby klawisze, na których wygrywa swoją okropną melodię nędza.

Perspektywa Balcera jest jeszcze krócej ucięta

niż Tadeusza, gdzie jednak między chwilą akcji a chwilą pisania leży długość życia autora, a w niej wielkie przełamanie losów. U Konopnickiej nie ma tej rubieży lat, jest zupełna spólcześnieść, i nie ma faktu łamiącego między poetką a tematem. Zastępuje go co innego: z chwilą kiedy odsunięcie od oczu w eposie być musi, jest niem odległość geograficzna. To też z mojego stanowiska Feldman nie słusznie stawia jako zarzut oderwanie od ziemi, a więc poniekąd okaleczenie doli chłopskiej, pokazanie jej w promieniu załamany, zamiast w oświetleniu prostem i przyrodzonym. Dla mnie właśnie owa odległość całej półkuli ratuje jeszcze poemat pod innym względem. Przykuta do rodzimego tła Konopnicka uległaby siłom kierowniczym swojej psychiki, wpadła w zwykły liryzm; odsunięcie, egzotyzm, stanowią o pierwiastku epicznym. Tak samo nie godzę się na spólrzędność z De Amicisa „Sull'Oceano”, jako na wyrazy psychiki polskiej i włoskiej. Już rodzajowo rzeczy są niespólmierne: wielki poemat o tendencji narodowej, w formie od Odrodzenia dziedzicznej dla epopei—w oktawie, i prozaiczne, bezpretensjonalne echo turystyki oceanowej, poważny gmach publiczny i lekki, przenośny pawilonik podróżnika. Spólcność motywu jest: okręt i emigranci\*), ale Amicis w czasie przeprawy zachowuje się przedewszystkiem jako obserwator, który doskonali swoje narzędzia na pasa-

---

\*) Dla Konopnickiej epizod okrętowy jest tylko jedną pieśnią, dramat zaczyna się dopiero po przybyciu na drugi ląd, dla Amicisa parę dni na oceanie to cała treść.

żerach pierwszej klasy, na małych indywiduach ludzkich i tylko czasem zagląda między biedotę. Jego złote serce krwawi na jej widok, niemniej z książką, jako traktującą o sprawie emigracji, nikt się nie liczy.

Jeżeli powiedziałam, że odsunięcie stanowi o epiczności, zobaczymy jak sobie Konopnicka daje radę z epiką. Kładzie przedewszystkiem opowiadanie w usta samego pana Balcera, czyni go, jak ładnie powiedział Gostomski, zarazem Homerem i Achillesem swojej epopei, co dla faktury poematu jest bardzo ważne. Krytyka przeważnie uznała fakt ten za utrudnienie sobie zadania. Ja go, przeciwnie, nazwę ułatwieniem, i to dokonaniem celowo. Zwalnia ono najpierw autorkę od odpowiedzialności opisowej, a jeżeli słusznie, że krajobraz jest, według pięknego określenia Amiela. "un état d'âme", to ona czyni z Ameryki Południowej un état d'âme nie swój, nie inteligentki, ale chłopca polskiego. I to odrazu zbliża do niej egzotyczny, nieznany jej zresztą krajobraz, nagina go do jej zwykłej natury, stapia jego odporność, zmniejsza kolosalność, przyćmiewa kolorowość, upraszcza fantastyczność — wszystko to omal niedosiężalne do przedstawienia na nieznane, żeby nie popełniać wypażeń.

I jeszcze jedna uwaga. W Panu Tadeuszu, mimo względnej spójczności tematu, zaszła zmiana do chwili jego napisania; sfera, która w nim jeszcze była narodem, zaczęła się zsuwać ku przeszłości, stawała się spomnieniem, jak spomnieniem samego poety był opisany epizod. W Balcerze jest nietylko chwila

obecna, ale i warstwa, która w tej właśnie chwili wchodzi w życie jako najważniejsza w narodzie. Stojący, wbrew Tadeuszowi, nie na granicy dziś i wczoraj, ale dziś i jutra, Pan Balcer ma inwokację nie na początku, ale na końcu. Jest to swojego rodzaju unikat. Ale jest w tem wielka i głęboka logika.

Obie nasze epece mają inwokacje do ziemi rodzinnej. „Litwo, ojczyzno moja!“ zaczyna jedna, „Idziem do ciebie, ziemio, matko nasza!“ kończy druga. Nie jest to, jak dotąd bywało, prośba o natchnienie, to zapowiedź pracy, pewniejsza niż Krasińskiego „zgińcie pieśni, wstańcie czyni!“ To też po tej inwokacji zaczyna się dopiero w Balcerze właściwa akcja bohaterów, do której poemat był bolesnym wstępem i terminowaniem. Powrócony z tułaczki, a lepiej jeszcze, narodzony świeżo krajowi lud, który teraz zabierze się do pracy, wejdzie między jego członki jako siła. To co się dzieje w Panu Balcerze, dzieje się, aby się ta siła mogła stać. Poemat, stojący w progach jutra, kończy się akordem *mocy*. Dawniej kazała Konopnicka w najlepszym razie uzdolniać lud do pracy, tu widzi czyn natychmiastowy. Chłop, którego siermięga była, jak słyszeliśmy w „Obrazku“, raną żywą na narodowym ciele, i którą przyszłość w wyrzutach sumienia miała oblewać łzami, ten chłop przychodzi oto do nas i oznajmia, że jest siłą, że zbawi!.... Wielki, cudowny akord końcowy twórczości, która wiele bolała, wiele z miłości płakała, aby u kresu ze wszystkich swoich strun złanych dobyć hymn samopoczucia potęgi, aby tu, gdzie się dotąd widziało ranę, pokazać oręż i warownię, gdzie się ukazywało

sierotę, ukazać rycerza, rzucić zapowiedź jego przyszłych czynów, zgodnie z wiarą własnej duszy podnieść naród o jeden zacios w słońce i z tą obietnicą z życia i twórczości odpłynąć.

\* \* \*

Jeżeli Balcer znalazł bądź entuzjastycznych, bądź rozumiejących go doskonale krytyków, Imagina sprawiała kłopot niemały. Jej kapryśna budowa, jej uciekający wątek, niby nić Arjadny, rwąca się właśnie, w chwili, gdy sądzimy, że ją przychwytujemy, a przez nią przewodniczkę wgłąb intencji twórczej,—wszystko to wydaje się nie do rozgryzienia. Faktycznie akcja Imaginy majaczy ledwie za połyskliwą woalką formy. I mojem zdaniem nie o akcję też zupełnie idzie. Mnie by się zdawało, że klucza do poematu należy szukać w znanem nam już określeniu Farysa i w tylokrotnych wzmiankach o koniecznej w psychologii Mickiewicza potrzebie pędu, którego poemat o rycerzu arabskim jest wyładowaniem.

Konopnicką nazwałam poetką pędu. Ona, która, tyle zrozumienia miała dla owego rysu Mickiewiczowskiego, która go właściwie odkryła, posiadała w swojej naturze tę samą potrzebę i oto jej rezultat: Iść dla zabawy, dla ruchu, dla zmęczenia, pokazać, jaki się ma swobodny bieg poetycki. Igraszka-pianka, przegląd własnych sił, własnych ośrodków motorycznych—przed samą sobą. Ale jest i pewnego rodzaju zadowolenie z własnego mistrzostwa, z idealnej zabawy oktawą, z igrania, nie pracy. I Konopnicka ma tu swoje wypowiedzenie o formie, jakie miał Beniowski:

A potem nie sądź, że oktawy lecą  
Jak stadko białych nad dachem gołębi,  
Gdy się pod słońce trzepocą i świecą,  
Strząsając rosę, co pióra im ziębi.  
Sfolguj jej tylko i uzdy puść nieco,  
A to ci strofa tak nagle się zdębi,  
Żeś jeszcze „Jezus Marja!” nie powiedział,  
Już będziesz w błocie lub na piasku siedział.

Lecz, że ma swoje powaby, nie przeczę,  
Jest jakaś pełność w niej, jakaś swoboda,  
Są cięcia ostre i jasne jak miecze,  
A czasem, gdy ci się pod rękę poda,  
To jako strzała z łuku ci uciecze;  
Nikt tu nie ujmie nic i nic doda,  
A rym ostatni leży na niej dumnie,  
Jako kapitel na jońskiej kolumnie.

I ta właśnie chęć popisowa, zżycie się z formą nadaje pędowi rytm; zamiast biegu Mickiewiczowskiego araba mamy takt pewien kusztowny, oktawowy, niby lekki, taneczny, szybki, pełen gracji ruch. Ten jest celem Imaginy, kaprys poetycki, nad którym stoją patronująco trzy aż gwiazdy ducha: Orlando, Beniowski (z tym najbardziej uderza rodzinne podobieństwo rysów) i Król Duch. Lecz więcej nad tego rodzaju „etudę”, etudę rytmu, przebiegów z uśmiechu do powagi, światłocien od zewnątrz i na wewnątrz, w poecie szukać nie należy.

A teraz jeszcze jedno, już pożegnalne spojrzenie, które uzupełni nam i pogłębi przed oczyma obraz jej drogi twórczej, rzucony w szkicu na pierwszych stro-

nach tej książki. Jako jedno z ogniskowych zaznaczyłam rozdroże ducha, które określiła sama sobie w nauce:

Pieśni twej gniazdo ptaszące zlep  
Pod niskiej strzechy belką,  
A zaś ją wypuść w niebieski sklep,  
Nieogarnioną, wielką.

Byliśmy spółpątnikami jej od polskich strzech po palingenetyczne orbity, więc same nam się powinny komentować teraz wszystkie jej słowa.

W rozdziale chaty piastowej widzimy w splocie dwa pierwiastki, których wyczucie musiała sama poetka posiadać, skoro, rozciąwszy, jeden z nich przypisuje jako naczelną Lenartowiczowi, drugiego najwyższy wyraz dostrzega w Sienkiewiczu. Pierwszy to element—lud, drugi—ziemia. A właśnie w jej dziele oba one przerosły i jednego i drugiego z wynoszonych pisarzy.

O Lenartowiczu, czyli ludzie, mówi:

„Ludowości takiej, jaka przenikała skroś całą istotę Lenartowicza, nie miał ani Syrokomla, ani Bohdan, ani żaden z poetów naszych. Bo każdy z poetów naszych, na ludową nutę gęśl strojąc, wychodził z siebie, ze swej duchowej sfery, z głównego ogniska myśli i uczuć, bądź uniesiony, porwany jakimś momentem psychicznym Syrokomla, bądź gwoli zdybanemu z tej strony pięknu, jak Bohdan. Lecz przeciwnie Lenartowicz, gdy pieśń ludową śpiewał, wchodził właśnie w siebie, w przyrodzoną sferę swych najgłęb-

szych uczuć. Jego ludowość nie była chwilowym, od zewnętrznych pobudek zależnym nastrojem, ale była sama treścią jego natchnień, była jego naturalnym prądem twórczym, właściwą muzyką jego. Inszym pieśni ich ludowe grała lutnia, jemu dusza”.

Do tych słów, tak idealnie do niej, Konopnickiej, przystających, należy się tylko uwaga, że dusza Lenartowicza posiadała to jedno centrum prawdziwie swoiste i nie wychodziła poza nie, a gdy czasem wyszła, to znać było, że wiódł ją tam, czy jaki wyjątkowy moment psychiczny, czy zdybane z tamtej strony piękno, — ale to pewna, że już gdzieindziej nie był tak idealnie sobą. Tymczasem Konopnicką poznaliśmy jako kilko-ogniskową, jako całą konstelację ośrodków słonecznych. A jest i inne przerośnięcie Lenartowicza w ludowości, to mianowicie, że on nigdy z sielskiej ojcowizny nie wyruszył na tak wielkie twórcze wyprawy jak ona, gdy zorkiestrowała epicznie pieśń wiejską w Balcerze.

Zkolei twórca Trylogji — ziemia.

„Sienkiewicz tuli nas do niej (do ziemi), zbliża, na jej łono kładzie,—taki hołd mu siostrzano-pisarski składa poetka po Krzyżakach — a serce nasze jest w jego ręku jako kwiat mdlejący, który on w ziemię wciska, ziemią umacnia, ziemią zasila, iżby mógł w niej ożyć”.

I Konopnicka ma w swej duszy, jak kwiat w swej koronie, ów nieomylny zapach rodzinnej ziemi, skoro oddycha nim nawet na marmurowych schodach włoskich pałaców, a oszołomiona nim, pisze prozą patectyczną, a zarazem ciepłą i rzeźką jak rozkrajana skiba



wiosenna, swoje „Ziemie polskie”, których pozycja i chwala — między „Pieśnią o ziemi naszej” Pola a „Wisłą” Żeromskiego.

Tylko dla Sienkiewicza to jest wszystko — dla Konopnickiej połowa.

Bo są chwile i miejsca twórcze, kiedy do ziemi mówi, nie jak do matki, nie jak do starszej, kornych klęknięć naszych i pocałowań ust dziecięcych godnej, ale jak do poddanki naszej, sługi naszej, buntownej nieraz, jak do bryły martwej, która kiedyś dopiero, od nas, od ducha, od starszego i szlachetniejszego brata, indygenat czci otrzyma.

Tak było w utworach, które otwierały się na nieskończoność i które, gdy śpiewała, była orlicą na Patmos, a serce miała, jak się wyraził Żeromski o Orzeszkowej, spalone od uczuć wiecznych.

Feldman w wykładach zakopiańskich o Wyspiańskim powiada, iż „śledząc bieg promienia tęsknoty, jaką twory jego budzą, widzimy, że jedne prowadzą do ogółu. (Harfiarka, sceny końcowe Wesela), inne do wiecznych praw ducha (Legjon, Achilleis, Akropolis)“. Przykłada się to zupełnie gładko do podziału, jaki uczyniłam na pierwiastki dnia i nocy u naszej poetki, społeczny i indywidualny, które tu zresztą przystają i do zacytowanego przed chwilą rozdzielenia na natchnienia proste i wysokie.

Widzieliśmy, jak żywioły indywidualnej tęsknoty, narodzone w nocnej zadumie jeszcze za wczesnych wiejskich lat, rozwinęły się w wielki mistyczny kosmos twórczy, w którym, mogłaby powtórzyć wtedy za Słowackim Konopnicka, nie było innych kwiatów,

prócz nieśmiertelnych. Jednak zachodzi w pewnej chwili dziwne zjawisko. Już po uobywateleniu się natchnienia poetki na nieśmiertelnych przestworach porzucają siał się oktawy Balcera, dęba-kolosu, zamykającego wysadę mniejszych drzew na drodze od cichej strzechy, a końcowa apostrofa do ziemi stawia nas znowu wyraźnie przed obliczem ogółu polskiego.

Był zatem w tej duszy, rosnącej na wieczność, punkt pewien, w którym, wyprorokowawszy na daleką metę chłostę ducha dla ziemi, zaczynała ścigać tę ziemię utęsknionym wzrokiem, wyciągając ręce, nie ku bryle, ku narzędziu ducha, ale ku macierzy cieplej i rozkwitnionej. Był ten punkt zawrotu jak punkt ciała rzuconego ku górze, jak księżyc, wiecznie spadającego na powierzchnię ziemską, jak ziemi naszej, wiecznie spadającej na powierzchnię słoneczną. A siłą ku spadkowi ciągnącą, wiemy już, bo ją znamy, było serce. Z Tebaidy samotnej, choć ludnej od teoretycznych i skutych moralną wspólnotą duchów, wracała jednak zawsze ku żywym, ku tym, których realnemi źrenicami widziała cierpiących i walczących. Szła ku nim ze swoim młodym żołnierzem w śmiertelny bój. Zajrzał żołnierz w pola zórz wiecznych, jeden odbłask ich wziął w oczy swoje, i ten już nie zagaśnie w nich więcej, ale czyn jego przyjmie się na grudzie pól ojczystych.

Jedyny to w poezji naszej przykład takiego rozdwojenia natchnienia po uzyskaniu syntezy ducha. Może Mickiewicz po przesyleniu się serca naskroś pierwiastkami mistycznymi, zasilił tą nową mocą i wid-

nokrąg rzeczywistości, przystąpił do pracy realnej jako polityk, jako redaktor, ale nie była to sama twórczość poety, która rozszczępiłaby się na dwa światy. Mickiewicz jako poeta zmilknął już wtedy, a najpóźniejsze dzieło jego natchnienia, jeżeli można je tak zakwalifikować, kurs paryski, przesiąknięty jest atmosferą mistyczną. Słowacki i Krasiński tembardziej byli jednolici, każdy w zdobytej tonacji. U Konopnickiej sama świecąca masa natchnienia rozpada się na dwoje, jedna część krąży dalej między gwiazdami, druga, jak świetny meteor, z wyżyn niebieskich spada ku wsiowej tragedji polskiej, miejscu swych pierwszych fujarkowych prób. Tak więc jest w niej i wspaniała parabola, wystrzelenie duchem z jaskółczego gniazda aż na szlaki srebrzące się poza czasem i przestrzenią i jest kołobieg twórczy, jedyny zapewne tak wyraźny jego przykład wśród szranków największej poezji polskiej.

I do tej jednej półkuli twórczości zastosować możemy zdanie, jakie ona powiedziała o Orzeszkowej w studjum o „Ad Astra”, że sok żywotny drzewa jej nie płynął ku górze, ale do pewnej chwili tylko, poczem odwracał się i szedł znowu na odżywienie korzeni i ziemi, w której rosły mniejsze krzewy.

I znowu niech słowa piękne, czczące Orzeszkową, jej cudowną pieśń miłości i poświęcenia, wróca za naszą wolą do autorki swojej i u jej własnych stóp uklękną, bo i ona godna jest je słyszeć, bo zresztą piękniejszych nikt na jej cześć nie ułoży:

„Dusza pełna utajonego żaru, głębokich ukochań,  
która po nizinach pióra swe jasne powleka, aby z nich

otrzcę łez rosę. Dusza żywa, mocna, skrzydlata, ulatująca ku światłom czystym, których stale z upragnieniem namiętnem pożąda dla pól ziemi i dla mrowisk ludzkich, dla wszystkiego, co jest kochane i co jest cierpiące. Takie jest to serce, serce wierne, zaprzysięgłe, u trzykroć świętych ognisk żywota na straży stojące, iżby je własnym płomieniem podsycać. Serce, które z bólów własnych wykuwa ogniwa, wiążące ludzi z ziemią. Takie są te oczy, oczy mądre, zadumane, gorące od samotnego wpatrywania się w wyżyny, na których świecą gwiazdy czyste, wieczne”.

---

Kiedy największa poetka Polski zamknęła oczy w październiku 1910, jedno z ówczesnych stowarzyszeń kobiecych warszawskich: Komisja do spraw kobiecych przy Towarzystwie Kultury Polskiej, wydała odezwę, wzywającą do złożenia zwłok jej w Grobach Zasłużonych na Skałce. Jeden był wtedy tylko Pantheon polski — Kraków i jemu trzeba było oddawać śmiertelne szczątki tych, których hufiec za życia ubierał Polskę w mądrość i promienie. W dwa lata później zawiązał się w Warszawie komitet i ten starał się urzeczywistnić żądania odezwy. W Krakowie wspierał go głosem i czynem Feldman. Ale poczynania komitetu napotkały na trudności. Oparł się Lwów, któremu przypadł smutny zaszczyt, że stał się przypadkowym miejscem jej zgonu i który przy-

garnął, korzystając z tego, jej trumnę. Prezydent ówczesny Lwowa, wysoko jako obywatel przed wojną i w czasie wojny zapisany, dziś już nieżyjący Tadeusz Rutowski, nie chciał wydać ciała. Lwów uważał za szaniec wysunięty polszczyzny i pragnął relikwi dla tego szanca, umocnienia go polską świętością. Po śmierci więc jeszcze spadł na wielką poetkę obowiązek narodowy: obrona ojczystych kresów, i kazano jej w imię tej służby wyrzec się osobistego hołdu, który byłby hołdem dla niej całego narodu. Było to aż zbyt dosłowne wypełnienie jej natchnionych słów o ojczystych grobach, o „życia pełnych mogiłach”, które nie są „ołtarzem próżnej żałoby, lecz twierdzą siły”. Oporu Lwowa złamać się nie dało, sprawa stała na martwym punkcie.

A wtedy przyszła wojna. Przyszła i minęła, ale po jej odejściu sprawa pogrzebu Konopnickiej wypłynęła na nowo. Komitet dawny rozbił się i więcej się nie odnalazł, zresztą nie idzie nam już teraz o Skałkę. Przeciwnie. Idzie nam o Warszawę. Bo i ona dzisiaj, wskrzeszona stolica, musi stać się jednym ze skupień narodowych pamiątek. Nie będzie tego robiła z krzywdą dla innych ziem i miast. Sprawiedliwe bowiem jest i konieczne, aby cała Polska wszerej i wzdłuż, jak oddychać będzie równo nowem życiem, równo nosiła w sobie dzień wczorajszy w pamiątkach i uprzytomnieniach. Ale niema już powodu wiązać Konopnickiej ze Lwowem. Przyszły dni, w których Lwów na szczęście może zluzować się z wysokiej roli kresowego rycerza; usunięcie jednej, przypadkowej, pamiątki nie będzie osłabieniem obronnego muru. Bo Konopnicka,

raz jeszcze powtarzam, jest dla Lwowa przypadkiem. Konopnicka przypaść może i powinna tylko Warszawie. Jest nawet tym niemal jedynym fragmentem wielkiej i wieszczej poezji polskiej — gdyż bez wahania zaliczam ją do niej—który wiąże się właśnie z Warszawą, ideologią swoją, swoim nastrojem, latami spółżycia z nią i to w szczytnym okresie podziemnego pulsu duszy Warszawy. Konopnicka dorzuciła do wielkiej poezji polskiej ton warszawski, jak np. Wyspiański dorzucił Kraków. To też Konopnicka jest z tych, do których Warszawa ma przedewszystkiem prawo. Ona powinna być jedną z pierwszych, jeżeli nie wogóle najpierwszą, od której zacząć się powinien przyszedły Panteon warszawski. I jeżeli od całej wolnej Polski należy się Konopnickiej, i to jak najprędzej, wielki pogrzeb narodowy, to Warszawie należy się jaknajrychlej dzień, kiedy w świetle wolności oddany będzie hołd pieśni, zrodzonej z łez niewoli, w których miłość słońca zapaliła tęczę nadziei i mądrości wiecznej.

Pogrzeb Konopnickiej nie będzie jednak pożegnaniem z nią, aby dążyć ku nowym śpiewom dnia wolnego; będzie to, przeciwnie, pierwsze wyjście na spotkanie *całego* jej ducha, ponieważ dotąd, czy niewola, czy inne smutne przyczyny, zwiężające nasze zainteresowania, zubożały, jak się już skarżyłam, znajomość z nią do jednego, społecznego wycinka twórczości. Czeka nas jeszcze spłynięcie się ze światem Konopnickiej późnej, Konopnickiej najwyższej, Konopnickiej z Książ Ducha, Sybilli, której duch i głos wynikł poza niewolę, i której olbrzymi słoneczny dech

w majestatycznych akordach akompanjować będzie wolnym pochodom nowych pokoleń.

Niechże mojej skromnej książce, kktóre pierwsza ujęła całość ową, tak jak ona przez nieśmiertelne dzieło poetki prześwieca, przypadnie wielki zaszczyt, że będzie przygrywką do zbratania nowych pokoleń wolnej Polski z Konopnicką.

---

KONIEC.



### TEJŻE AUTORKI:

Słowo o Adamie Asnyku, odczyt niewygłoszony, (wyczerpane).

Jeremi polski (Kornel Ujejski) — (wyczerpane).

Prometeusz-Paraklet, studja filozoficzne i literackie, skonfiskowane i spalone przez cenzurę rosyjską.

Nieboska — Irydjon. } odbitki ze Sfin-  
Poglądy Krasieńskiego na sztukę i piękno } ksa (wyczerp.).

Idee i twórcy, studja filozoficzne i literackie: Prometeusz-Paraklet, Romanowski, Lenartowicz, Kasprowicz (wyczerpane).

Na duszy mej palecie, poezje (wyczerpane).

Śpiewające iskry, poezje (w druku).

Adam Asnyk, monografia (w przygotowaniu).

Historja literatury włoskiej (w przygotowaniu).

### *Przekłady:*

Stella Polare, wyprawa ks. Abruzzów do bieguna północnego, z włoskiego (wyczerpane).

Wilhelm Jerusalem. Wstęp do filozofji, z niemieckiego, Rabindranath Tagore. Ogrodnik.

Giosue Carducci. Ody barbarzyńskie, z włoskiego.

Giovanni Pascoli. Ostatnia podróż, z włoskiego.

Giacomo Leopardi. Poezje, z włoskiego (pod prasą).